

RUDYARD KIPLING

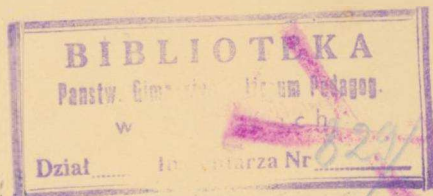
KSIĘGA DŻUNGLI

WYDANIE DRUGIE

POZNAŃ
WYDAWNICTWO POLSKIE

< R. WEGNER >

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
JÓZEFA BIRKENMAJERA



OKŁADKĘ RYSOWAŁ E. CZERPER

*

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

*

DRUKARNIA CONCORDIA, POZNAŃ

*

PRINTED IN POLAND

*



KIP.
K515

358

OD TŁUMACZA

Przekładu niniejszego dokonałem na podstawie wydania angielskiego z r. 1928 (Macmillan & Co), różniącego się kilkoma drobiazgami od wydań poprzednich; tak np. plotkarz-jeżozwierz nie nazywa się tu *Sahi*, ale *Ikki*, paw *Mor* otrzymał nową transkrypcję *Ma* o itd. Nazwiska hinduskie — i wogóle indyjskie — zachowałem w pisowni angielskiej; tą bowiem pisownią posługują się sami mieszkańcy Indyj, o ile używają naszego alfabetu (w odsyłaczach podałem przybliżoną wymowę polską). Na odstępstwo od pisowni oryginału pozwoliłem sobie jedynie w powiastce „Biała Foka“, w której Kipling mocno zniekształcił kilka imion i wyrazów rosyjskich (*No v o s t o s h n a h* — „North East Point“: oczywiście *Siewierowo-stoczna ja*; *h o l l u s c h i c k i e* — „bachelors“: oczywiście *chołostiaki*, itd.); wyrazom tym przywróciłem postać właściwą — przez co czytelnikowi polskiemu zrozumiajszy i bliższy niejako staje się koloryt egzotyczny rosyjskiego Dalekiego Wschodu, znany mu tak dobrze z utworów Szymańskiego, Sieroszewskiego, Goetla, Bandrowskiego czy Ossendowskiego. Nie sądzę, bym przez

tę — i może jeszcze jaką inną — samowolę uchybił wielkiemu Rudyardowi Kiplingowi, dla którego twórczości żywię zarówno w lekturze jak i w mej pracy tłumackiej niezmierną cześć i sympatię, datującą się jeszcze z tych czasów, gdym był rówieśnikiem Mowgliego...

Warszawa, 1931.

J. B.

Państwowe
Gimnazjum i Liceum Pedagogiczne
w Siedlcach

T w
tr
do łask
autor o
względ
nie zda
z zaciąg
Przed
wobec
juczne
cyjnej,
był łask
mai“ tu
w opo
Przygo
czasy i
wielu l
swych
autor s
emu o
obywat

*) Cz

***) C

uchy-
órego
w mej
ę, da-
rówie-

PRZEDMOWA

B.

Tworząc dzieło w tym rodzaju, co niniejsze, trzeba było niejednokrotnie odwoływać się do łaskawej uczynności P. T. Fachowców; przeto autor okazałby się zgoła niegodnym szlachetnych względów, jakich z Ich strony doświadczył, gdyby nie zdał możliwie najdokładniejszych rachunków z zaciągniętego długu.

Przedewszystkiem poczuwa się do wdzięczności wobec świątłego i uprzejmego Bahadur Shaha,*) jucznego słonia No. 174 indyjskiej księgi rejestracyjnej, który wraz ze swą przemiłą siostrą Pudmini był łaskaw udostępnić mu historję „Słoniarza Toomai“ tudzież znaczną część szczegółów, zawartych w opowieści o „Sługach Jej Królewskiej Mości“. Przygody Mowglięgo zostały pozbierane różnemi czasy i w różnych miejscowościach z ust bardzo wielu ludzi, których większość prosiła o zatajenie swych nazwisk; jednakże, zachowując ten dystans, autor sądzi, że wolno mu wyrazić podziękę pewnemu dostojnemu Hindusowi, wysoce poważanemu obywatelowi wyższych stoków Jakko**), za trafną,

*) Czyt. Bahedar Szach.

**) Czyt. Dżakko.

choć może nieco zgryźliwą charakterystykę wrodzonych cech jego kasty — kapłanów. Sahi, mędrzec niesłychanie pracowity i pomysłowy, jeden z członków rozwiązanej niedawno Drużyny Seeneejskiej oraz artysta, cieszący się wielką popularnością na prowincjonalnych jarmarkach w Południowych Indjach, gdzie jego niemy taniec, wykonywany wspólnie z chlebodawcą, zwabia wszystko co młode, piękne i wytworne w obrębie wielu wsi okolicznych, — dostarczyli nader cennych wiadomości o ludziach, obrzędach i zwyczajach. Przerysowano je swobodnie w opowieściach: „Tygrys! Tygrys!“, „Łowy węża Kaa“ i „Bracia Mowgliego“.

W osnowie powiastki „Rikki-tikki-tavi“ autor jest wiele dłużny jednemu z najznakomitszych herpetologów Górnych Indyj, nieulekłemu i samodzielniemu badaczowi, który — w myśl zasady: „nie żyć, ale wiedzieć!“ — niedawno postradał życie wskutek zbytnej gorliwości w badaniu jadowitych żmij Wschodniego Łądu.

Dzięki szczęśliwie zakończonej przygodzie podróżniczej autor miał sposobność, jako pasażer okrętu „Cesarzowa Indyj“, przyjść z niewielką pomocą jednemu z towarzyszków podróży. Jak sowiecie odplacono mu się za tę drobną przysługę, zechcą oszczędzić czytelnicy opowiastki pod nagłówkiem „Biała Foka“.

BRACIA MOWGLI'EGO

Hasło dał Chil-Myszolów — i już z mrocznych wądołów
Mang-Nietoperz wyfrunął bez tremy.

Pospędzano już trzody do zamkniętej zagrody, —
teraz do dnia *my* hasać będziemy!

Hejże, nadszedł czas luby naszej siły i chluby!
Górami kły i pazury i szpony!

Hej, słuchajcie wezwania! — Dobrych łowów każdemu,
kto przestrzega praw Dżungli zielonej!

Nocny śpiew Dżungli.

Pewnego bardzo ciepłego wieczoru, o godzinie siódmej, zbudził się Ojciec Wilk, zażywający całodziennego wypoczynku wśród wzgórz Seeonee. Podrapał się, ziewnął i zaczął wyciągać jedną łapę po drugiej, chcąc pozbyć się sennego odrętwienia, jakie wyczuwał jeszcze w koniuszkach pazurów. Mama-Wilczyca leżała na ziemi, zwiesiwszy wielki, szary nochal ponad czwórka szamoczących się z sobą i popiskujących wilczątek, a blask księżyca zaglądał w otwór jaskini, która była mieszkaniem całej tej gromadki.

— Wrr! — odezwał się Ojciec Wilk — czas wziąć się znów do polowania!

I już miał wyskoczyć na zbocze wzgórza, gdy jakiś mały cień z puszystym ogonem przeszedł przez próg i zajęczał:

— Niech ci sprzyja szczęście, Wodzu Wilków; niech szczęście i mocne białe kły sprzyjają twojej szlachetnej dziatwie, by nigdy nie zapominała o głodnych na tym świecie.

Był to lizus-wyjadacz, szakal Tabaqui. Wilki, żyjące w Indjach, czują do Tabaquiego odrazę, za to że ten włóczy się wszędzie, wróżąc nie-szczęście, znosząc plotki i zjadając lachmany oraz strzępy skóry ze śmietników wiejskich. Pozatem jednak boją się go, gdyż Tabaqui w większym stopniu niż ktokolwiek w dżungli jest skłonny do ulegania szaleństwu; wówczas zapomina, że bał się kogoś kiedykolwiek, i biegnie przez las, kłusując każdego, kogo napotka. Nawet tygrys ucieka i kryje się, ilekroć Tabaqui oszaleje — gdyż szaleństwo jest największym nieszczęściem, jakie spaść może na dzikie stworzenie. My chorobę tę zwiemy wścieklizną, ale zwierzęta dżungli nadają jej nazwę „dewanee“ — szaleństwo — i uciekają przed nią.

— Wejdźże więc i rozejrzyj się wokół — odrzekł Ojciec Wilk, — ale jedzenia tu nie znajdziesz.

— Juści, dla wilka go nie starczy — rzekł Tabaqui — ale dla takiego chudziny, jak ja, nawet sucha kość będzie wspaniałą ucztą. Kimże jesteście — my Gidur-log (szakale)* — byśmy mogli grymasić i wybredzać w jedzeniu?

Powlókł się wgląd jaskini. Znalazł tam kość antylopy z odrobiną mięsa. Usiadł i jął z radością chrupać niedogryzek.

*) Czyt. Dżidar-log.

— Wielkie dzięki za tak smaczny posiłek — odezwał się, oblizując wargi. — Jakże piękne są twe szlachetne szczenięta! Jakże piękne mają ślepia! A przytem jakie jeszcze młode! Zaprawdę, powinienem mieć w pamięci, że dzieci królów są od samego urodzenia dorosłe.

Tabaqui, równie jak ktokolwiek inny, wiedział dobrze, że niema gorszego nieszczęścia, jak mówić pochlebstwa w oczy dzieciom — więc miło mu było patrzeć na zmartwioną minę Mamy Wilczycy i Ojca Wilka.

Siedział spokojnie, radując się wyrządzoną przez siebie przykrością — poczem rzekł złośliwie:

— Shere Khan *), który jest Olbrzymi, zmienił łowisko. W ciągu najbliższego miesiąca będzie polował pośród naszych gór. Sam mi o tem opowiadał.

Shere Khan był to tygrys, który przemieszkował o dwadzieścia mil opodal, nad brzegami rzeki Waingungi.

— Wara! — szczechnął gniewnie Ojciec Wilk. — Według Praw Dżungli nie wolno mu bez stosownego ostrzeżenia zmieniać siedziby. On tu nam wypłoszył wszelką zwierzynę w okręgu mil dzieściu, a ja... ja muszę teraz polować za dwoje.

— Jego matka nie bez powodu nazwała go Lungri **) Kuternogą) — odezwała się spokojnie Mama Wilczyca. — Od urodzenia kulął na jedną nogę. Z tego powodu zabijał jedynie bydło. Teraz

*) Czyt. Szer Chan.

**) Czyt. Langry.

wieśniacy z nad Waingungi *) są źli na niego, więc on tu nadciągnął, by rozeźlić *naszych* wieśniaków. Będą przeszukiwali dżunglę, by go wytropić, gdy jego już dawno tam nie będzie, a my i nasze dzieci musimy uciekać, gdy trawy staną w ogniu. Doprawdy, żywimy dla Shere Khana wielką wdzięczność!

— Czy mam mu donieść o waszej wdzięczności?
— zapytał Tabaqui.

— Fora ze dwora! — warknął Ojciec Wilk. — Wynoś się i poluj wraz ze swym panem. Jak na jedną noc, wyrządziłeś aż nazbyt wiele szkody!

— Odchodzę — odpowiedział spokojnie Tabaqui. — Możecie posłyszeć głos Shere Khana... tam poniżej... w zaroślach. Ja wolałbym uwolnić się od tego posłowania.

Ojciec Wilk jął nadśluchiwać. Hen w dolinie, zbiegającej ku małej rzeczulce, posłyszał oschłe, gniewne, chrapliwe, bełkotliwe miaukoty tygrysa, który nic nie złowił i nie zważa na to, iż cała dżungla wie już o tem.

— Głupiec! — odezwał się Ojciec Wilk. — Od takiego hałasu rozpoczyna nocną pracę! Czyżby sądził, że nasze antylopy są podobne do opasłych bawołów z nad Waingungi, z którymi dotąd miał do czynienia?

— Pst! Nie na bawoła ani antylopę poluje on dzisiejszej nocy — odpowiedziała Matka Wilczyca.

— On poluje na Człowieka.

*) Czyt. Uejnganga. Ganga (pis. Guuga) indyjska nazwa Gangesu.

Miauczenie przeszło w huczący pomruk, który zdawał się nadchodzić z wszystkich naraz stron świata. Jest to ten hałas, który do dzikiej trwogi doprowadza drwali i włóczęgów śpiących pod golem niebem i nieraz sprawia, iż wpadają w samą paszczkę tygrysa.

— Człowieka! — odezwał się Ojciec Wilk, ukazując wszystkie lśniaco-białe zęby. — Fe! Czyż tak mało chrząszczy i żab w zbiornikach wody, iż on musi zjadać ludzi... i to jeszcze na naszych łowiskach?

Prawo Dżungli, które niczego nie nakazuje bez powodu, zabrania wszelkim zwierzętom zjadać Człowieka, wyjąwszy ten wypadek, gdy ktoś zabija, by pokazać swym dzieciom, jak się zabija, a wtedy musi polować poza terenem łowieckim swej szajki lub plemienia. Istotna przyczyna leży w tem, że zabijanie ludzi pociąga za sobą prędzej czy później nadejście białych ludzi, siedzących na słoniach i zbrojnych w strzelby, oraz setek brunatnych ludzi z gongami, raketami i pochodniami. Cierpi na tem wszystko co żyje w dżungli. Ale zwierzęta w rozmowach z sobą podają inną przyczynę: oto Człowiek jest najsłabszem i najbardziej bezbronem ze wszystkich żywiąt, więc czynienie mu krzywdy nie licowałoby z honorem myśliwca. Powiadają też — a to już jest prawdą — że zjadacze ludzi nabawiają się świerzba i tracą zęby.

Pomruk stawał się głośniejszy i zakończył się wydartym z pełnego gardła krzykiem: „Aaarh!“.
— Było to hasło tygrysięgo natarcia. Następnie

rozległo się wycie — wprost nietygrysie wycie — Shere Khana.

— Chybił! — ozwała się Matka Wilczyca. — Co to takiego? — Ojciec Wilk wybiegł na parę kroków i posłyszał, jak Shere Khan mruczał i mamrotał gniewnie, tarzając się w zaroślach.

— Dureń! nie zdobył się na nic innego, jak na to, by skoczyć na ognisko obozujących drwali, i poparzyć sobie stopy! — rzekł Ojciec Wilk, pochrzążając. — Tabaqui jest przy nim.

— Coś wdziera się na wzgórze — odezwała się Matka Wilczyca, nadstawiając ucha. — Bądźcie gotowi!

Krzaki w gęstwinie zaszeleściły zcicha. Ojciec Wilk przypadł plackiem do ziemi, gotów poderwać się każdej chwili. Gdybyście wówczas byli świadkami tej sceny, zobaczylibyście najdziwniejszą rzecz pod słońcem: wilk zatrzymał się w pół skoku! Zanim rozpoznał to, na co miał się rzucić, już dał susa — a następnie usiłował się cofnąć. W rezultacie zrobił szczupaka na jakie cztery do pięć stóp w górę i spadł niemal w tem samym miejscu, gdzie był odbił się od ziemi.

— Człowiek! — warknął. — Szczenię ludzkie. Patrzcie-no!

Wprost przed nim stał, trzymając się niskiej gałęzi, naguśki o brunatnej cerze bobas, który dopiero co nauczył się chodzić — miła kruszyna, z dołkami na pulchnej buzi, jakiej jeszcze nigdy dotąd nocną porą nie widziano w wilczej jaskini. Spojrzał prosto w twarz wilkowi — i roześmiał się.

— Więc to jest ludzkie szczenię? — zapytała Matka Wilczyca. — Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć małego człowieka. Dawać go tu!

Wilk, przyzwyczajony do przenoszenia swych małych, potrafi w razie potrzeby trzymać w pysku jajko, nie naruszając skorupy. Choć więc szczęki Ojca Wilczura zwarły się tuż przy plecach chłopaka, jednakże dziecko, gdy je złożył pomiędzy wilczętami, nie miało nigdzie nawet skóry zdrapanej od jego zębów.

— Jaki mały! Jaki nagi, jaki odważny i śmiały! — przemówiła tkliwie Matka Wilczyca. Tymczasem bobas przepychał się między wilczętami, by dostać się jak najbliżej do ciepłej, kosmatej piersi wilczycy. — Oho! On już wraz z innymi zabrał się do jedzenia. A więc to tak wygląda szczenię człowieka! No, no! byłże kiedy taki wilk, któryby się mógł tem poszczycić, że wśród swej dziatwy miał szczenię ludzkie?

— Słuchiwałem nieraz o podobnych wypadkach... nie zdarzyło się to jednak nigdy w naszych czasach ani w naszym stadzie, — odpowiedział Ojciec Wilk. — On jest zupełnie nieowłosiony, a ja mógłbym go zabić jednym ruchem łapy. Ale spójrzno, on patrzy prosto w oczy i wcale się nie boi.

W tej chwili blask księżycy, oświecający przednią część jaskini, uległ zaćmieniu, gdyż u wnijscia pojawił się olbrzymi kanciasty łeb i szerokie barki Shere Khana. Poza nim zaś rozległ się piskliwy głos Tabaquiego:

— Wszedł tutaj, tu wszedł, łaskawy panie!

— Shere Khan czyni nam wielki zaszczyt swą obecnością — przemówił Ojciec Wilk, ale z oczu bił mu wielki gniew. — W jakimże celu Shere Khan do nas zawitał?

— Po moją zdobycz — odpowiedział Shere Khan. — Tędy przechodziło szczenię ludzkie. Jego rodzice zbiegli przede mną. Oddajcie mi je!

Prawdziwe były słowa Ojca Wilka: Shere Khan skoczył był na ognisko drwala i poparzył sobie stopy — a ból stąd powstały przywiódł go do wściekłości. Atoli Ojciec Wilk wiedział, że wylot jaskini był nazbyt wąski, by tygrys mógł się przezeń przedostać. Nawet w tem miejscu, gdzie Shere Khan w danej chwili się znajdował, było tak ciasno, iż cztery łapska i tulów zwierzęcia nie miały najmniejszej swobody działania... W podobnem położeniu byłby człowiek, któryby chciał walczyć, wlaższy do beczki.

— Wilki są wolnem plemieniem — odrzekł Ojciec Wilk; — przeto podlegają rozkazom Naczelnika Gromady, a nie pierwszego lepszego pręgatego bydłobójcy. Ludzkie szczenię do nas należy... i możemy je zabić, jeśli taka nasza wola.

— Wasza wola i nie wasza wola! Co tu gadać o czyjejs woli? Na buhaja, którego zabił! Czyż mam tu stać z nosem wetkniętym w waszą psią norę, by wypraszać to, co mi się prawnie należy?! To ja, Shere Khan, do was mówię!

Ryzywanie tygrysa napelniło grzmotem całą jaskinię. Matka Wilczyca oderwała się od swych małych

i skoczyła wprzód, a jej oczy mignęły zielonawym blaskiem w ciemności, niby dwa księżyce, mierząc się z rozjarzonymi oczyma Shere Khana.

— A ja, Raksha*) (Djablica), odpowiem ci na to! Szczenię ludzkie do mnie należy... wiedz o tem, Lungri! Jesto moje i do mnie należy! My go nie zabijemy! Będzie żyło, by mogło biegać i polować wraz z naszą gromadą... aż wkońcu... wiedzno o tem, ty łowco małych nieowłosionych szczeniąt, zjadaczu żab, morderco ryb!... on zapoluje i na *ciebie!* A teraz zabieraj się stąd! bo, na Sambhura**), któregom zabiła (ja nie żywię się zdechającym bydłem!), powleciesz się do swej mamy, bardziej jeszcze utykając na nogę, niż kiedykolwiek w życiu, ty bestyjo, napiętnowana ogniem na pośmiewisko całej dżungli! Kusz-sz!

Ojciec Wilk patrzył w zdumieniu... Już niemal zatarły mu się w pamięci owe dni, gdy w chlubnej walce z pięcioma wilczurami zdobył Matkę Wilczycę — i gdy ona biegła ze stadem, niebezpiecznie nosząc przydomek Djablicy. Wpierw Shere Khan nie wahał się patrzeć w oczy Ojcu Wilkowi, teraz jednak nie śmiał zadzierać z Matką Wilczycą, — gdyż wiedział, że w obecnej sytuacji miała nad nim, ze względu na swe stanowisko, stanowczą przewagę, i gotowa była walczyć na śmierć i życie. Warcząc, wycofał się z wylotu jaskini, a znalazłszy się na swobodzie, krzyknął:

*) Czyt. Baksia.

***) Czyt. sambhar — gatunek losia.

— Szczekaj, burku, na swoim podwórku! Zobaczymy, co o tem przyhołubianiu ludzkich szczeniąt powie wasza Gromada! Szczenie do mnie należy — i wiedźcie o tem, kito-ogoniaści złodzieje, iż kiedyś dostanę je w swoje zęby!

Matka Wilczyca, sapiąc, legła znów pośród wilczątek, a Ojciec Wilk odezwał się do niej z powagą.

— W słowach Shere Khana było sporo prawdy. Musimy pokazać to szczenie gromadzie. Czy jeszcze masz ochotę chować go, Matko?

— Chować go! — zachnęła się wilczyca. — Przyszło to - to w nocy, goluteńkie, przez wszystkich opuszczone i głodniuskie... a nie bało się nic a nic! Patrz, już-ci jednego z mych smyków odtrąciło na bok! Ten kulawy rzeźnik byłby zabił to małeństwo i uciekłby nad Waingungę, a tutejsi wieśniacy, powodowani zemstą, urządziliby obławę na nasze leżyska! Czy mam go chować? Juści, że będę go chowała! Leż spokojnie, zabuchno. O mój Mowgli*) — bo będę cię odtąd nazywała Mowgli'm czyli Żabą — nadejdzie czas, kiedy zapolujesz na Shere Khana, jak on dziś polował na ciebie!

— Ale co na to powie Gromada? — zagadnął Ojciec Wilk.

Prawo Dżungli całkiem wyraźnie głosi, że wilkowi, mającemu rodzinę, wolno mieszkać zdala od gromady, do której należy — ale gdy jego wilczęta natyle już podrosną, iż mogą stać o własnej sile, winien przeprowadzić je na Wiec Gromadzki, od-

*) Czyt. Mangli.



bywający się zazwyczaj raz na miesiąc przy pełni księżyca, — by wilki mogły się z niemi zapoznać. Po tych oględzinach wilczęta mogą sobie hasać, gdzie im się podoba — a póki nie upolują pierwszego kozła, byłoby zbrodnią nie do przebaczenia, gdyby który z dorosłych wilków, należących do gromady, ważył się choćby jedno z nich zabić. Zabójcę — o ile dowiedzie mu się winy — czeka kara śmierci. Zastanowiwszy się nieco, sami dojdziecie do wniosku, że inaczej być nie może.

Ojciec Wilk czekał do czasu, póki jego małe nie nauczyły się jako-tako biegać, poczem w noc Wiecu Gromadzkiego powiódł je wraz z Mowglim i Matką Wilczycą na Skalę Narady. Tę nazwę nosił wierzchołek wzgórze, zasypyany rumowiskiem kamiennych brył i głazów, gdzie mogło się przyczaić choćby sto wilków. — Akela, wielki szary Wilk-Samotnik, który dzięki swej sile przewodził całej gromadzie, rozciągnął się, jak długi, na glazie, stanowiącym zwykle jego siedlisko, poniżej zaś zasiadło czterdzieści — a może i więcej — wilków wszelkiej maści i wielkości: począwszy od weteranów o borsukowatej sierści, którzy w pojedynkę dawali sobie radę z kozłem antylopy, a skończywszy na młodych czarnych trzylatkach, które mniemały, iż potrafią dokonać tegoż czynu. Wilk-Samotnik już od roku przewodził gromadzie. W latach młodszych dwukrotnie złapano go w pastkę, a raz otłuczono go kijami i porzucono, mniemając, że już puścił z siebie ostatnią parę. Miał więc sposobność poznać zwyczaje i nalogi ludzkie.

Na Skale Narady nie marnowano nigdy słów bez potrzeby. Wilczęta harcowały i borykały się z sobą pośrodku koła, w którym zasiadały ich matki i ojcowie, zaś od czasu do czasu ten lub ów starszy wilk spokojnie podchodził ku któremuś z wilcząt, przyglądał mu się bacznie i powracał na swoje miejsce, nie czyniąc przytem najmniejszego szelustu. Czasami któraś z matek wyprowadzała swoje wilczątko na przestrzeń lepiej oświetloną księżycem, chcąc się upewnić, że nie przeoczono jej pociechy. Akela ze swego siedziska wołał ustawicznie:

— Znacie prawo . . . znacie prawo! Przyjrzyjcie się im dobrze, o Wilcy!

A trwożne matki podchwytywały okrzyk:

— Przyjrzyjcie się . . . przyjrzyjcie się dobrze, o Wilcy!

Aż przyszedł czas, gdy Matce-Wilczycy zjeżyła się szczecina na szyi, bo oto Ojciec Wilk wprowadził Mowglię czyli Żabę (jak oboje nazywali chłopca) w sam środek koła. Chłopak usiadł, śmiejąc się wesoło, i zaczął bawić się okrągłymi kamyczkami, połyskującymi w świetle księżyca.

Akela ani razu nie podniósł lba, wtulonego pomiędzy przednie łapy, ale wciąż jednostajnym głosem powtarzał nawoływanie:

— Przypatrzcie się dobrze-e-e!

Naraz z poza skał ozwał się ryk stłumiony — i głos Shere Khana zawrzasnął:

— To szczenię do mnie należy! Oddajcie mi je! Cóż może obchodzić Wolne Plemię dola ludzkiego szczenięcia?

Akela nawet nie nadstawił słuchów baczniej
Odezwał się tylko:

— Przypatrzcie się dobrze, o Wilcy! Cóż mogą obchodzić Wolne Plemię czyjekolwiek rozkazy, prócz rozkazów Wolnego Plemienia? Przypatrzcie się dobrze-e-e!

Tymczasem rozległ się chór głuchych pomruków — i jeden z czterolatków rzucił Akeli pytanie, postawione przez Shere Khana:

— Co może obchodzić Wolne Plemię dola ludzkiego szczenięcia?

Prawa Dżungli głoszą, że jeżeli zachodzi spór, czy młode szczenię ma być przyjęte do Gromady, tedy musi za niem głosować przynajmniej dwoje członków Gromady, którzy nie są ani jego ojcem ani matką.

— Kto głosuje za tem szczenięciem? — zapytał Akela. — Kto z Wolnego Plemienia głosuje za niem?

Nikt nie odpowiedział na to wezwanie, a Matka stała w pogotowiu, by w razie czego wystąpić do walki, która — wedle jej mniemania — byłaby już ostatnią walką w jej życiu.

Ale nagle zerwał się z miejsca jedyny obcy zwierz, dopuszczony do udziału w Wiecu Gromady. Był nim Baloo, ospały niedźwiedź brunatny, wykładający wilczętom Prawo Dżungli — stary Baloo*), któremu wolno chadzać, gdzie mu się żywnie podoba, jako że żywi się jedynie korzonkami, mio-

*) Czyt. Bałó.

dem i orzechami. Stał na tylnych łapach i chrząknął głośno.

— Chodzi o ludzkie szczenię... o ludzkie szczenię? — odezwał się. — Ja głosuję za ludzkim szczenięciem! Ludzkie szczenię nie może nam zrobić nic złego. Nie mam-ci ja daru wymowy, ale mówię świętą prawdę. Pozwólcie mu biegać z Gromadą i zaliczcie go w jej poczet. Ja biorę na siebie jego naukę.

— Jeszcze jednego nam potrzeba — ozwał się Akela. — Baloo, który jest nauczycielem naszych dzieci, dał głos za ludzkim szczenięciem. Kto dołączy się do głosu Baloo?

Jakiś czarny cień spadł nagle w sam środek koła. Była to Czarna Pantera Bagheera*). Miała na całym ciele skórę czarną, jak atrament — jednakże w pewnym oświetleniu można było dostrzec na niej centki podobne do wzorców na adamaszku. Każdy znał Bagheerę i nikt nie miał ochoty włożyć jej w drogę: była bowiem przebiegła jak Tabaqui, odważna jak dziki bawół, a bezwzględna jak słoń zraniony. Głos jednak miał słodki jak miód dzikich pszczoł sączący się z dziupli, a skórę miększą od puchu.

— Cny Akelo i ty, Wolne Plemię! — zamruczała. — Nie jestem upoważniona do udziału w waszem zgromadzeniu... atoli Prawo Dżungli powiada, że w wypadkach spornych wolno zapomocą okupu ocalić życie nowego szczenięcia. Prawo

*) Czyt. Bagîra.

to jednakże nie określa, komu wolno czy nie wolno składać ten okup. Czy nie mam racji?

— Słusznie mówi! słusznie! — ozwały się młode głodne wilczęta. — Słuchajcie Bagheery. Można złożyć okup za szczenie. Tak głosi Prawo.

— Ponieważ wiem, że nie jestem upoważniona do przemawiania na tem miejscu, proszę was o udzielenie mi głosu.

— Mów! mów! — zawołało ze dwadzieścia głosów.

— Byłoby hańbą zabijać nieowłosione szczenie. Czyż nie lepiej zapolować na nie, gdy podrośnie? Baloo przed chwilą wziął je w obronę. Otóż ja do słów Baloo dodam wołu — i to tłustego — świeżo zabitego o pół mili stąd — jeżeli zgodnie z Prawem przyjmiecie ludzkie szczenie do swego grona. Czy macie jakie skrupuły?

Na to zerwała się wrzawa kilkudziesięciu głosów:

— Czem się tu przejmować? Szczenie i tak zemrze w czasie deszczów zimowych... lub wypali się od słonecznego skwaru. Cóż złego może nam wyrządzić ta goła żaba? Niech sobie biega z naszą gromadą? Gdzież ten wół, Bagheero?... Przyjmijmy to szczenie do naszego grona!

A potem rozległo się głuche naszczekiwanie Akeli:

— Przypatrzcie się dobrze... przypatrzcie się dobrze, o Wilcy!

Mowgli wciąż zabawiał się kamyczkami i nie zwracał uwagi na to, że wilki — jeden po drugim — podchodziły ku niemu i przyglądały mu się

ze wszystkich stron. Wkońcu wszystkie zeszyły ze wzgórza, by zabrać zabitego wołu; pozostał jedynie Akela, Bagheera, Baloo i pobratymy Mowgliego. Shere Khan ryczał jeszcze przez noc całą, gdyż gniewało go to niepomierne, że Mowgli nie dostał się w jego ręce.

— Rycz sobie zdrowo! — mruknęła Bagheera pod wąsem. — Nadejdzie czas, kiedy to gołe stworzonko każe ci ryczeć na inną nutę... chyba że nie znam się na ludziach.

— Dobrze postąpiłaś — odezwał się Akela. — Ludzie, jakoteż ich szczenięta, są niesłuchanie mądrzy. Ten malec może się kiedyś przydać...

— Tak jest, może się przydać w potrzebie... bo nikt nie może żywić nadziei, by miał po wieczne czasy przewodzić gromadzie! — dodała Bagheera.

Akela nic nie odpowiedział. Zamyślił się o tej chwili, która przyjść musi na prowodyra wszelkiej gromady, — o chwili, gdy opuszczać go zaczynają siły, aż do cna osłabiony ginie pod kłami podwładnych mu wilków, a jego miejsce obejmuje nowy naczelnik — by w swoim czasie zginąć też w sposób podobny.

— Zabierz go stąd — odezwał się do Ojca-Wilka — i wychowuj go jak przystało na członka Wolnego Plemienia.

W ten sposób — dzięki poczciwemu słowu niedźwiedzia Baloo oraz za cenę wołu — Mowgli stał się obywatelem Gromady Wilków Seeoneńskich.

A teraz musicie się z tem zgodzić, że przesko-
czy my całe dziesięć czy jedenaście lat i tylko do-
myślać się będziemy tego czarownego trybu życia,
jakie wiódł Mowgli pomiędzy wilkami; gdyby to
wszystko spisać, zapelniloby się tem niejedną
książkę. Wzrastał w gronie wilcząt, choć te —
rzecz oczywista — były już dorosłemi wilkami, gdy
on jeszcze nie przestał być dzieckiem. Ojciec Wilk
wdrażał go do swego zawodu i pouczał o róż-
nych sprawach dżungli, — aż wkońcu każdy sze-
lest w trawie, każde tchnienie ciepłego nocnego
powiewu, każde westchnienie sowy, przelatującej
nad jego głową, każdy zgrzyt pazurków nieto-
perza, przysiadającego na chwilę na drzewie, i każde
plusnięcie rybki w stawie nabrały dlań tego zna-
czenia, jakie ma personel kancelaryjny w życiu
człowieka, prowadzącego rozległe interesy. Gdy
nie był zajęty nauką, kładł się w słońcu i spał,
pozwalał się i znów kładł się do spania. Gdy mu
dokuczal brud lub gorąco, taplał się i pływał
w leśnych jeziorkach, a gdy miał oskomę na miód
(Baloo opowiadał mu, że miód i orzechy są równie
dobre w smaku, jak surowe mięso), wdrapywał się
ku barciom — a Bagheera pokazywała mu, jak się
to robi. Kładła się na jednym z konarów i nawo-
ływała:

— Chodźno tutaj, Mały Bracie!

Początkowo Mowgli gramolił się jak trójpal-
cowy leniwiec; później jednak nauczył się skakać
z gałęzi na gałąź niemal tak śmiało jak szara
malpa.

W czasie zebrań gromadzkich miał swoje miejsce na Skale Narady. Tam dokonał następującego odkrycia: ilekroć wpatrzył się uporczywie w jakiego wilka, wilk natychmiast spuszczał oczy wdół. Od-tąd Mowgli często dla zabawy wpatrywał się w oczy wilkom. Kiedyindziej zabawiał się wycią-ganiem długich cierni z łap swych przyjaciół, — albowiem wilkom bardzo dokuczają ciernie i rzepie, które wpijają się im w skórę.

Nocą schodził ku uprawnym niwom u podnóża góry i z wielką ciekawością przyglądał się wieśnia-kom po chatach, — ale do ludzi żywił nieufność, gdyż Bagheera pokazała mu czworoboczną skrzy-nię z potrzaskiem, tak zręcznie ukrytą wśród dżungli, iż o mało nie wpadł do niej — i wyjaśniła mu, że to pastka do chwytania zwierząt.

Nadewszystko lubił chodzić z Bagheerą w mroczną i ciepłą głąb matecznika, przesypiać gnuśnie wło-kące się dnie, a nocą przyglądać się, jak poluje Bagheera. Gdy jej dokuczał głód, polowała na prawo i na lewo; tak samo postępował Mowgli — z jednym tylko wyjątkiem: gdy już na tyle podrósł, że mógł już to i owo zrozumieć, Bagheera pouczyła go, iż nie wolno mu nigdy tknąć bydła, jako że za cenę wołu został przyjęty do Gromady Wilczej.

— Cała dżungla do ciebie należy — mówiła Bagheera — i możesz zabijać wszystko, co tylko potrafisz zabić; jednakże przez wzgląd na wołu, który był twoim okupem, nie wolno ci zabijać ani zjadać bydła zarówno starego jak i młodego. Tak nakazuje Prawo Dżungli.

A Mowgli stosował się ściśle do tego nakazu. I tak rósł i nabierał sił, jak to bywa z chłopcem, który nie wie o uczeniu się lekcyj i który nie potrzebuje myśleć o niczem, jak tylko o jedzeniu.

Mama Wilczycy wspominała mu kilkakrotnie, że Shere Khan jest stworzeniem, któremu nie należy ufać, oraz kładła mu w uszy, że kiedyś powinien zabić Shere Khana. Gdyby takiej rady udzieliła któremu z młodych wilcząt, pamiętałoby zawsze o jej słowach. Mowgli jednak zapominał o nich, ponieważ był tylko chłopcem — choć, gdyby umiał mówić którymkolwiek z ludzkich języków, nazywałby sam siebie niewątpliwie wilkiem.

A Shere Khan wciąż stawał mu na drodze w dżungli. W miarę jak stary Akela niedoleźniał z wiekiem, kulawy tygrys jął coraz to silniej bratać się z młodszem pokoleniem Plemienia Wilków. Za byle ochłap młode wilczki były gotowe pójść za nim — do czego Akela nigdyby nie dopuścił, gdyby czuł się na siłach utrzymywać należny sobie posłuch i poszanowanie. Przeto Shere Khan głaskał próżność swych towarzyszków, wyrażając zdziwienie, że tak dzielni młodzi łowcy dają się za nos wodzić zdychającemu wilkowi i ludzkiemu szczenięciu.

— Mówiono mi — powiadał Shere Khan, — że na Wiecu Gromadzkim nie odważacie się spojrzeć mu w oczy.

A młode wilczęta jeżyły groźnie sierść i warczały. Bagheera, która umiała zawsze wypatrzyć i podsłuchać, co się święci, kilkakrotnie klarowała

Mowgliemu, że Shere Khan nosi się z myślą, by pewnego pięknego dnia sprzątnąć go ze świata. Ale Mowgli, śmiejąc się, odpowiadał:

— Mam za sobą Gromadę i mam ciebie... a i Baloo, choć tak ociężały, potrafilby ze dwa razy machnąć łapą w mej obronie. Czegóż miałbym się obawiać?

Pewnego bardzo ciepłego dnia doszła do Bagheery nowa wieść, przyniesiona przez kogoś, kto ją słyszał własnymi uszami; być może, że tym zwiastunem był jeżozwierz Ikki. W każdym razie, gdy Mowgli spoczywał w mateczniku dżungli, złożwszy głowę na pięknym czarnym futrze Bagheery, ona odezwała się do niego:

— Mały Bracie, ileż to razy mówiłam ci, że Shere Khan jest twym wrogiem?

— Tyle razy, ile jest orzechów na tej palmie — odpowiedział Mowgli, który, ma się rozumieć, nie umiał liczyć. — I cóż z tego? Chce mi się spać, Bagheero... a Shere Khan to istota długoogoniasta i hałaśliwa... jak paw Mao*).

— Teraz nie czas na spanie. Baloo wie o tem, wiem ja, wie i Gromada... wiedzą nawet głupie sarniuki. Także i Tabaqui mówił mi o tem.

— Ho! ho! — odrzekł Mowgli. — Tabaqui przyszedł niedawno do mnie, plotąc trzy po trzy, że jestem nieowłosionem szczenięciem ludzkim i że nie umiem wykopywać truflí. W odpowiedzi na to złapałem Tabaquiego za ogon i grzmotnąłem

*) Czyt. M6.

nim dwa razy o pień palmy, by dać mu lekcję dobrego wychowania.

— Postąpiłeś niemądrze, bo choć Tabaqui jest wielkim szkodnikiem, jednakże mógłbyś od niego dowiedzieć się niejednej rzeczy, któraby ci się bardzo przydała. Otwórz oczy, Mały Bracie! Shere Khan nie waży się zabić ciebie w dżungli; ale pamiętaj, że Akela bardzo się zestarzał, a wkrótce nadejdzie dzień, w którym nie potrafi upolować kozła... odtąd nie będzie on już naczelnikiem Plemienia. Również i Wilki, które ci się przyglądały, gdy cię przyprowadzono po raz pierwszy na Skאלę Narady, dziś przeważnie już zestarzały, a młode wilczki, podbechtane przez Shere Khana, uważają, że dla ludzkiego szczęścia niema miejsca w Wilczej Gromadzie. Wkrótce wyrośniesz na człowieka.

— I czemuż to dorosłemu człowiekowi nie wolno biegać wraz z braćmi? — odburknął Mowgli. — Wszak urodziłem się w dżungli, byłem posłuszny Prawom Dżungli, a w naszej gromadzie nie było takiego wilka, któremubym nie wyciągnął cierńa z łapy. Któżby wątpił, że oni są moimi braćmi.

Bagheera wyciągnęła się całą długością ciała i przymrużyła oczy.

— Mały Bracie, — odezwała się — dotknij mnie tu, pod szczęką.

Mowgli wyciągnął brunatną krzepką rękę i tuż pod jedwabistym podbródkiem Bagheery, gdzie olbrzymie falujące mięskuly kryły się za osłoną

gładkiego uwłosienia, namacał skrawek skóry całkowicie wyliniały.

— W całej puszczy nikt nie wie, że ja, Bagheera, noszę to piętno... ten ślad obroży. A przecie, Mały Bracie, jam urodziła się pomiędzy ludźmi i matka moja zmarła pomiędzy ludźmi... w królewskim zwierzyńcu w Udejpurze. To było powodem, że zapłaciłam okup za ciebie na Wiecu Wilczej Gromady, gdy byleś małym голуśkiem szczeniakiem. Tak jest, ja także urodziłam się pomiędzy ludźmi. Wówczas to ani razu nie widziałam dżungli; poprzez kraty podawano mi jadło na żelaznej misie. Pewnej nocy poczułam, że jestem panterą — Bagheerą — a nie zabawką ludzką. Jednym ciosem łapy skruszyłam słabą zaporę i uciekłam... a ponieważ nauczyłam się ludzkich fortelów, stałam się większym postrachem dżungli, niżli Shere Khan. Nie jest-że to prawdą?

— Tak jest — odpowiedział Mowgli. — Cała dżungla boi się Bagheery... wyjątkiem jest tylko Mowgli.

— Ach, ty jesteś ludzkim szczeniakiem — rzekła z wielką tkliwością Czarna Pantera; — i jak ja powróciłam do mej dżungli, tak samo ty w końcu musisz powrócić do ludzi... do ludzi, którzy są twoimi braćmi... Musisz powrócić... o ile nie zabiją cię wilki na Wiecu Wilczym.

— Ale czemu... czemu ktoś pragnąłby mnie zabić? — zapytał Mowgli.

— Patrz mi w oczy — odrzekła Bagheera.

Mowgli jął wpatrywać się w jej oczy. W pół minuty później wielka pantera odwróciła w bok głowę.

— Oto jest przyczyna — odpowiedziała, przebieając łapą wśród liści. — Nawet ja nie umiem patrzeć ci w oczy... a przecież urodziłam się między ludźmi i kocham cię, Mały Bracie. Inni nienawidzą cię za to, że nie mogą zmierzyć się z tobą wzrokiem... za to, że jesteś mądry... że wyciągałeś im z łap ciernie... za to, że jesteś człowiekiem.

— Nie wiedziałem o tem — odrzekł Mowgli markotnie, a brew mu się nasępiła ciężkim łukiem.

— Jak opiewa Prawo Dżungli? Najpierw uderzaj, a potem dopiero głosu dobywaj. Już z samej twej beztroski zwierzęta poznają w tobie człowieka. Ale miejże się na baczności. Trapi mię myśl, że skoro tylko Akela poszkapi się w łowach (a na każdej wyprawie coraz mu ciężiej przychodzi upolować kozła), Gromada wyrze swój gniew na nim i na tobie. Zwołają więc na Skale Narady... a wówczas... a wówczas...

Ledwie domówiwszy tych słów, Bagheera pode-
rwała się z miejsca:

— Mam, mam pomysł! Biegnij, co żywo w dolinę, ku chatom ludzkim, i przynieś-no stamtąd odrobinę czerwonego kwiecica, które oni hodują... a gdy przyjdzie odpowiednia pora, będziesz miał potężnego sprzymierzeńca... potężniejszego niż ja i Baloo oraz ci z Gromady, którzy cię kochają. Chybaj po Czerwone Kwiecie!

Mówiąc o Czerwonym Kwieciu, Bagheera miała na myśli ogień. Żywiol ten budzi w każdym dzi-kiem zwierzęciu śmiertelną trwogę, przeto żaden z mieszkańców matecznika nie waży się nazwać ognia po imieniu, ale wynajduje tysiące sposobów na jego opisanie.

— Czerwone Kwiecie? — zapytał Mowgli. — Aha! Ono zakwita o zmierzchu w ich osadach. Owszem, przyniosę je tutaj.

— Tak oto przemawia szczenię ludzkie! — rzekła z dumą Bagheera. — Pamiętaj, że Kwiat ten rośnie w małych doniczkach. Przynieś jedną z nich i zachowaj przy sobie na wypadek potrzeby.

— Dobrze! — odrzekł Mowgli. — Już idę! Ale czy jesteś pewna, moja Bagheero, — to mówiąc otoczył ramieniem jej wspaniałą szyję i zajrzał w źrenice jej ogromnych oczu, — czy jesteś pewna, że wszystko to, o czym mówiłaś, jest naprawdę sprawką Shere Khana?

— Na Wylamaną Zaworę, dzięki której odzyskałam wolność! Jestem tego pewna, Mały Bracie!

— A zatem — na Wołu, który był okupem za mnie! — zapłacę Shere Khanowi wszystko co do joty, a może i z nawiązką!

To rzekłszy, Mowgli zerwał się z miejsca i oddalił się w wielkich susach.

— To człowiek! To człowiek w każdym calu! — odezwiała się Bagheera sama do siebie, kładąc się znów na ziemi. — Ha, Shere Khanie! Jak świat światem, nie oglądano łowów nieszczęśliwszych

nad to żabolówstwo, które uprawiałeś przed dzie-
sięcioma laty!

Mowgli mknął i mknął, co sił, poprzez knieję, a serce paliło mu w piersi. Gdy dotarł do jaskini, nad ziemią snuła się mgła wieczorna. Odetchnął głęboko i spojrział w dolinę. Wilczków młodych nie zastał, — jeno Matka Wilczyca spoczywała w głębi jaskini. Słyszając jego głośny oddech, odrazu się domyśliła, że jej żabuchnę nurtuje jakiś niepokój.

— Co ci jest, synku? — zapytała.

— E, słyszałem jakieś gackowate gadania o Shere Khanie! — krzyknął jej w odpowiedzi. — Dziś nocą będę polował na uprawnych polach!

I dał nurka w zarośla, kierując się ku rzece na dnie doliny. Tam zatrzymał się, — posłyszawszy wrzawę polującej Wilczej Gromady. W chwilę później do uszu jego doszło pobekiwanie Sambhura oraz parsknięcie, świadczące, że poszczuty kozieł zwrócił się ku ścigającym; wówczas rozległy się zapamiętałe, złośliwe wycia młodych wilków.

— Akela! Akela! Niechno Samotny Wilk pokaże co umie! Ustąpić z drogi Naczelnikowi Gromady! Nuże, do dzieła, Akelo!

Snadź Samotny Wilk rzucił się na ofiarę i nie dopadł jej, gdyż Mowgli posłyszał głośnie kłapięcie jego szczęk, a następnie poszczekiwanie nieboraka, powalonego przez Sambhura na ziemię uderzeniem przednich odnóży.

Chopak nie czekał dalszego przebiegu walki, lecz puścił się w dyrdy przed siebie. Wrzawa wil-

ków cichła coraz bardziej, w miarę jak zapuszczał się wgląb uprawnego obszaru, zamieszkanego przez ludzi.

— Prawdę mówiła Bagheera — szepnął zziębnięty, usadowiwszy się na stogu siana pod oknem jakiejś chaty. — Dzień jutrzejszy będzie równie ważny dla mnie jak i dla Akeli.

Przysunął twarz tuż do okna i zapatrzył się w ogień, płonący na palenisku. W nocy widział, jak żona człowieka wstawiała i zapomocą czarnych bryłek podsycala ognisko. Gdy zaś nastął poranek i wszędy wokół bielily się chłodne mgły, obaczył, iż dziecko człowiecze wyciągnęło wiklinowy koszyk, wylepiony wewnątrz gliną, nasypało weń rozżarzonych węgli, ukryło go pod oponczą i wyszło na dwór, by wypędzić na paszę krowy, zamknięte w oborze.

— Więc to tylko tyle? — rzekł Mowgli do siebie. — Jeżeli takie szczeniátko daje sobie z tem radę, to niema czego się obawiać!

Okrążywszy róg chalupy, zaszedł drogę chłopakowi, wyjął mu z rąk naczynie i przepadł we mgle, pozostawiając chłopaka, wrzeszczącego w niebogłosy z przerażenia.

— Ludzie są bardzo podobni do mnie, — zauważył Mowgli, dmuchając w naczynie, jak to był podpatrzył u wieśniaczki. — Ale to lichy jeszcze mi zdechnie, jeżeli mu nie dam czegoś do jedzenia...

To mówiąc, rzucił garstkę badyli i suchej kory na pastwę czerwonemu żywiolowi.

W połowie wzgórza spotkał Bagheerę, na której futrze perlily się lśniące krople rosy.

— Akela się poszkapil — oznajmiła mu pantera. — Już w noc ubiegłą zgłodzonoby go ze świata, gdyby nie to, że wraz z nim chciano sprzątać i ciebie. Czatowano na ciebie na szczycie wzgórza.

— Przebywałem wśród pól uprawnych. Jestem już gotów! Przypatrz-no się!

I podniósł przyniesioną fajerkę.

— Byczo! Teraz słuchaj, co ci jeszcze powiem. Widywałam, jak ludzie wtykali w to-to suchą gałąź... i nagle na jej końcu rozkwitało Czerwone Kwiecie. Czy ty się nie lękasz?

— Gdzietam! Czegóż miałbym się lękać? Przypominam sobie teraz (a może mi się tylko śniło), że zanim zostałem wilkiem, nieraz spoczywałem koło Czerwonego Kwiatu... Było mi wówczas tak ciepło i przyjemnie!

Cały ów dzień Mowgli przesiedział w jaskini, doglądając fajerki i wrzucając do niej suche gałązki, by nasycić oczy ich widokiem. Wkońcu znalazł gałąź, która mogła rozgorzeć dostatecznym płomieniem. Gdy zaś wieczorem przyszedł pod jaskinię Tabaqui i szorstkim tonem oznajmił Mowgliemu, że wezwano go na Skalę Narady, chłopak poczał śmiać się tak serdecznie, że Tabaqui, nie wiedząc co się święci, zbiegł jak niepyszny.

Ostatecznie jednak Mowgli, acz zanosząc się od śmiechu, przybył na zebranie. Samotny Wilk Akela leżał obok swego głazu, na znak, że miejsce naczel-

nika jest opróżnione. Shere Khan całkiem jawnie przechadzał się tam i napowrót wraz z orszakami laszających się doń wilków, wypasionych odpadkami jego żywności. Bagheera ułożyła się koło Mowgliego, który kolanami osłonił fajerkę. Gdy wszyscy już się zebrali, pierwszy głos zabrał Shere Khan — do czego nie dopuszczonoby za nic w świecie, póki Akela był jeszcze w pełni sił męskich.

— On nie ma prawa przemawiać — szepnęła Bagheera. — Powiedz mu to! Ten psubrat się złąknie!

Mowgli zerwał się z miejsca.

— Obywatele Wolnego Plemienia! — zawołał. — Odkąd to Shere Khan został naczelnikiem Gromady? Kto pozwolił tygrysowi przewodzić nad nami?

— Ponieważ widziałem, że miejsce naczelnika jeszcze jest niezajęte, i ponieważ proszono mnie, bym przemawiał... — jął tłumaczyć się Shere Khan.

— Kto cię prosił? — huknął Mowgli. — Czyż wszyscy tu obecni są szakalami, by łaścić się temu bydłobójcy? Jedyne Gromada ma prawo rozstrzygać sprawę naszego zwierzchnictwa!

Rozległy się wrzaski:

— Stul pysk, szczeniaku ludzki!

— Pozwólcie mu mówić!

— On przestrzegal naszych praw!

Wkońcu zagłuszyła wrzawę starszyzna Gromady, wołając:

— Pozwólcie mówić Zdechłemu Wilkowi!

Gdy naczelnik Gromady poszkapi się w łowach, nosi odtąd miano „Zdechłego Wilka“ przez resztę — niedługiego zazwyczaj — żywota.

Akela z wysiłkiem podniósł łeb sędziwy:

— Obywatele Wolnego Plemienia oraz wy, szakale Shere Khana! Przez wiele pór deszczowych i gorących wiodłem was na łowy i w triumfie odprowadzałem was do domu. Przez cały ten czas żaden z was nie wpadł w pułapkę ani nie poniósł szwanku na ciele. Teraz nie poszczęściło mi się w łowach. Wszystkim wam wiadomo, jak przygotowano tę zasadzkę na mnie. Wszystkim wiadomo, że chcąc ujawnić moją słabość, kazaliście mi rzucić się na kozła, którego jeszcze nie wypróbowałem. Postąpiliście bardzo sprytnie... a teraz macie prawo zabić mnie tutaj, na Skale Narady. Zapytuję was przeto: kto wystąpi, by zadać cios śmiertelny Samotnemu Wilkowi? Albowiem Prawa Dżungli dozwalają mi potykać się z wami w pojedynkę.

Zapanowała dłuższa cisza — gdyż żaden z wilków nie śmiał stanąć do śmiertelnej rozprawy z Akelą. Naraz rozległ się ryk Shere Khana:

— Hej, co tam sobie głowę zaprzętać tym bezębnym durniem! Toż jemu i tak śmierć pisana! Ale to szczenię ludzkie zadługo już przebywa na tym świecie. Obywatele Wolnego Plemienia! ten szczeniak już od pierwszej chwili swego życia dany mi był na pożarcie. Oddajcie mi go! Dość już tej jego błazenady, tej zabawy w wilkołaka! Już od dziesięciu pór deszczowych nieznośny szczeniak trapi naszą dżunglę. Oddajcie mi go... bo w prze-

ciwnym razie będę polował tu ustawicznie, a dla was nie okroi się z tego ani kosteczka. On jest człowiekiem... człowieczem dziecięciem... a ja go nienawidzę aż do szpiku kości!

Wówczas zgórą polowa Wilczej Gromady zawyla:

— Człowiek! Człowiek! Co tu porabia człowiek pośród nas? Niech się wynosi tam, skąd przyszedł!

— ... Żeby podburzył przeciw nam całą ludność wiejską? — huczał Shere Khan. — Nie! Oddajcie go w moje łapy! On jest człowiekiem i zaden z nas nie wydzierży patrzeć mu w oczy!

Akela znów podniósł leb i odezwał się:

— On jadł naszą strawę, sypiał z nami, ścigał dla nas zwierzynę. Nie złamał najdrobniejszego przepisu Praw Dżungli.

— A należy też pamiętać, że dałam wam wołu w okupie za niego! Cena wołu nie jest wielka, ale honor Bagheery wart jest tego, by stoczyć choćby zawziętą walkę w jego obronie — ozwała się Bagheera najłagodniejszym głosem, na jaki ją stać było.

— Co tam wspominać wołu, danego w okupie przed dziesięcioma laty! — zawarczała zgraja. — Co nas obchodzą kości z przed lat dziesięciu?

— ... i dana przez was rękojmia? — dorzuciła Bagheera, szczerząc białe zębce. — Zaiste! Słusznie was nazwano Wolnem Plemieniem! U was wszystko wolno... wolno nawet nie liczyć się z honorem!

— Szczęnię ludzkie nie powinno bratać się z plemionami dżungli! Oddajcie mi moją własność!

— Ono jest naszym bratem, różniącym się od nas jedynie krwią — ciągnął dalej Akela, — a wy oto tego brata chcecie zabić? Zaprawdę, zbyt już długo żyłem na tym świecie. Niektórzy z was pozerają bydło, a o innych słyszałem, że za wzorem Shere Khana podchodzą ciemną nocą do wsi i porywają z chat niemowlęta. Wnoszę stąd, że jesteście tchórzami... więc też mówię do was, jak do tchórzów. Szkoda, że rychło umrę i że moje życie nie przedstawia żadnej wartości... gdyby było inaczej, ofiarowałbym je chętnie wzamian za życie ludzkiego szczęścia. Jednakże na honor Gromady (o którym, niby o rzeczy błahej, zapomnieliście od chwili, gdy utraciliście wodza!), na honor Gromady obiecuję wam, że jeżeli pozwolicie ludzkiemu szczęściu odejść, gdzie mu się żywnie podoba, nie wyszczerzę ani jednego zęba przeciwko wam, lecz zginę bez walki. W ten sposób conajmniej trzech Członkowie Gromady będą zachowani przy życiu. Więcej uczynić nie potrafię; w każdym razie, o ile się zgodzicie, ocalę was od hańby, jaka spada na tego, kto morduje brata nie ponoszącego względem was żadnej winy... brata przyjętego i wykupionego do Gromady według Praw Dżungli.

— On jest człowiekiem — człowiekiem — człowiekiem! — warknęła Gromada i większość wilków skupiła się dokoła Shere Khana, który jął z gniewu wymachiwać ogonem.

— Teraz od ciebie wszystko zależy — mruk-
nęła do Mowgliego Bagheera. — Nie pozostało
nam nic innego jak walka.

Mowgli stanął na równe nogi — dzierząc w dło-
niach fajerkę. Przeciągnął się i ziewnął, chcąc oka-
zać wzgardę wiecującym; atoli w sercu gorzał bó-
lem i wściekłością — albowiem nigdy dotąd wilki
taką wilczą mową nie wyraziły mu, jak go niena-
widzą.

— Słuchajcie, wy...! — krzyknął. — Dość już
tego psiego szczekania! Przez całą noc dzisiejszą
wypominaliście mi ustawicznie, że jestem człowie-
kiem. Więc choć, dalibóg, wołałbym być wilkiem
i przebywać wśród was do końca życia — uświadom-
miłem sobie wkońcu, że słowa wasze są prawdziwe.
Odtąd nie będę nazywał was braćmi, ale psami,
sag, jak zwykł nazywać was człowiek. Nie waszą
jest rzeczą rozstrzygać, jak macie względem mnie
postąpić. Sprawa cała zależy jedynie *ode mnie*...
Chcąc wam ją lepiej wyjaśnić, ja — człowiek —
przyniosłem wam odrobinę Czerwonego Kwiecia,
którego wy tak się boicie, psy nikczemne!

To rzekłszy, cisnął na ziemię fajerkę. Kilka
żarzących się węgli upadło na kępę suchego mchu,
która natychmiast zajęła się jasnym ogniem. Na
widok buchających płomieni całe zgromadzenie
rozbiegło się w popłochu.

Mowgli wetknął w ogień uschlą gałąź, a gdy jej
odrośle poczęły jarzyć się i trzeszczyć, wznosił tę
żagiew i począł wywijać nią ponad głowę. Wilki
struchlały i w trwodze przypadły do ziemi.

— Teraz jesteś ich panem! — rzekła półgłosem Bagheera. — Ocal od śmierci Akełę. On zawsze był ci przyjacielem.

Akela, posępne stare wilczysko, który nikogo w życiu nie prosił o zmiłowanie, rzucił błagalne spojrzenie na Mowliego. Chłopak stał nagi w świetle gorejącej żagwi, rozrzucającej wokół drzące i chybotliwe cienie, a grzywa czarnych włosów rozwiała mu się groźnie nad karkiem.

— Dobrze! — ozwał się Mowgli, wodząc dokoła roziskrzonym wzrokiem. — Widzę, że jesteście psubraty! Porzucę was i pójdę do moich współplemieńców... o ile oni istotnie są moimi współplemieńcami. Dżungla jest przede mną zamknięta, winienem zatrzeć w sobie pamięć waszej gwary i obcowania z wami... ale okażę się bardziej wspaniałomyślnym od was. Ponieważ byłem waszym bratem, różniącym się od was jedynie krwią, przeto obiecuję wam, że gdy będę człowiekiem i zamieszkać między ludźmi, nie zdradzę was, jak wyście mnie zdradzili, nędznicy!

Kopnął nogą ognisko, aż skry rozsypały się wokół.

— Ani ja ani nikt z moich nie będzie napastował Wilczej Gromady. Ale zanim od was odejdę, muszę wpięć się z pewnego długu.

Podszedł do Shere Khana, wpatrującego się głupowato przymrużonemi oczyma w ogień, i schwytał go za sierść na podgardlu. Bagheera na wszelki wypadek nie odstępowała ani na krok od przyjaciela.

— Wstawaj, psubracie! — krzyknął Mowgli. — Wstań, gdy mówi do ciebie człowiek! Jeżeli mnie nie posłuchasz, to ci tą żagwią osmałę futro!

Shere Khan złożył potulnie uszy po sobie i przy-mknął oczy, bo płonąca gałąź mignęła mu się tuż przed nosem.

— Ten bydłobójca zapowiadał, że zabije mnie wobec waszego zgromadzenia, ponieważ nie udało mu się zabić mnie, gdym był jeszcze niemowlęciem. Ale my, gdy wyrastamy na dojrzałych ludzi, sprawiamy psom tęgie lanie . . . tak, o tak, tak, tak! Spróbuj-no choć wąsem ruszyć, Lungri, a wpakuję ci Czerwony Kwiat w samą gardziel!

To mówiąc, tłukł zawzięcie Shere Khana po łbie gałęzią, a tygrys skomlał i skowtył, przejęty śmiertelną trwogą.

— Tfu! . . . A teraz umykaj, oszelmowany leśny kocie! Ale zakarbuju sobie w pamięci, że gdy następnym razem przyjdę, już jako człowiek, na Skalę Narady, głowę moją i plecy zdobić będzie skóra Shere Khana! . . . Posłuchajcie i wy, pozostali! Akela będzie żył i ma prawo chodzić, gdzie mu się podoba. Wy nie odważycie się go zabić . . . bo ja na to nie pozwolę! Nie myślcie też, że pozwolę wam tu jeszcze siedzieć i bezczelnie wywalać jęzory, jakbyście byli czemś więcej, niż psami, które w tej chwili przegonię na cztery wiatry! . . . Huzia! Huzia! . . .

Płomień na końcu gałęzi rozgorzał oszaleniającym blaskiem, a Mowgli siekł na odlew w prawo i w lewo po całym zgromadzeniu. Wilki wśród

przeraźliwego wycia zaczęły uciekać — iście jak oparzone — gdyż sypiące się iskry poczęły już tlić się w ich kudłach. Wkońcu pozostali na placu tylko Akela, Bagheera oraz conajwyżej dziesiątek wilków, stojących zawsze wiernie po stronie Mowgliego.

A wówczas — ni stąd ni zowąd — poczęło Mowgliego coś boleć na wewnątrz, jak nie bolało go nigdy dotychczas. Westchnął głęboko i zaszlochął, a łzy pociekły mu po twarzy.

— Co to takiego? Co to takiego? — odezwał się sam do siebie. — Nie mogę opuścić dżungli... i sam nie wiem, co się ze mną dzieje... Czyżbym już miał umrzeć, Bagheero?

— Nie, Mały Bracie! To tylko łzy... spotyka się je nieraz u ludzi... — odpowiedziała Bagheera. — Teraz wiem, że jesteś już człowiekiem, a nie ludzkiem szczenięciem. Odtąd już dżungla naprawdę jest zamknięta przed tobą!... To tylko łzy, mój Mowgli... Nic to! niech sobie płyną!

Przeto Mowgli usiadł i płakał rzewnie, jakby mu serce pęknąć miało. Był to pierwszy płacz w jego życiu...

— A teraz — odezwał się nagle — pójdę pomiędzy ludzi! Ale wpierw muszę się pożegnać z matką.

To rzekłszy, podążył do jaskini, gdzie mieszkał Ojciec Wilk z Matką Wilczycą. Przytulił się do jej futra i płakał na cały głos, a cztery wilczęta wtórzyły mu żałośliwym wyciem.

— Nie zapomnicie o mnie? — spytał Mowgli.

— Nigdy, o nigdy, póki tylko będziemy umiały
zwęszyć twe ślady — odpowiedziały wilczęta. —
Gdy będziesz człowiekiem, przychodź czasami do
podnóża naszej góry, byśmy mogły pogwarzyć
z tobą; my zaś będziemy zachodzić na uprawne
pola, by pobawić się z tobą w nocy.

— Wracaj rychło! — rzekł Ojciec Wilk. —
Wróc do nas jak najrychlej, mądra żabucho . . . bo
i matka twoja i ja jesteśmy już mocno starzy!

— Wracaj rychło, synusiu, mój ty mały go-
lasku! — dodała Mama Wilczyca. — Bo przyznam
ci się, dziecię człowiecze, żem kochała cię bardziej,
niż potrafiłabym kochać rodzone moje szczenięta!

— Przyjdę, przyjdę z pewnością — odpowie-
dział Mowgli, — a gdy powrócę, rozścielę skórę
Shere Khana na Skale Narady. Nie zapominajcie
o mnie! Powiedzcie mieszkańcom dżungli, by
nigdy o mnie nie zapominali . . .

Świt począł rozjaśniać niebo, gdy Mowgli sa-
motnie schodził ze zbocza góry, by spotkać się
z tajemniczymi istotami, noszącymi miano Ludzi.

PIEŚŃ MYŚLIWSKA GROMADY SEEONEN-
SKIEJ.

Gdy świt błysnął na niebie, Sambhur beczeć za-
czyna —

Najpierw raz — potem drugi i trzeci!

I łось rogacz wyskoczył — i łось rogacz wyskoczył —
Z gąszczy lasu, z nad stawu, gdzie żeruje zwierzyna.
Jam na czatach samotnych go zoczył —

Najpierw raz — potem drugi i trzeci!

Gdy świt błysnął na niebie, Sambhur beczeć za-
czyna —

Najpierw raz — potem drugi i trzeci!

I wnet wilk się przekrada — i wnet wilk się prze-
krada,

By wieść zanieść radosną do drużyny, do stada —
A my tropim i wężym i głosimy na śladach —

Najpierw raz — potem drugi i trzeci!

Gdy świt błysnął, zawyła cała Wilcza Drużyna —

Najpierw raz — potem drugi i trzeci!

Wierna puszcza nie zdradzi wilczych śladów i kroku!
Nasze ślepia nam drogę oświecą w półmroku!

Język trzymać na wodzy! Baczność! Czas już do
skoku —

Najpierw raz — potem drugi i trzeci!

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.

ŁOWY WĘŻA KAA

Centki są chlubą lamparta, a dumą bawołu są rogi;
Bądź czysty, bo tęgich myśliwców poznajem po skórze
chędogiej! —

Jeśli stwierdzisz, że bodzie buhaj lub Sambhur włochaty,
Nie ucz nas tego — bo myśmy już o tem wiedzieli przed
laty! —

Nie dręcz cudzych szczeniątek, lecz sercem do nich lgnij
łatwo,

Bo choć są niezgrabne i małe, mogą Niedźwiedzia być
dziatwą! —

„Niemasz nade mnie!“ — powiada szczenię, gdy pierwszy
je triumf omami;

Lecz wielka jest dżungla, a szczenię tak małe! Niech język
ma za zębami!

Przykazania misia Baloo.

Wszystko, co tu opowiedziano, zdarzyło się
w jakiś czas przedtem, nim Mowgli porzucił
Gromadę wilków seeoneńskich i zemścił się nad
trygrysem Shere Khanem. Było to w dniach, kiedy
miś Baloo uczył go praw Dżungli. Wielkie, poważne,
brunatne niedźwiedzisko nie posiadało się z ra-
dości, że ma tak pojętnego ucznia. Albowiem
młode wilczki zwykły przyswajać sobie z Praw
Dżungli tylko to, co znajduje zastosowanie w obrę-
bie ich gromady i plemienia — i wymykają się na
wagary, gdy tylko umieją powtórzyć następującą
zasadę łowiecką:

Stopy, które nie czynią szelestu, —
oczy, które potrafią przeniknąć ciemność, —
uszy, które zdolne są przechwycić tchnienie
wiatru powstającego, —
białe i ostre zębce, —
oto przymioty, które cechują naszych braci,
z wyjątkiem znieawidzonego przez nas szakala
Tabaqui

i równie znieawidzonej hieny.

Atoli Mowgli, jako że był szczenięciem ludzkim, musiał uczyć się znacznie więcej. Czarna Pantera Bagheera nieraz skradała się nieobaczkiem przez puszcze, by podpatrzeć, jakie postępy czyni jej pupilek, i oparłszy głowę o pień drzewa, mruczała z zadowoleniem, gdy Mowgli wygłaszał zadane lekcje wobec Baloo. Chłopak umiał równie dobrze wspinać się po drzewach, jak pływać, a pływał równie dobrze, jak biegał. Przeto Nauczyciel Prawa, Baloo, uczył go wszelkich przepisów zarówno leśnych jak i wodnych. Uczyl go więc, jak odróżnić gałąź zdrową od spróchniałej, — jak przemawiać grzecznie do dzikich pszczół, na wypadek, gdyby zdarzyło mu się zetknąć z ich rojem na wysokości pięćdziesięciu stóp ponad ziemią, — jak odzywać się do nietoperza Manga, gdyby zdarzyło się przerwać jego drzemkę południową wśród gałęzi, — i jak ostrzegać śpiące w kałużach węże wodne, zanimby dał nurka w głąb wody. Żadne z Plemion Dżungli nie lubi, by mu zakłócać spokój, i każde z nich jest nader skłonne do tego, by sprawić tęgą wciereę dokucznikowi.

Zczasem Mowgli nauczył się także Łowieckiego Wołania Przybyszów, które należało powtarzać głośno, póki nie otrzyma się odpowiedzi — ilekroć wypadnie polować poza obrębem własnego łowiska. Hasło to, w przekładzie na język ludzki, brzmi:

— Pozwólcie mi polować tutaj, bo jestem glo-o-odny!

A odpowiedź jest następująca:

— Poluj-że więc, ale z potrzeby, nie dla przyjemno-o-ści!

Z tego wszystkiego widać, ilu to rzeczy musiał Mowgli nauczyć się na pamięć; nic też dziwnego, że nieraz bardzo go męczyło powtarzanie po sto razy tej samej rzeczy. Ale oto co Bagheerze oświadczył Baloo pewnego dnia, gdy Mowgli dostał w skórę i uciekł z lekcji na wagary:

— Ludzkie szczenię jest ludzkim szczenięciem, więc powinno nauczyć się *wszystkich* praw dżungli!

— Ale miejże na uwadze, że on jeszcze młody!
— odpowiedziała czarna pantera, która napewno by na nie rozpieściła Mowglię, gdyby go powierzono jej opiece. — Jakże ta mała głowina pomieści tyle mądrości?

— Jest-że w puszczy stworzenie tak małe, by nie można go było zabić? O, nie!... Dlatego to uczę go wszystkiego i dlatego biję go. bardzo delikatnie zresztą, ilekroć czegoś zapomni.

— Delikatnie! — mruknęła Bagheera. — Ładne masz pojęcie o delikatności, stary Waliskóro! Do-

wodem twej delikatności są zapewne te sińce, które upstrzyły całą twarz chłopca... Och!

— Chyba lepiej, żeby został pobity na miazgę przeze mnie, który go miłuję, niż żeby nieuctwo miało narażać go na gorsze klęski! — odpowiedział Baloo z wielką powagą. — Właśnie uczę go czarodziejskich słów dżungli, które zapewnią mu pomoc ze strony ptaków i Plemienia Wężów i wszelkich czworonogów, z wyjątkiem własnej gromady. Teraz może wzywać pomocy od wszystkich zwierząt, jakie żyją w dżungli... o ile tylko będzie pamiętał owe słowa. Czyż dla tej korzyści nie warto dostać czasami wskórę?

— No, no... tylko uważaj, żebyś mi nie zabił ludzkiego szczenięcia! Toż on nie jest kłoda, byś na nim ostrzył stępione pazury! Ale jakież to są owe czarnoksiężskie słowa? Wprawdzie wolę udzielać innym pomocy, niż prosić o nią — to mówiąc Bagheera wyprostowała jedną łapę i z lubością przyglądała się dłutkowatym, drapieżnym pazurom, o sinym stalowym odblysku, — jednakże pragnęłabym ich się nauczyć.

— Zawołam Mowgliego, to ci je powtórzy, o ile będzie miał ochotę. Chodźno, Mały Bracie!

— E, w głowie mi szumi, jakby się w niej osiedlił cały rój pszczół! — odpowiedział niechętny głosik ponad ich głowami. W tejże chwili po pniu drzewnym ześliznął się Mowgli, bardzo gniewny i nadąsany. Stanąwszy na ziemi, dorzucił:

— Przychodzę do Bagheery, a nie do ciebie, stary, opasły Baloo!

— Wszystko mi jedno! — odpowiedział Baloo, choć czuł się mocno dotknięty. — Powtórz więc Bagheerze czarnoksięskie słowa dżungli, jakich nauczyłem cię dzisiaj.

— Czarnoksięskie słowa?... ale dla jakiego plemienia? — zapytał Mowgli, wielce rad, że będzie mógł się popisać. — Dżungla mówi wieloma językami... Ja znam wszystkie!

— Trochę ich ta znasz, ale nie tak dużo, mój synku! Przypatrz-no się Bagheero, jak te smyki nigdy nie okazą wdzięczności swym nauczycielom! Nie zdarzyło się jeszcze, by które z małych wilcząt przyszło podziękować staremu Baloo za naukę. Powiedz-że więc, wielki mędrce, jakich to czarnoksięskich słów używają plemiona polujące.

— Ja i Wy jesteśmy jednej krwi! — przemówił Mowgli, nadając tym słowom akcent niedźwiedzi, używany przez wszystkie plemiona polujące.

— Dobrze! A teraz... jak się przemawia do ptaków?

Mowgli powtórzył całe zdanie i zakończył je gwizdem, jaki wydaje kania przed deszczem.

— A teraz przemów do Plemienia Węzów!

W odpowiedzi na to rozległ się syk, niedający się zgola odtworzyć, poczem Mowgli wierzgnął nogami wtył, klasnął w dłonie na znak zadowolenia i, skoczywszy na grzbiet Bagheery, siadł na nim okrakiem, hębniąc piętami po jej gładkiem futrze i wykrzywiając się staremu Baloo, jak tylko umiał najzłośliwiej.

— Widzicie go, widzicie! Warto by mu za to trochę skórę wyłoić! — odezwał się z czułością bury niedźwiedź. — Ale przyjdzie czas, że będziesz o mnie pamiętał!

Poczem obrócił się w bok i zaczął opowiadać Bagheerze, jak wyprosił owe czarnoksięskie słowa od dzikiego Słonia Hathi, który zna się na nich wybornie, — jak wspomniany Hathi zaprowadził Mowglię do leśnego bajorka, by od węża wodnego wyuczył się zakłęcia wężów, którego Baloo nie umiał wymówić, — i jak to obecnie Mowgli był skutecznie zabezpieczony przeciwko wszelkim przygodom na obszarze dżungli, ponieważ ani zmija ani ptak ani żadne zwierzę nie mogły mu uczynić krzywdy.

— Nie potrzebuje się więc lękać nikogo! — zakończył Baloo, klepiąc się z dumą po kosmatym brzuchu.

— Z wyjątkiem własnego plemienia! — mruknęła półgłosem Bagheera, poczem już głośno ozwała się do Mowglię: — Uważaj na moje zębra, Mały Bracie! Co mają oznaczać te koziołki po moim grzbiecie?

Mowgli już od dłuższego czasu starał się zwrócić na siebie uwagę rozmawiających, skubiąc Bagheerę za włosy poniżej karku i kopiąc ją z całej siły. Kiedy oboje umilki i byli gotowi go słuchać, począł wrzeszczeć na całe gardło:

— Aha! I ja będę miał swoją własną gromadę i będę ją całymi dniami wodził po gałęziach drzew.

— Co ci się znów przyśniło, mały marzycielu? —
ofuknęła go Bagheera.

— Tak jest!... i będę rzucał gałęzmi i błotem
na głowę starego Baloo! — ciągnął dalej Mowgli.
— Już mi to obiecali moi koledzy! Aha!

— U-uff!

Ogromne łapsko niedźwiedzia ściągnęło Mowgliego z grzbietu Bagheery. Znalazłszy się w jego potężnych objęciach, chłopak zmiarkował, że nauczyciel jest niepomiernie rozgniewany.

— Mowgli! — odezwał się Baloo, — Widzę, że się spoufalileś z *Bandar-logiem*, Plemieniem Małp!

Mowgli spojrział na Bagheerę, by przekonać się, czy i ona się na niego gniewa. Oczy Bagheery wpatrzone były weń uporczywie i twardo — podobne dwom bryłkom jaspisu.

— Przystawałeś z Plemieniem Małp... z szaremi koczkodanami... plemieniem bez praw... wszystkożerną hałastrą! Wstyd! hańba!

— Gdy Baloo rozbił mi głowę — odrzekł Mowgli leżąc na wznak, — poszedłem sobie precz, na wargary! Wtedy szare małpy zlazły z drzew i okazywały mi wielkie współczucie. Pozatem nikt nie ulitował się nade mną.

— Ładne mi współczucie ze strony Małpiego Plemienia! — burknął Baloo. — Równie dobrze możnaby mówić o spokoju górskiego strumienia lub chłodzie słońca w porze letniej... A cóż było potem, ludzki szczeniaku?

— Potem... potem... przyniosły mi orzechów i innych dobrych rzeczy... i... i zaniosły mię na

rękach aż na sam wierzchołek drzewa... i powiedziały mi, że jestem ich krewnym... tylko bez ogona... i że kiedyś zostanę... ich naczelnikiem.

— One nie mają naczelnika! — przerwała Bagheera. — Małpy skłamały! One zawsze kłamią!

— Były bardzo grzeczne dla mnie... i prosiły, żebym je odwiedził powtórnie. Czemu-to nikt dotąd nie zaprowadził mnie do Małpiego Plemienia? One chodzą na dwóch nogach, podobnie jak ja... nie biją mnie twardą łapą... i bawią się po całych dniach. Pozwól mi wstać... pozwól mi wstać, niedobry Baloo! Ja chcę się z nimi bawić!

— Słuchaj, ludzkie szczenię! — ozwał się niedźwiedź, a głos jego huczał, jak grzmot w noc upalną. — Nauczyłem cię praw puszczańskich, obowiązujących wszystkie plemiona dżungli prócz plemienia małp, żyjącego na konarach drzew. Plemię to nie podlega żadnym prawom. To wyrzutki społeczeństwa! Nie mają nawet własnej mowy, ale posługują się kradzionymi wyrazami, jakie uda się tu i owdzie podchwycić, gdy nadśluchują, podpatrują i czatują na wierzchołkach drzew. Ich obyczaje nie mają nic wspólnego z naszymi... Te małpy nie mają nad sobą żadnego zwierzchnictwa, a daremniebyś u nich szukał śladu jakiegokolwiek pałnicy. Lubią dużo gadać, przechwalać się i udawać, że są plemieniem znamienitem, powołanem do wielkich spraw w dżungli, ale niech-no spadnie jaki orzech z drzewa — już im się płacze watek myśli, zapominają o wszystkim, co mówiły i po-

kladają się od śmiechu. Nas, obywatele dżungli, z temi małpisonami nic nie łączy! Nie chodzimy tam, gdzie one chodzą, nie pijemy tam, gdzie one piją, i nie polujemy tam, gdzie one polują, a nawet nie umieramy pospołu z niemi. Czy do dnia dzisiejszego słyszałeś kiedy z ust moich choćby najmniejszą wzmiankę o Bandar-logu?

— Nie! — odpowiedział Mowgli szeptem, albowiem po przemówieniu Baloo zapanowała w całym lesie dziwna jakaś cisza.

— Plemiona dżungli nie wspominają o nich nie tylko w słowach, ale nawet i w myśli. Stworzenia te, które zwiemy małpami, są bardzo liczne, złośliwe, brudne i bezwstydne. Jeżeli mają jakiś określony cel w życiu, to chyba tylko ten, by zwrócić na siebie uwagę mieszkańców dżungli. Ale my nie zważamy na nie wcale, nawet wtedy, gdy zaczną rzucać orzechy i różne śmiecie na nasze głowy.

Ledwo tych słów domówił, gdy z koron drzewnych posypał się grad orzechów i drobnych gałązek, a jednocześnie rozległy się małpie pochrząkiwania, skowyty i chrzęst gniewnych harców pośród listowia.

— Z plemieniem małp nie wolno się zadawać — oświadczył raz jeszcze Baloo; — nie wolno mieszkańcom dżungli kumać się z niemi. Zapamiętaj to sobie!

— Nie wolno — powtórzyła Bagheera. — Jednakże jestem zdania, że Baloo powinien był ostrzec cię przed niemi, Mały Bracie!

— Ja?... ja?... Nawet mi przez myśl nie przeszło, że on mógłby bawić się z tą plugawą małpią czeredą... Tfu!

Nowy grad pocisków posypał się na ich głowy, przeto Bagheera i Baloo oddalili się żwawo, zabierając z sobą Mowglięgo.

To, co Baloo mówił o małpach, było świętą prawdą. Siedliskiem tych stworzeń były wierzchołki drzew, a ponieważ zwierzęta puszczańskie nader rzadko spoglądają wzwyż, przeto nieczęsto wlażyły małpom w drogę. Natomiast małpy, ilekroć zdybały chorego wilka, zranionego niedźwiedzia czy tygrysa, zawsze znęcały się nad nim bezlitośnie; pozatem miały zwyczaj obrzucać wszelkie zwierzę orzechami i patykami — bądź dla zabawy, bądź też celem zwrócenia na siebie uwagi. Kiedyindziej wyły w niebogłosey i wyśpiewywały niedorzeczne piosenki, wzywając mieszkańców dżungli, by wlażyli na drzewa i tu staczali z niemi bójkę. To znów walczyły między sobą zaciekle, pozostawiając trupy zabitych małp w takim miejscu, by mogły rzucać się w oczy plemionom dżungli. Stale nosiły się z zamiarem, by za chwilę obrać sobie naczelnika, ustanowić własne prawa i obyczaje, ale zamiaru tego nigdy nie wcieliły w czyn, gdyż niezdolne były zachować niczego w pamięci choćby przez dzień jeden. Nie przejmowały się jednak niczem, na pociechę powtarzając ukute przez siebie przysłowie:

— Bandar-log dziś rozmyśla o tem, o czem dżungla ma jeszcze czas myśleć!

Żadne ze zwierząt nie umiało ich dosięgnąć, ale też żadne nie zwracało na nie uwagi. Przeto wielce uradowały się małpy, że zdołały wciągnąć Mowglię do zabawy i że ściągnęły na siebie taki gniew starego Baloo. Na niczem więcej im nie zależało — boć Bandar-logowi nigdy na niczem nie zależy. Atoli jednej z małp przyszedł do łba pomysł, który uznała za świetny: oznajmiła towarzyszkom, że obecność Mowglię mogłaby przynieść ich społeczeństwu wielki pożytek, gdyż chłopak umie pleść z gałązek zasłony od wiatrów, przeto gdyby go schwytały, mógłby nauczyć je tego rzemiosła. Istotnie Mowgli, który był synem drwala, miał zwyczaj — snadź pod wpływem dziedzicznego instynktu — splatać małe szalasy z opadłych gałęzi, sam nie wiedząc, gdzie się tego nauczył. Małpy, siedzące na drzewach, przyglądały się jego zabawie — i spodobała się im nadzwyczajnie. Powiedziały sobie, że tym razem już naprawdę będą miały zwierzchnika i staną się najmędrszym plemieniem w puszczy — tak mądrzem, że każdy będzie im zazdrościł i zwracał na nie szczególną uwagę.

Przeto cichaczem, bez najmniejszego szelestu, szły trop w trop za niedźwiedziem Baloo, Bagheerą i Mowglim przez całą puszcę, póki nie nadszedł czas południowej drzemki. Wówczas Mowgli, markotny i zbity z pantalyku, położył się między panterą i niedźwiedziem, i postanowiwszy sobie że nie będzie nigdy się zadawał z małpiem plemieniem, — zasnął głęboko.

Ocknąwszy się, uświadomił sobie najpierw, że jakieś drobne ale szorstkie i krzepkie rączęta pochwyliły go za ramiona i nogi — — potem, że poczęły go bić po twarzy jakieś trzeszczące gałązki — — a wreszcie, że znajduje się na pomoście rozbujanych konarów i spogląda wdół, ku ziemi, kędy widać było niedźwiedzia Baloo, budzącego puszcę basowym rykiem, oraz Bagheerę, która, wyszczerzywszy zęby, poczęła właśnie wdzierać się na pień drzewa. Bandar-log zawył triumfalnie i czmychając na najwyższe gałęzie, dokąd nie ośmieliła się dojść Bagheera, wrzeszczał w niebogłosy:

— Dostrzegła nas! Bagheera nas dostrzegła! Wszystkie zwierzęta dżungli podziwiają naszą zręczność i roztropność.

Następnie małpy poczęły uciekać. Ucieczka Małpiego Plemienia przez obszary drzew — to rzecz, której opisać się nie da. Na wysokości pięćdziesięciu do siedemdziesięciu stóp ponad ziemią mają istne gościńce i boczne drogi, biegnące to wdół to pod górę, po których w razie potrzeby umieją podróżować choćby nocą. Dwie najsilniejsze małpy wzięły Mowgliego pod pachy i pomknęły z nim ponad wierzchołkami drzew, sadząc skokami, z których każdy mierzył dwadzieścia stóp. Gdyby były same, potrafiłyby biec dwakroć prędzej, ale ciężar jeńca powstrzymywał je w biegu. Pomimo bólu i zawrotu głowy, Mowgli nie mógł się oprzeć uczuciu radości z powodu tej niezwyklej gonitwy, jakkolwiek przerażeniem napelniał po wi-

dok skrawków ziemi leżących hen nisko, a straszliwy wstrząs po każdym skoku nad próżnią zapędzał mu duszę w pięty. Eskortujące go małpy raz po raz taszczyły go na sam wierzchołek drzewa, aż czuł, jak cienkie gałązki gną się i trzeszczą pod ich ciężarem, — a następnie wśród chrząkań i pohukiwań rzucały się kędyś daleko i nisko — i lądowały na niższych odroślach najbliższego drzewa, którego uczepiały się rękoma lub stopami. Niekiedy miał przed sobą na przestrzeni kilku mil widok na cichą zieloną dżunglę — jak czatownik ze szczytu masztu widzi wokoło całe dziesiątki mil morskiego przestworu, — aż tu w chwilę potem już gałęzie i listowie chłostały go po twarzy, a on sam wraz ze swymi dwoma strażnikami znajdował się zpowrotem niemal tuż nad ziemią. Tak to wśród skoków, trzasków, huków i wrzasków całe plemię *Bandar-logu* pędziło, jak oszalałe, po drzewnych gościńcach, unosząc z sobą Mowglię jako jeńca.

Przez czas jakiś lękał się, że spadnie; potem jęła go ogarniać coraz większa złość. Ponieważ jednak wiedział, że opór na nic się nie zda, więc zaczął przemyślać nad tem, co ma zrobić. Uznał, że pierwszym jego obowiązkiem było przesłać wieść o sobie Bagheerze i niedźwiedziowi Baloo, — albowiem z szybkości, z jaką posuwały się małpy, miarkował, że jego przyjaciele musieli pozostać znacznie wtyle. Daremnym trudem było patrzeć wdół, bo tam widać było tylko gęstwą gałęzi, — wobec tego jał spoglądać w górę. Hen daleko wśród błękitu ujrzał myszolowa Chila, który krążył

chwijnym lotem ponad puszcza, wypatrując zera. Zauważywszy, że małpy coś niosą, Chil opuścił się o kilkaset sążni wdół, by zobaczyć, czy w ich tobołkach niema przypadkiem jakich smakołyków. Aż zagwizdał ze zdumienia, gdy ujrzał Mowglię, bujającego się po drzewach w sposób tak niezwykle i postyszał wydane przezeń hasło w narzeczu myszolowów:

— Ty i ja jesteśmy jednej krwi-i-i!

W tejże chwili zwarło się nad chłopcem falujące morze zieleni — ale Chil, kołysząc się na skrzydłach, zdążył jeszcze wczas dolecieć do następnego drzewa, by dostrzec wylaniającą się znów z gałęzi małą bronzową buzię.

— Uważaj na mój ślad! — krzyknął Mowgli. — Zanieś wieść niedźwiedziowi Baloo z Wilczej Gromady seoneńskiej i Bagheerze, co mieszka przy Skale Narady.

— W czyjem imieniu mam mówić, Bracie? — zapytał Chil, bo choć słyszał to i owo o Mowglim, jeszcze go był dotąd nigdy nie widział na własne oczy.

— W imieniu Mowglię czyli Żaby. Oni mnie przezywają ludzkim szczeniciem! Zważaj na mój śla-ad!

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane głosem przeraźliwym, gdyż właśnie w tej chwili małpy dały olbrzymiego susa w powietrzu. Chil tylko kiwnął głową i wzbił się w górę, tak wysoko, iż wydał się niewiekszy od ziarenka pyłu, — i zawisł w błękanie, wpatrując się dalekowiedzącymi oczyma

w chwiejbę koron drzewnych, przez które prze-
mykała się skłębiona gromada małp, eskortujących
Mowlięgo.

— One nie potrafią zająć daleko! — zawyro-
kował, śmiejąc się wesolo. — Nie zdarzyło się
jeszcze, by wykonały w zupełności to, co zamie-
rzyły! Och, ten *Bandar-log*, ten *Bandar-log*!
Zawsze się im zachciewa czegoś nowego. Ale tym
razem, o ile mnie wzrok nie myli, zachciało się
im własnego nieszczęścia... bo Baloo to nie
piskłę, a Bagheera, o ile mi wiadomo, umie polo-
wać nietylko na kozły!

Tak sobie dumając, ważył się na skrzydłach,
podgarnął pod siebie szpony — i wyczekiwał.

Tymczasem Baloo i Bagheera szaleli z gniewu
i strapienia. Bagheera jęła wspinać się na drzewa
tak wysoko, jak nigdy wpierw, ale cienkie gałązki
łamały się pod jej ciężarem, więc ześliznęła się
wdół, mając pełno kory za pazurami.

— Czemuż nie ostrzegłeś ludzkiego szczenięcia?
— huknęła na nieboraka Baloo, który drałował
niezgrabnym klusem, zapewne w myśli, że dopędzi
uciekające małpy. — I cóż mu przyszło z twojego
katowania, skoro nie ostrzegłeś go przed tem nie-
bezpieczeństwem?

— Śpieszmy się!... śpieszmy! Może... może
zdolamy je dogonić! — zapął Baloo.

— Z takim pośpiechem!... Ph!... Nie dogo-
niłbyś nawet zdychającej krowy... Nauczycielu
Prawa... oprawco szczeniąt! Toż gdyby ci przyszło
katulać się tak choć przez milę tam i zpowrotem,

pekłbyś na ćwierci! Usiądź spokojnie i zastanów się nad całą sprawą... obmyśl sposób postępowania... Nie mamy czasu na próżne gonitwy. Jeżeli podejdziemy za blisko, te małpiszony gotowe dla własnego ocalenia rzucić chłopca na ziemię.

— *Arrrala! Hu-u!* One może gu już cisnęły na ziemię, bo im się znudziło go dźwigać! Któż ich tam wie! Wszystkiego można się spodziewać po *Bandar-logu!* Zwalcież mi teraz na łeb furę zdechłych nietoperzy! Dajcież mi do ogryzania spróchniałe kości! Wrzucicie mnie do barci dzikich pszczoł, żeby mnie na śmierć pokąsały, i pochowajcie mnie obok hieny... bom jest najnieszczęśliwszy między niedźwiedziami! *Arra-lala! Ua-hua!* O mój Mowgli, mój Mowgli! Czemuż to, zamiast nabijać ci guzy na głowie, nie ostrzegałem cię przed Malpiem Plemieniem... Może wybiłem ci z głowy wszystkie zadane lekcje... i cóż teraz poczniesz, biedotko, sam w lesie, nie znając słów czarnoksięskich?!...

To rzekłszy, Baloo schwycił się obiema łapami za łeb i zaczął z jękiem tarzać się po ziemi.

— E, co znowu! Przecież dopiero co wyrecytował przede mną bez zająknięcia wszystkie słowa! — odezwała się zniecierpliwiona Bagheera. — Mój Baloo, toż ty na starość postradałeś nie tylko pamięć, ale i godność osobistą! Cóżby pomyślała sobie dżungla, gdybym ja, czarna pantera, wyla się po ziemi, niczem jeżozwierz Ikki, i wyla wniebogłosy!?

— Nie dbam o to, co sobie pomyśli o mnie dżungla! Ale on... on może już nie żyje!

— O ile go te koczkodany dla jakichś małpich figlów nie zrzucą z gałęzi albo nie uduszą z nudów, tedy nie lękam się zgola o los ludzkiego szczenięcia. Mowgli jest mądry sam z siebie i przeszedł dobrą szkołę, a co najważniejsza, ma takie oczy uroczone, które budzą postrach we wszystkich plemionach dżungli. Ku wielkiemu jednak swemu nieszczęściu znalazł się obecnie w mocy *Bandar-logu*... tej niecnej halastry, która hasa po drzewach i nic sobie nie robi z naszych plemion.

To rzekłszy, Bagheera poczęła w zadumie ssać własną łapę.

— Ależ ci to głupiec ze mnie! Bury, sadłem nalany głupiec, który nie umie nic innego, tylko wykopywać korzonki z ziemi! — ozwał się ni stąd ni zowąd Baloo, zrywając się na równe nogi. — Miał chyba rację dziki słoń Hathi, gdy mawiał: *Każda pokraka ma swego straszaka!* Ma swego straszaka i *Bandar-log!* Ich postrachem jest Skalny Wąż Kaa, który niegorzej od nich wspina się na drzewa i wykrada nocą małe małpięta. Dość szepciem wspomnieć jego imię, a po małpach już ciarki przechodzą po sam koniuszek ogona. Chodźmyż do węża Kaa!

— I cóż on nam pomoże? — spytała Bagheera. — Wszak on jest obcoplemieńcem... nie ma nóg... a za to ma tak złowrogie oczy!...

— Ho, ho! To bardzo stare i bardzo przebiegłe wężysko... a co najważniejsza, zawsze głodne! —

odpowiedział Baloo z wielką ufnością. — Trzeba mu przyrzec sporą porcję zwierzyny!

— Podobno, gdy się obezre, śpi potem przez cały miesiąc. Może właśnie teraz śpi... a jeżeli nie śpi, to czyż nie przyjdzie mu ochota upolować osobiście porcję zwierzyny dla siebie?

Bagheera mało dotąd słyszała o wężu Kaa, z natury zaś była podejrzliwa.

— Gdyby nawet tak było, to tak starzy łowcy, jak ty i ja, potrafimy we dwójkę nauczyć go rozum!

To rzekłszy, Baloo otarł się wyliniłą brunatną łapą o grzbiet pantery i oboje wyruszyli razem na poszukiwanie skalnego pytona Kaa.

Gdy go zdybali, spoczywał jak długi na krawędzi skały, wygrzanej blaskami popołudniowego słońca, i z lubością przyglądał się otrzymanej niedawno pięknej odzieży. Dziesięć dni ostatnich spędził w zaciszu swego prywatnego domostwa, przebierając się w nową skórę, a teraz przedstawiał się imponująco, gdy wymachiwał olbrzymim, płaskim łbem ponad ziemią, wykręcał długachne — trzydzieści stóp mierzące — cielsko w cudaczne krzywizny i węzły — i oblizywał sobie paszczę na myśl o czekającym go obiedzie.

— Jeszcze nic nie jadt! — odsapnął z ulgą Baloo, dostrzegłszy jego kaftan, pięknie wzorzysty w barwę żółtawą i brunatną. — Miej się na baczności, Bagheero! Po zmianie skóry wąż Kaa widzi trochę kiepsko, a bywa nader skory do napaści.

Kaa nie był wężem jadowitym — owszem czuł dla żmij, jako wielkich tchórzów, prawie że wzgardę. Siła jego leżała w ogromie cielska — a kogo raz otulił objęciem swych olbrzymich splotów. ten nie wykręcił się już z nich ani prośbą ani groźbą.

— Szczęśliwych łowów! — zawołał Baloo, przysiadłszy na tylnych łapach.

Kaa, jak wszystkie węże z jego gatunku, był nieco głuchawy, więc zrazu niedosłyszał wołania. Potem pochylił głowę i podwinął tułów, gotów na wszelki wypadek.

— Bodaj się nam wszystkim szczęściło w łowach! — odpowiedział. — Hej, Baloo, cóż ty tu porabiasz? Pomyślnych łowów, Bagheero. Conajmniej jeden z nas tu obecnych miałby szczerą ochotę nieco się pożywić! Czy nie doszły cię wieści o jakiej zwierzynie w tej okolicy? o jakim rogaczu, a choćby i o młodym koziołku? Mój kałdun jest próżny, niczem wyschnięta studnia!

— Właśnie polujemy — odezwał się Baloo jakby od niechcenia. Wiedział, że wężowi Kaa, który jest istotą wielką, należy dawać sporo czasu do namysłu.

— Pozwólcie mi wybrać się razem z wami — rzekł Kaa. — Dla was, Baloo czy Bagheero, jedno uderzenie mniej czy więcej to fraszka, ale ja... ja muszę czatować całymi dniami na leśnej ścieżynie i przez połowę nocy wspinać się na drzewo, by upolować jedno szare małpiątko. O fe! Już i gałęzie na drzewach nie są takie, jakie były za

dni mojej młodości... dziś nie znajdziesz innych, jak tylko pogniłe pręty i uschłe badyle!

— Może i twój ciężar odgrywa w tem niejaką rolę? — zauważył Baloo.

— O tak, jestem bardzo długi... bardzo długi — odrzekł Kaa z odcieniem dumy. — Mimo wszystko, główną winę ponosi kruchość dzisiejszych drzew. Na ostatniem polowaniu o mało co... tak jest, o mało co nie spadłem na ziemię. Nie objąłem dobrze pnia ogonem, i zsunąłem się wdół z takim trzaskiem, że zbudziłem małpy, które zaczęły mnie obrzucać najplugawszemi przezwiškami.

— „Beznoga gadzina... glista ziemna“ — zamruczała Bagheera pod wąsem, jak gdyby usiłowała sobie coś przypomnieć.

— Ssss! Więc to tak mnie one przeżywały? — zaperzył się Kaa.

— Coś podobnego krzyczały w naszą stronę podczas ostatniej pełni księżycowej... ale my nigdy nie zwracamy na nie uwagi. Niema istot bardziej bezwstydných od Bandar-logu. Zawsze paplą, co im ślina przyniesie na język... choćby to, jakobyś ty już utracił wszystkie zęby i polował jedynie na młode koźlątka, ponieważ... ponieważ boisz się rogów kozy... — ciągnęła Bagheera słodkim głosem.

Wprawdzie węże, a szczególnie tak stare i doświadczone pytony, jakim był Kaa, rzadko okazują po sobie, że są gniewne, jednakże Baloo i Bagheera spostrzegli, że olbrzymie mięśnie prze-

łykowe po obu stronach gardzieli węża Kaa napęczniały i poczęły drgać kurczowo.

— *Bandar-log* przeniósł się w inne siedliska — odezwał się spokojnie. — Gdym dziś rozpoczynał kąpiel słoneczną, słyszałem, jak małpiska nawoływały się, skacząc po koronach drzew.

— My... my właśnie idziemy w trop za *Bandar-logiem*... — zaczął Baloo, ale słowa uwięzły mu w gardle, bo odkąd sięgała jego pamięć, po raz pierwszy zdarzyło się, by ktoś z obywateli dżungli raczył zainteresować się sprawami małpiego plemienia.

— Tak? Nie wątpię tedy, że niemalej snadź wagi musi być ta sprawa, która dwoje łowców tak znamienitych... wodzów swej kniei, jako tuszę... przywiodła do tego, by szli tropem *Bandar-logu*, — odrzekł Kaa z wytworną uprzejmością, a pierś rozsadzało mu zaciekawienie.

— Prawdę powiedziawszy — zaczął znów Baloo, — nie jestem niczem więcej, jak starym i już czasami wielce głupawym Nauczycielem, który wyklada naukę prawa wilczętom seeoneńskim, a obecna tu Bagheera...

— Jest poprostu Bagheerą! — kłapnęła zębami czarna pantera, nie wierząc, by taka czolobitność mogła odnieść należyty skutek. — Powiem ci, Kaa, o co nam chodzi. Te zbijacze orzechów i zjadacze liści palmowych ukradły nam nasze ludzkie sześcienie, o którym może doszły cię wieści.

— Tak jest! Jeżozwierz Ikki (który, dufny w swe kolce, nie robi sobie nic z nikogo!) opowiadał

mi cośnieceś o jakimś czleczynie, co przystał do gromady wilków; ja jednakże nie dawałem wiary jego opowieściom. Ikki zwykł roznosić plotki, źle dosłyszane, a jeszcze gorzej opowiedziane.

— Tym razem jednak powiedział prawdę. Takiego szczenięcia ludzkiego, dalibóg, jeszcze świat nie widział! — mówił Baloo. — Jest to najlepsze, najmądrzejsze i najodważniejsze ze wszystkich ludzkich szceniąt . . . mój wychowanek, który rozśławi imię Baloo po wszystkich kniejach . . . a przysięgam . . . trzeba ci wiedzieć, mój Kaa . . . kocham go . . . to jest . . . chciałem powiedzieć . . . kochamy go bardzo oboje.

— Csss! Csss! — zasyczał Kaa, kręcąc głową. — I ja też kiedyś poznałem, co to miłość. Mógłbym wam opowiedzieć niejedną historję o tem, jak . . .

— Przyjdziem tu w jasną noc księżycową, gdy wszyscy będziemy najedzeni do syta, to nam bardziej do gustu przypadnie twoja opowieść — przerwała mu pośpiesznie Bagheera. — Nasze szceniątko ludzkie znajduje się obecnie w rękach *Bandar-logu*, my zaś wiemy, że ta hołota nikogo w całej puszczy się nie lęka, prócz ciebie jednego, wężu Kaa.

— Prawda, one tylko mnie się boją . . . i mają rację! — odpowiedział Kaa. — Małpy są gadatliwe, zarozumiałe i głupie . . . głupie, zarozumiałe i gadatliwe . . . ale człowieka, który dostał się w ich ręce, może spotkać nieszczęście. Wszak nieraz

gdy sprzykrzą się im zerwane z drzewa orzechy, rzucają je bez ceremonji na ziemię. Bywa też, że przez pół dnia wloką gałąź, chcąc z niej sporządzić rzekomo jakąś rzecz niezwykłą, a potem ni stąd nie zowąd łamią ją w kawalki. Nie do pozazdroszczenia jest los onego człowieka... Pozatem, one przeżywały mnie... żółtą rybą... czy nie tak?

— Glistą... glistą... glistą ziemną! — poprawiła go Bagheera. — A nie szczędziły ci też innych przyzwisk, których przez wzgląd na przyzwoitość nie powtórzę.

— Trzeba więc dać im nauczkę, jak mają się wyrażać o swoim panu! A-a-a-sz-sz-sz! Musimy dopomóc ich słabej pamięci! Ale dokąd-że one to uciekły z tem szczeniciem?

— Jedyne dżungla mogłaby o tem coś powiedzieć! — odpowiedział Baloo. Zdaje mi się, że w stronę zachodnią. Myśleliśmy, że ty nam coś o tem powiesz, wężu Kaa!

— Ja? S-skądże? Czasem schrupię jaką małpę, gdy mi wlezie w drogę, ale nie mam zwyczaju polować na plemię *Bandar-logu*... podobnie jak nie poluję na żaby... ani też na ten zielony skrzek, co się zbiera, niby szumowiny, na powierzchni bajora.

— Wzwy-y-ż! wzwyż! wzwyż! wzwyż! Hola! hej! hej! Spójrzysz wzwyż, niedźwiedziu Baloo z Wilczej Gromady seoneńskiej!

Baloo spojrział w górę, by zobaczyć, skąd ten krzyk dochodzi — i ujrzał nadlatującego myszolowa Chila, którego szeroko rozpięte skrzydła

łśniły po brzegach poświatą słoneczną. Już zbliżała się pora, w której Chil zwykł układać się do spoczynku, mimo to on wciąż jeszcze krążył nad puszczą, wypatrując niedźwiedzia, — wszakoż nie mógł go dotrzeć przez gęstwę listowia.

— Cóż tam znowu? — zaryczał Baloo.

— Widziałem Mowglię pomiędzy gromadą *Bandar-logu*. Prosił mnie, bym was zawiadomił. Śledziłem, co się z nim dzieje. Plemię *Bandar-logu* uprowadziło go za rzekę do małpiego miasta, noszącego nazwę „Chłodnych Legowisk“. Zatrzymają się tam może na noc, może dziesięć nocy, może tylko godzinę. Nakazałem nietoperzom, aby czatowały podczas nocy. Spełniłem me posłannictwo, a teraz wam wszystkim wdole życzę szczęśliwych łowów!

— Życzę ci jadła po samą grdykę i spokojnego snu, mój Chil! — odkrzyknęła Bagheera. — Będę pamiętała o tobie podczas najbliższych łowów... i tylko dla ciebie, o najmilszy z mysołowów, odsunę się na bok od jadła!

— Niema za co dziękować! Niema za co! Chłopak rzucił mi czarnoksięskie słowo. Nie mogłem mniej uczynić dla niego!

To rzekłszy Chil, jął zataczać kręgi — szybując w górę, w stronę swojego siedliska.

— Chłopak nie zapomniał języka w gębie! — rzekł Baloo z odcieniem dumy w głosie. — I pomyśleć, że taki malec już sobie zapamiętał czarnoksięskie słowa ptaków... i to jeszcze w chwili, gdy go ciągnano po gałęziach drzew!

— Widocznie mocno wbiłeś mu je w głowę! — zauważyła Bagheera. — I ja też jestem z niego dumna!... Ale teraz podążymy czemprowadz do Chłodnych Legowisk.

Wszyscy wiedzieli, gdzie znajdowała się owa miejscowość, ale mało kto z mieszkańców dżungli był tam kiedy. Nazwę Chłodnych Legowisk nosiło stare, zdawna opustoszałe osiedle ludzkie, zagubione i zapadłe w ostępie. Dzikie zwierzęta nader rzadko przebywają w miejscach, gdzie przebywał nigdy człowiek; co najwyżej czasami zawita tam odyniec — nigdy natomiast plemiona łowieckie. Pozatem małpy wiodły tam taki tryb życia, jaki — rzecz można — wiodły wszędzie, przeto żadne szanujące się stworzenie nie podchodziło ku Chłodnym Legowiskom — chyba w czasie posuchy, gdy w rozwalonych napoly cysternach i zbiornikach znaleźć można było odrobinę wody.

— Przy wielkim pośpiechu można tam zajść przed północą — zdecydowała Bagheera.

Baloo przybrał minę wielce poważną.

— Będę biegł, jak tylko potrafię najszybciej! — zapewniał markotnie.

— Nie możemy przez ciebie narażać się na zwłokę! — odpowiedziała Bagheera. — Idź za naszym śladem, Baloo. My oboje, Kaa i ja, musimy biec co sił w nogach!

— W nogach, albo i nie w nogach! Ja, choć bez nóg, nie dam ci się prześcignąć, nawet gdy będziesz biegła... na czworakach! — odciął się Kaa.

Baloo czynił rozpaczliwe wysiłki, by nadążyć za nimi, ale zasapał się i musiał odpoczywać, by choć z opóźnieniem zająć na miejsce. Tymczasem Bagheera mknęła przed siebie rączym klusem. Kaa nic nie mówił, ale choćby Bagheera nie wiem jak pędziła, olbrzymi skalny pyton zawsze potrafił się z nią zrównać. Kiedy doszli do strumienia górskiego, Bagheera wyprzedziła swego towarzysza, gdyż przesadziła jednym skokiem przeszkodę, którą on musiał dopiero przepływać, wznosząc łeb i kark na dwie stopy ponad wodę; na suchym gruncie jednak Kaa znów wyrównał odległość.

— Na wylamaną zaworę, która mnie wyzwoliła!
— ozwała się Bagheera, gdy zapadł zmrok. — Z
ciebie nielada szybkobiegacz!

— Jestem głodny — odparł Kaa. Poza
tem małpy przezwały mnie nakrapianą ropuchą!

— Glistą... ziemną glistą... i to jeszcze żółtą!

— Wszystko jedno! Idźmy dalej!

Kaa zdawał się pływać po ziemi i zawsze wy-
patrywał bystreimi oczyma najkrótszą drogę i nie
zbaczał z niej ani na włossek.

Małpy przebywające w Chłodnych Legowiskach
już zgola nie zaprzętały sobie głowy myślami o sprzy-
mierzeńcach Mowglięgo. Przyniósłszy chłopca do
Zapadłego Miasta, były przez pewien czas bardzo
z siebie zadowolone. Mowgli wpięrow nie widział
indyjskiego miasta, więc to, które obaczył, wydało
mu się arcywspaniałem i pełnem dziwów — acz-
kolwiek w znacznej części było ono już kupą zwa-
lisk. Wybudował je tutaj na małym wzgórku jakiś

król w bardzo dawnych czasach. Tu i owdzie widać było brukowane chodniki, wiodące ku rozwalonym bramom, gdzie na zgryzionych rdzą zawiasach trzymały się jeszcze szczątki drewnianych wrót. Wokół murów i na murach powyrastały drzewa; blanki strzelnic rozkruszyły się i pospadały na ziemię, a kostropate, gałęziste girlandy dzikich pnączy zwisały z okien wieżyc ochronnych.

Na szczycie wzgórza wznosił się rozległy pałac, ale już bez dachu. Spękane marmurowe płyty dziedzińców i cembrowiny wodotrysków spelzły czerwonym i zielonym porostem, a trawa i młode drzewa popodwazały i odwalily gruby bruk wielkiego ogrodu, w którym niegdyś przemieszkiwały słonie królewskie. Z pałacu widać było ciągnące się powszędy gęste szeregi domów, pozbawionych dachu — dzięki którym miasto zdawało wyglądać jak pusty plastr miodu, napełniony czarną masą. Widać też było bezkształtny głaz kamienny — ongi wyobrażenie bożyszcza — sterczący pośrodku placu, gdzie spotykały się cztery ulice. Na rogach ulic, gdzie dawniej znajdowały się publiczne studnie, dostrzec można było jamy i nieznaczące zagłębienia w ziemi. Tu i owdzie widniały rozsypujące się już w gruzy kopuły świątyń, do których tuliły się dzikie drzewa figowe.

Malpy nazywały to miejsce *swojem* miastem — w związku z czem okazywały wielką wzdargę zwierzętom przemieszkującym w kniei. Pomimo tych pretensyj nie miały zielonego pojęcia o tem, w jakim celu pobudowano te gmachy i jak należało

z nich korzystać. Siadywały kupą pod cieniłą kolumnadą królewskiej sali radnej, iskały się, były pchły i wyobrażały sobie przytem, że są ludźmi; to znów biegaly tam i zpowrotem po odsłoniętych gzymsach domów i, wydłubując kawałki tynku czy też starych cegieł, gromadziły je w jednym z kąci-ków, by za chwilę zapomnieć o tem, gdzie je scho-wały; to znów zbijały się w gromadę, z krzykiem przewracały się wzajemnie i wiodły zawzięte bójki, a gdy nagle strzeliło im co innego do głowy, wy-biegały tłumnie na taras królewskiego ogrodu, gdzie rozpoczynały szaloną gonitwę, otrząsając różokrzewy i drzewka pomarańczowe i radując się widokiem spadającego kwiecica i owoców. Lubily też przetrząsać najrozmaitsze korytarze i ciemne lochy pałacu oraz setki ciemnych pokoików, ale nigdy nie potrafiły zapamiętać sobie, co już zwie-dziły, a czego jeszcze nie zdążyły zwiedzić; przeto wałęsały się wszędzie naoslep, bądź pojedynczo, bądź parami, bądź nawet całą gromadą, zapewnia-jąc się wzajem, że zachowują się zupełnie jak lu-dzie. Pijąc wodę ze zbiorników, zawsze musiały zmącić ją i zbrudzić aż do dna, poczem — sto-czywszy o nią wiele krwawych bójek — wybiegały bezładną zgrają, wrzeszcząc przeraźliwie:

— W całej dżungli niema plemienia tak ma-ldrego, obyczajowego, grzecznego, łagodnego i po-tężnego, jak plemię *Bandar-logu!*

Potem znów szło to samo — na odwyrtkę — póki nakoniec małpom nie sprzykrzył się pobyt w mieście. Wówczas wracały na wierzchołki drzew

— i znów starały się zwrócić na siebie uwagę plemion dżungli.

Mowgli, który wychował się podług praw dżungli, nie rozumiał tego małpiego trybu życia i nie znajdował w niem upodobania. Gdy małpy przywlokły go do Chłodnych Legowisk, było już dość późno i Mowgli miał szczerą ochotę zdrzemnąć się po tak długiej podróży — cóż, kiedy małpięta nie dały mu odpocząć! Wzięły się za ręce, jęły tańczyć wokoło chłopca, wyśpiewując przytem conajgłupsze piosenki. Jedna z nich palnęła mówkę, ogłaszając towarzyszkom, że pojmanie Mowgliego jest początkiem nowej ery w dziejach *Bandar-logu*... oto bowiem Mowgli pokaże im, jak należy splatać patyki i trzciny, by zrobić z nich uchronę od deszczu i zimna. Mowgli zerwał kilka pnących się lodyg i wziął się do roboty. Małpy zrazu starały się naśladować każdy ruch jego — ale w parę chwil potem, straciwszy ochotę do tego zajęcia, poczęły targać się wzajem za ogony, pokaszliwać, wskakiwać jedna na drugą i fikać koziołki.

— Chciałbym co zjeść — odezwał się Mowgli. — W tej połaci boru znalazłem się po raz pierwszy. Przynieście mi coś do jedzenia albo pozwólcie, bym tu zapolował.

Dwadzieścia albo i trzydzieści małp skoczyło w te pędy, by przynieść mu orzechów i dzikie papawy. Po drodze jednak zaczęły bić się z sobą, pogubiły owoce i nie zadały sobie nawet trudu, by z ich resztką powrócić do chłopca. Mowgli

był równie głodny jak gniewny i zmęczony. Począł błąkać się po bezludnem mieście, rzucając od czasu do czasu Łowieckie Hasło Przybyszów. Nikt nie odpowiadał — to też Mowgli wrychle zrozumiał, że dostał się w nader kiepskie środowisko.

— Okazuje się, że prawdą było wszystko, co Baloo mówił o *Bandar-logu!* — przemknęło mu się przez myśl. — Te powsinogi nie mają ani praw ani hasel łowieckich ani kierowników... Jedyną rzeczą, jaką u nich zauważyć można, jest ta ciągła paplanina bez sensu, ustawiczne natręctwo, dokuczliwość oraz nieposzanowanie cudzej własności. Jeżeli więc zginę z głodu albo też z ich drobnych, złodziejskich rączek, cała wina będzie po mojej stronie. Trzeba wszakże spróbować, czy mi się jakoś nie uda wrócić do mej rodzinnej kniei. Baloo z pewnością wyłoi mi skórę... ale wolę już to skórobicie, niż przestawanie z *Bandar-logiem*... niż bezcelową gonitwę za listkami różokrzewów!

Podszedł więc w stronę murów miejskich, chcąc wydostać się nazewnątrz. Ale małpy, spostrzegłszy to, rzuciły się ku niemu i zawróciły go z drogi, czyniąc wyrzuty, iż nie umie ocenić należycie swego szczęścia, oraz szczypiąc go zawzięcie, celem obudzenia w nim uczucia wdzięczności. Zaciśnął zęby i nie mówiąc już ani słowa, podążył z rozwrzeszczaną hordą na taras, pod którym znajdowały się cysterny z czerwonego piaskowca, do połowy napelnione wodą. Pośrodku tarasu wznosiła się biała marmurowa altana, zbudowana dla księżniczek, zmarłych przed stuleciami, a dziś już

sypiąca się w gruzy. Sklepienie tej budowli w polowie zawaliło się i zatarasowało podziemny korytarz, przez który księżniczki przedostawały się tutaj z pałacu. Ściany były wyłożone płytami z mleczno-białego marmuru, dzierganemi w przepiękne desenie, i nabijanemi suto jaspisem, agatami, chalcedonem i lapis lazuli; właśnie nad wzgórkiem wznosił się księżyc i przez rzeźbione otwory zaglądał do wnętrza, rozsnuwając po ziemi cienie, podobne do czarnego aksamitnego haftu.

Mowgli, choć obolały na całym ciele, senny i zgłodniały, nie mógł powstrzymać się od śmiechu, gdy małpy — po dwadzieścia naraz — jęły go przekonywać, jak potężnym, mądrym, wielkim i szlachetnym jest plemię *Bandar-logu*, i jak nie-mądrze postąpił, zamierzając je opuścić.

— Jesteśmy wielkie! Jesteśmy swobodne! — wrzeszczały. — Jesteśmy zachwycające! Jesteśmy najznakomitszem plemieniem w całej puszczy! Wszystkie jesteście tego zdania, więc musi to być prawdą! Ponieważ zyskałyśmy w tobie nowego słuchacza, który może zanieść plemionom puszczy nasze słowa — by odtąd te plemiona zechciały zwracać na nas należytą uwagę — przeto opowiemy ci wszystko, co powinienes wiedzieć o naszych niezrównanych osobach!

Mowgli nie sprzeciwiał się temu, przeto małpy całemi setkami zgromadziły się na tarasie, przysłuchując się mówcom, opiewającym chwałę *Bandar-logu*. Ilekroć który z mówców przerwał, nie

czując już tchu w piersi, cała malpia zgraja darła się chórem w niebogłosość:

— To prawda! To prawda! My wszystkie mówimy to samo!

Mowgli tylko kiwał głową, mrugał oczyma i przytakiwał, ilekroć zadano mu jakieś pytanie. Cały ten hałas przyprawiał go wprost o zawrót głowy.

— Chyba pokąsał je szakal Tabaqui, że tak docna poszalały te beskurcyje! Tak jest, niewątpliwie ogarnęło je szaleństwo... *dewane*... Czyż one nigdy nie śpią? Oho, właśnie jakaś chmura zaczyna przesłaniać księżyc... O ile potrafi go całkiem zasłonić, spróbuję czmychnąć w ciemności... Ależ jestem piekielnie zmęczony!

Tej samej chmurze przyglądali się w tejże chwili obaj zacni sprzymierzeńcy Mowgliego, przyczajeni w zasypanej napół fosie u stóp muru miejskiego. Zarówno Bagheera jak i Kaa nie chcieli bez ważnego powodu narażać się na niebezpieczeństwo, gdyż dobrze wiedzieli, jak groźne bywają małpy, gdy znajdują się w większej gromadzie. Nie występują one bowiem nigdy do walki w mniejszej liczbie, jak sto przeciw jednemu, a mało kto w dżungli waży się na tak nierówne szanse.

— Podpełzną pod mur od zachodniej strony — szepnęła Kaa — i spadnę na nie znienacka, bo tam jest dogodna dla mnie pochyłość gruntu. Pomimo swej przewagi liczebnej nie odważą się uderzyć na mnie, ale...

— Wiem, o co idzie — przerwała Bagheera. — Przydałaby mi się tu obecność Baloo... ale

trudno, trzeba robić, co w naszej mocy! Gdy ta chmura zasłoni księżyc, pobiegnę na taras. One tam odbywają jakąś naradę nad losem chłopca.

— Szczęśliwych łowów! — syknął Kaa złowrogo i poczołgał się ku zachodniej polaci muru. Okazało się, że ta właśnie część muru była najmniej zniszczona, to też wężysko zmitrężyło sporo czasu, zanim zdołało odnaleźć drogę pośród kamieni.

W sam raz wtedy chmura zasłoniła księżyc, a Mowgli, który właśnie rozmyślał nad tem, co się z nim stanie za chwilę, usłyszał na tarasie lekkie stąpanie Bagheery.

Czarna Pantera bowiem nie zgapiała się ani na chwilę — lecz wbiegła pędem, choć cichcem zupełnym, na wzgórek, i nie tracąc czasu na zagryzanie, poczęła tłuc łapą na prawo i na lewo, przedzierając się przez szeregi małp, zwartem koliskiem otaczających Mowgliego. Szeregów tych było kilkadziesiąt, więc sprawa była niełatwa. Rozległo się przeraźliwe wycie, pełne jednocześnie lęku i wściekłości, a Bagheera parła wciąż naprzód, tratując małpie cielska, tarzające się po ziemi i wijące w skurczach bólu.

Naraz jedna z małp zawołała:

— Ona jest tu tylko jedna, a nas cała gromada! Zabić, zabić śmiałka!

Skłębiona tłuszcza małp rzuciła się na Bagheerę, gryząc, skubiąc, szarpiąc, drapiąc; jednocześnie zaś kilka z nich pochwyciło Mowgliego, wyciągnęły go na mur altany i wepchnęły w otwór rozwalonego sklepienia. Inny jakiś chłopak — wycho-

wany po ludzku — pewnoby się potłukł haniebnie, spadając z wysokości przeszło piętnastu stóp; ale Mowgli, nauczony przez niedźwiedzia Baloo, wiedział, jak należy zeszkakiwać na ziemię, przeto bez szwanku stanął zgrabnie na nogach.

— Posiedź sobie tutaj, póki nie zabijemy twych przyjaciół! — krzyknęły małpy, — a potem pohulamy i z tobą... o ile Jadowite Żmije zostawią cię przy życiu.

— Ja i Wy jes-s-steś-ś-śmy z jednej krwi! — syknął Mowgli niezwłocznie, wydając okrzyk, używany przez plemię węzów.

Posłyszał szmery i syki w otaczającym go rumowisku, więc dla pewności jeszcze raz powtórzył hasło.

— Tak właś-ś-ś-nie! Dos-s-skonale! Ps-s-s-t! Nie napa-s-s-s-tujmy go! To s-s-s-wój! S-s-s-cho-wajcie z-z-zębi-s-s-ka! — syknęło z sześć głosów, jakby uciszając się wzajemnie. — S-s-s-tój s-s-s-pokojnie, Bracisz-sz-sz-ku, żebyś-ś-ś s-s-wą s-s-stopą nie wyrządził nam sz-sz-kody!

Każda ruina w Indjach prędzej czy później staje się siedliskiem węzów, przeto wewnątrz altany aż roilo się od okularników.

Mowgli stał, jak mógł, najspokojniej, zerkając okiem poprzez rzeźbione otwory w murze i wsłuchując się w szaleńczy harmider zawziętego boju, toczącego się wokół czarnej Pantery. Wyróżniał wycia, belkoty i hałaśliwe szamotanie się koczkodanów oraz chrapliwe porykiwanie Bagheery, to przemykającej się, to boczkującej, to koziołkują-

cej, to znów nurkującej wśród ciżby nieprzyjaciół. Po raz pierwszy, odkąd na świat przyszła, Bagheera była zmuszoną walczyć w obronie własnego życia.

— Baloo musi być gdzieś w pobliżu; Bagheera z pewnością nie wybrałaby się samopas! — pomyślał Mowgli, poczem zawołał głośno:

— Do zbiornika, Bagheero! Zsuń się ku zbiornikom. Hul w wodę! W wodę!

Bagheera, posłyszawszy ten krzyk, świadczący, że Mowgliemu nic się nie stało, nabrała nowej odwagi. Nie odzywając się ani słówkiem, tłukła wrogów, przebijając się uporczywie — cał za całem — w stronę zbiorników.

Nagle z poza zwałonego muru, przylegającego do kniei, rozległ się grzmiący okrzyk bojowy niedźwiedzia Baloo.

— Jestem, jestem, Bagheero! — nawoływał. — Biegnę co tchu! Wdzieram się na mur. *Ahu-u-u-ra!* Kamienie wymykają mi się z pod nóg! Czekaście, podle małpiszony! Dam ja wam łupnia, niechno tylko do was przyjdę!

Sapiąc i zipiąc, wgramolił się na taras. W tejże chwili opadły go małpięta i zakryły aż po samą głowę; on jednakże tylko przysiadł niezgrabnie i rozpostarłszy szeroko łapy przednie, jednym uściśkiem zdusił wielką liczbę napastników; a potem: *pac! pac! pac!* — jął walić łapami tak prędko i równomiernie, że wokół słychać było łoskot, przypominający dudnienie kół parowca. Nagły trzask i pluskot był dla Mowgliego znakiem, że Bagheera utorowała sobie drogę do zbiornika, gdzie małpy

nie mogły już jej dosięgnąć. Zanurzwszy się po głowę do wody, dyszała ciężko — a tymczasem małpy ustawiły się w trzy rzędy na czerwonych schodach, biegając z wściekłością tam i z powrotem, gotowe rzucić się ze wszech stron na Bagheerę, gdyby poważyla się pospieszyć z odsieczą niedźwiedziowi.

Wówczas to Bagheera podniosła ociekający wodą podbródek i w rozpaczę jęła wołać o pomoc, rzucając hasło w języku węzów:

— Ja i Wy jes-s-teśmy z-z-z jednej krwi!

Była bowiem przekonana, że wąż Kaa zdradził sprawę i w ostatniej chwili czmychnął nikičemnie.

Nawet Baloo, choć napoly zduszony nawałą małp, nacierających na brzeg tarasu, nie mógł powstrzymać się od skrytego śmiechu, gdy posłyszał, że Bagheera woła o pomoc.

Kaa właśnie wdarł się na mur od strony zachodniej i zsunął się z niego z takim impetem, że zwałił w fosę jeden z kamieni szczytowych. Chcąc wyzyskać w całej pełni przewagę swego stanowiska, zwinął się i rozwinął parokrotnie, by sprawdzić, czy każda piędź olbrzymiego cielska działa z należyłą sprawnością. Przez ten czas małpy w dalszym ciągu toczyły zażartą walkę z niedźwiedziem Baloo i z przeraźliwym wyciem oblegały Bagheerę w cysternie. Nietoperz Mang, latając tam i napowrót, rozniósł po całej puszczy wieść o wielkiej bitwie, aż wkońcu sam dziki słoń Hathi zaczął trąbić na alarm. Hen w dali zerwały się ze snu rozproszone gromady Małpiego Plemienia

i. mknąc po drzewach, nadbiegły z pomocą swym współplemieńcom z Chłodnych Legowisk; zgiełk bitwy zbudził wszystkie ptakiienne na wiele mil wokoło.

Wówczas to Kaa wyprostował się jak struna i błyskawicznym ruchem rzucił się w wir walki, by szerzyć rzeź okrutną.

Bojową przewagę dawać zwykło pytonowi wartkie uderzenie głową, wsparte całą siłą i ciężarem olbrzymiego cielska. Wyobraźcie sobie olbrzymi dziryt, taran lub młot, ważący beżmała pół tony i pchnięty jakąś chłodną, nieugiętą siłą, utajoną w jego rękojeści — a jeszcze będziecie mieli słabe pojęcie o tem, czem był wąż Kaa podczas walki. Pyton mierzący cztery lub pięć stóp zdola przewrócić człowieka, uderzywszy go w pierś głową — a Kaa, jak wam wiadomo, miał trzydzieści stóp długości. Zwarłszy mocno paszczkę, by nie zdradzić się ani słówkiem, wymierzył pierwszy cios w sam środek gromady otaczającej niedźwiedzia... i spadł na nią niespodzianie. Wrażenie było ogromne — tak iż drugi cios okazał się już zbyteczny. Małpy rozpierzchły się na wszystkie strony, krzyząc przeraźliwie:

— To Kaa!... Ach, to Kaa!... Uciekajmy!... Uciekajmy!...

Od całych pokoleń panował w Małpiem Plemieniu ten obyczaj, że starsi, ilekroć nie mogli sobie dać rady z niesforną malcerją, straszili ją opowiadaniem o groźnym wężu Kaa, srogim nocnym rozbójniku, który nieznacznie i cicho, niby porost

mchu, pełźnie po konarach i zdradziecko porywa conajsilniejsze małpiska, — o starym, przebiegłym wężu Kaa, który umie tak przypodobnić się do spróchniałego pniaka lub uschniętej gałęzi, że nawet najmędrsze, najdoświadczeńsze małpidrągi ulegają złudzeniu, póki ów rzekomy pniak czy gałąź nie capnie ich i nie spowije w swe objęcia. Kaa był w całej dżungli jedyną rzeczą, jakiej obawiały się małpy, gdyż żadna z nich nie знаła granic jego potęgi i władzy, żadna nie ośmieliła się spojrzeć mu w oczy — — no, i żadna nie wyszła cało z jego uścisków.

Przeto, pojękując z śmiertelnej trwogi, jęły umykać na dachy i mury domów. Baloo odetchnął z głęboką ulgą. Wprawdzie miał skórę grubszą i gęstsze kudły niż Bagheera, ale i tak odniósł w boju dotkliwie obrażenia.

Wówczas Kaa po raz pierwszy rozwarł paszczkę i przeciągłym sykiem obwieścił — jedno tylko słowo. Posłyszawszy ten dźwięk, małpy spieszące z odległych stron na odsiecz swym towarzyszkom z Chłodnych Legowisk przykucnęły nieruchomo na gałęziach, które poczęły giąć się i trzeszczeć pod ich ciężarem; ucichły i krzyki małp, siedzących na murach i dachach pustych domów, a w ciszy, która zaległa całe miasto, Mowgli posłyszał prychanie i otrząsanie się zmkłej Bagheery, wychodzącej ze zbiornika. Nagle wrzawa znów wybuchała. Małpy poczęły wdzierać się jeszcze wyżej na mury, siadały na karku ogromnym kamiennym bożyszczom i, wrzeszcząc jak opętane, skakały po strzelnicach

— a tymczasem Mowgli pisał z radości po całej altanie, wyzierał to przez jedną to przez drugą szczelinę w murze i pogwizdywał przez zęby, jak puszczyk, na znak szyderstwa i wzgardy dla wrogów.

— Uwolnijcie ludzkie szczenię z tej pułapki — westchnęła Bagheera omdlewającym głosem. — Mnie już brak sił. Zabierzmy ludzkie szczenię i odejdźmy precz. One mogą znów na nas uderzyć.

— One się nie rusz-sz-szą, aż-ż ja im dam roz-z-kaz-z! — syknął Kaa. — S-s-s-stójcie s-s-spokojnie, głupie be-s-s-s-tje!

W całym mieście zaległa ponownie głucha cisza, z czego korzystając Kaa przemówił do Bagheery:

— Nie mogłem przyjść wcześniej, Bagheero... ale zdaje mi się, że słyszałem, jak wzywałaś pomocy...

— Ja?... ja?... Być może, że wyrwał mi się jakiś okrzyk w czasie walki — odpowiedziała Bagheera. — Baloo, tyś zraniony?

— Uff! — odrzekł Baloo z powagą, potrząsając każdą łapą z osobna. — Dalibóg nie wiem, czy te drapichrośty nie rozszarpały mnie na sto małych niedźwiedziątek! *U-u-o-u!* Ależ mnie bolą kościska! Mój Kaa, zdaje mi się, że oboje... Bagheera i ja... zawdzięczamy ci ocalenie życia...

— E, fraszka! Gdzież to człowieczątko?

— Tu, w tej pułapce! — zawołał Mowgli. — Nie mogę stąd się wydostać!

Istotnie, krzywizna rozwalonego sklepienia udaremniała wszelkie wyjście.

— Zabierzcie go stąd! On tańczy i wierci się wokoło, jak paw Mao. Jeszcze nam pozabija młode! — zawołały kobry, gnieźdzące się w altanie.

— He, he, he! — zaśmiał się wąż Kaa. — Ten człowieczek wszędy znajduje przyjaciół. Cofnij się, człowieczku... pochowajcie się, Jadowite Węże! Zaraz rozwalę tę ścianę!

Obejrzał uważnie budowlę, aż wkońcu dostrzegł w płycie marmurowej rysę odmiennego koloru, wskazującą, że w miejscu tem kamień skruszał od wilgoci. Postukał w nią kilkakrotnie zlekka głową, wziął rozmach, a następnie wzniosłszy sześć piędzi swego ciała ponad ziemię i wytknąwszy nos naprzód, grzmotnął nim z całej siły, z jakie sześć razy, w ową ścianę. Ściana pękła i runęła wśród kłębów kurzu i rumowiska, a Mowgli wyskoczył z poza niej i rzucił się między niedźwiedzia Baloo i Bagheerę — każdemu z nich jednym ramieniem opasując wielką szyję.

— Czy aby nie jesteś zraniony? — zapytał Baloo, przytulając go z czułością do siebie.

— Jestem zmęczony, głodny, ale nie mam ani jednego sińca... zato jakże was te małpy nikczemnie pokiereszowały, o Bracia moi! Cali ociekacie krwią!

— Nietylko my, ale i nasi przeciwnicy — odpowiedziała Bagheera, oblizując wargi i spoglądając na stosy małpich trupów na tarasie i wokół cysterny.

— O, to wszystko drobnostka... to wszystko drobnostka... byleś tylko ty był zdrów i żywy, o moja chlubo... najmilsze ze wszystkich żabiątek! — skomlał Baloo.

— O tem wszystkiem później będziemy mówić! — zauważyła Bagheera tonem oschłym, który wcale a wcale nie podobał się Mowgliemu. — Ale oto wąż Kaa, któremu my zawdzięczamy wygraną, a ty zawdzięczasz życie! Podziękujże mu według naszych zwyczajów.

Mowgli odwrócił się i ujrzał olbrzymi łeb Pytona, kołyszący się o piędź nad jego własną głową.

— Aha, więc tak wygląda młode człowieczątko! — syknął Kaa. — S-s-skórę ma gładką i ś-ś-ślis-ską, ale pozatem jes-st do-s-s-yc podobne do plemienia *Bandar-logu!* Miejże się na baczości, człowieczku, bo przy s-s-słabem ś-ś-ś-wietle zmierzchu, z-z-zwłaszcza po ś-ś-ś-wieżej zmianie s-s-skóry, mogę pomylić się i wziąć cię za małpę...

— Ja i Ty jes-s-teśmy z-z-z jednej krwi! — odpowiedział Mowgli. — Dzisiejszej nocy dzięki tobie ocaliłem życie. Ilekroć będziesz głodny, wężu Kaa, moja zdobycz będzie twoją zdobyczą.

— S-serdeczne dzięki, Mały Bracie! — odpowiedział Kaa, mrugając przytem powiekami. — I na cóż to poluje tak ś-ś-miały myśliwiec? Pytam o to dlatego, bym mógł mu towarzyszyć, gdy w najbliższym czasie wybierze się na łowy.

— Nie zabijam jeszcze niczego... jeszcze jestem za mały... za to umiem naganiać kozły ku my-

éliwcom, którzy potrafią sobie z uicmi dać radę. Gdy będziesz głodny, przyjdź do mnie, a zobaczysz, czy mówię prawdę. Umieję zręcznie władać tem oto — (to mówiąc, wyciągnął przed siebie rękę) — a jeżeli kiedy znajdziesz się w pułapce, rad będę uiścić się z długu, jaki zaciągnąłem względem ciebie, względem Bagheery i starego Baloo. Życzę wam szczęśliwych łowów, moi mistrzowie!

— Jak on ładnie się wyraża! — wymamrotał Baloo, rad, że Mowgli podziękował tak grzecznie. Pyton złożył lekko na chwilę łeb swój na ramieniu chłopca i odezwał się:

— Dzielne masz serce i wytworny język; dzięki temu zyskasz szeroki rozgłos w dżungli, mój człowieczku. Ale teraz odejdz stąd czempredzej razem ze swymi przyjaciółmi. Idź i prześpij się, bo księżyc już zachodzi, a nie jest rzeczą pożądaną, byś miał obaczyć to, co teraz nastąpi.

Księżyc już zniżał się poza krawędź wzgórz, a szeregi drżących małp, stłoczonych na murach i blankach, wyglądały w jego poświatli niby strzępy i cienie jakichś nieokreślonych przedmiotów. Baloo zszedł do zbiornika, by napić się wody, a Bagheera poczęła doprowadzać do porządku swoje futerko. Tymczasem Kaa wypełznął na środek tarasu i tak głośno klapnął szczękami, że oczy wszystkich małp w jednej chwili zwróciły się w jego stronę.

— Księżyc zachodzi — odezwał się. — Czy jeszcze jest natyle jasno, byście mnie widzieli?

Z murów nadbiegł jęk przeciągły, podobny do szmeru wiatru w koronach drzew:

— Widzimy cię, o Kaa!

— Do-s-s-skonale! A teraz-z-zacznie s-się płąs-s-s..., głodowy taniec węża Kaa. Siedźcież s-s-spokojnie i s-s-spolgładajcie!

To rzekłszy, że dwa razy zatoczył olbrzymi krąg, wymachując przytem łbem to w prawo, to w lewo. Potem zaczął na wszystkie strony wykręcać swem cielskiem, zwijając je to w pętlę, to w kształt ósemki, to znów w giętkie, rozlewne trójkąty, które niebawem przeobrażały się w kwadraty i pięcioboki, a wkońcu pięły się wgórę kłęбами pierścieni... Kręcił się i kręcił bez wytchnienia, ale i bez pośpiechu, ani na chwilę nie przerywając głuchego, brzęczącego przyśpiewu. Ściemniało się coraz bardziej, aż nakoniec wijące się ustawicznie sploty węża znikły całkowicie w mroku — i słychać było jedynie chrzęst łusek, uderzających wciąż jedna o drugą.

Baloo i Bagheera stali w miejscu jak skamieniałi, warcząc pocichu, a szczeć im się jeżyła na karku. Mowgli patrzył spokojnie i dziwował się.

— S-s-słuchaj, plemię *Bandar-logu!* — zabrzmiał wkońcu głos węża Kaa. — Czy który z-z-z was-s-s potrafi bez-z-z mojego roz-z-zkazu rusz-szyć ręką lub nogą? Powiedzcież-ż-ż!

— Bez twego rozkazu, o wężu Kaa, nikt z nas nie potrafi ruszyć ręką ani nogą! — odpowiedziały chórem małpy.

— Do-s-s-skonale! Podejdźcież więc na krok bliżej ku mnie!

Szeregi małp posunęły się naprzód bezwolnie i uległe — a wraz z nimi podążył bezwładnym krokiem niedźwiedź Baloo wraz z Bagheerą.

— Bliżej! — syknął Kaa i znów wszystkie zwierzęta poruszyły się w kierunku Pytona.

Mowgli pochwycił oburącz Bagheerę i niedźwiedzia, chcąc ich powstrzymać. Potężne zwierzę drgnęły, jakby nagle przebudzone ze snu.

— Trzymaj mi rękę na karku! — szepnęła Bagheera. — Trzymaj mnie... inaczej wrócę... wrócę ku wężowi Kaa... O-och!

— E! wielkie mi dziwy, że stary Kaa kręci się wkółko po piasku! — skrzywił się Mowgli. — Chodźmy już stąd!

We trójkę przeleźli przez wyłom w murze i dali nura w knieję.

— U-uff! — westchnął Baloo, gdy znaleźli się znowu pod osłoną drzew. — Nigdy już nie wezmę węża Kaa za sprzymierzeńca!

Dreszcz zgrozy przeszedł mu po całym ciele.

— On umie znacznie więcej niż my! — odezwiała się Bagheera, również dygocąc ze wzruszenia. — Gdybym choć chwilkę dłużej została w miejscu, jużbym się teraz znajdowała w jego gardzieli.

— Niejeden się tam znajdzie, nim znowu wejdzie księżyc — odpowiedział Baloo. — Kaa będzie miał pomysły na swoje łowy... na swój sposób!

— Ale cóż to wszystko miało oznaczać? — zapytał Mowgli, który nigdy nie słyszał o uroku, jaki

umieją rzucać pytony. — Nie widziałem nic innego, oprócz wielkiego węża, który kręcił się w kółko jak głupi, póki nie ściemniło się zupełnie... A jaki on miał rozbity nochal... ha! ha! ha!

— Mowgli! — ozwała się z gniewem Bagheera: — jeżeli nos jego był rozbity, to rozbił on go sobie jedynie dla twego dobra... podobnie jak ja dla twego dobra naraziłam się na pogryzienie mych uszu, boków i łap, a Baloo na pokieraszowanie szyi i grzbietu. Ani ja, ani Baloo nie będziemy przez czas dłuższy mogli zakosztować rozkoszy lowów.

— E, drobnostka! — rzekł miękko Baloo. — Za to odzyskaliśmy nasze ludzkie szczeniátko!

— To prawda! Ale kosztowało to nas wiele... Przypłaciliśmy to i zmarnotrawieniem czasu, który można było spędzić na miłych lowach... i krwią naszą... i szczecią, której mi moc wyskubano z grzbietu... a wreszcie potrosze i uszczerbkiem na honorze... Bo przypomnij sobie, Mowgli, że ja, czarna Pantera, byłam zmuszona wzywać pomocy węża Kaa... a Baloo i ja zgłupieliliśmy, jak małe pisklęta na widok głodowego tańca. A wszystko to, o Ludzkie Szczenie, wynikło z twych zabaw z *Bandar-logiem*.

— To prawda... prawda! — rzekł Mowgli ze skruchą. — Jestem niedobrem szczenięciem ludzkim, więc w brzuszku ściska mnie wielki smutek z tego powodu!

— Hmm! Powiedz mi, Baloo, co w tej mierze głoszą Prawa Dżungli?

Baloo nie chciał czynić Mowgliemu nowej przykrości, ale nie mógł pozostawać w zatargu z prawami dżungli, więc mruknął pod nosem:

— Skrucza nigdy nie wyklucza kary. Ale pamiętaj, Bagheero, że on jeszcze taki maleńki!

— Będę pamiętała... Ale kto narobił szkody, musi dostać wskórę. Mowgli, czy masz co na swoją obronę?

— Nic... Postąpiłem brzydko... narobiłem szkody... Baloo i ty odnieśliście rany... Należy mi się kara.

Bagheera wymierzyła mu po przyjacielsku sześć klapsów. Klapsy te w mniemaniu pantery były lekkie, gdyż nie byłyby w stanie nawet przebudzić pierwszego lepszego śpiącego panterzątka; jednakże dla siedmioletniego chłopca była to chłosta tak dotkliwa, że każdy z was napewnoby jej chciał uniknąć. Gdy się skończyło to skórobicie, Mowgli kichnął głośno, poczem zerwał się na nogi, nie mówiąc ni słowa.

— A teraz — odezwała się Bagheera — hops na mój grzbiet, Braciszku! Pojedziemy do domu.

Pięknym rysem Prawa Dżungli jest to, że kara bywa ostatecznym załatwieniem wszelkich porachunków, po którym już nie następują żadne nagany ni wyrzuty.

Mowgli oparł głowę o grzbiet Bagheery i zasnął tak twardo, że nie obudził się nawet wtedy, gdy ułożono go koło Matki Wilczycy w rodzinnej jaskini.

PIEŚŃ WAGANCKA BANDAR-LOGU.

Ciągniem się niby wiszący most
Hen w górę, w górę — pod księżyc wprost!
Nie chcielibyście tak hasać wkrąg?
Nie zazdrościcie nam dwóch par rąk?
Nie mielibyście przypadkiem chętki,
Jak łuk Erosa — ogon mieć giętki?
Dąsasz się na nas, ale . . . — pal sześć! —
Bracie, trza wyżej ogon nieść!

A oto siedzim na drzewnych pniach,
Myśląc tak mądrze — że aż strach! —
Dumając: ile wspaniałych dzieł
Spełnić możemy, wzięwszy na kiel, —
Co możemy zdobyć — ot! — w chwilkę małą,
Gdyby nam tylko się spodobało!
A właśnie mamy zdziałać . . . — pal sześć! —
Bracie, trza wyżej ogon nieść!

Na całym świecie — wzdłuż i wszerz —
Wiemy, jak gada ptak czy zwierz,
Gacek czy ryba, gad czy płaz — —
O wszystkim gwarzmy prędko — i wraz!
Jeszcze raz! Świetnie! Pysznie! O cudzie!
Teraz mówimy już tak jak ludzie!
Możem udawać, żeśmy . . . — pal sześć! —
Bracie, trza wyżej ogon nieść!
Taka jest życia małpiego treść!

*Więc spótem w płas radosny! Nurkujmy poprzez
sosny,*

Sięgajmy ku owocom, które dziko wzrosły!

*Po naszym cnem gadaniu i bójkach przy wstawaniu
Miarkujcie, że piastujem właśnie w duchu cel
wyniosły!*

„TYGRYS! TYGRYS!“

Jak idą łowy, myśliwczę groźny?

Bracie! czatować żmudno!... czas mroźny!...

Kędyż zwierzyna — ślad twych trofeji?

Bracie! zwierzyna... pasie się w kniei!...

Gdzież jest ta siła, którą się chwalisz?

Bracie! miast siły czuję... paraliż!...

Gdzież to kierujesz kroki swe rączę?

Bracie!... Do jamy... gdzie życie skończę!...

A teraz musimy powrócić do pierwszej z naszych opowieści. Opuściwszy wilczą jaskinię wnet po pamiętnej bitwie z Gromadą na Skale Narady, Mowgli wyszedł na uprawne pola, wśród których już znajdowały się osiedla wieśniaków. Nie chciał jednakże zatrzymywać się w tej okolicy, gdyż za blisko stąd było do dżungli, a zdawał sobie przecie sprawę z tego, że na Wilczym Wiecu pobudził przeciwko sobie gniew conajmniej jednego nieprzyjaciela. Przeto szedł i szedł wciąż naprzód, kierując się wedle kamienistej drogi, zbiegającej wdół wąwozem. Posuwając się uporczywym, zółwim krokiem, przebrnął bezmała dwadzieścia mil angielskich, aż nakoniec dotarł do miejscowości, gdzie dotąd jeszcze nie postąpiła jego stopa. Wąwóz się tu rozszerzał, tworząc rozległą rów-

ninę, którą tu i owdzie garbiły opoczyste wzniesienia lub przerzynał parów. Na jednym jej końcu widniała mała wioska, po przeciwnej zaś stronie spływał ku pastwiskom rąbek gęstej puszczy, urywając się nagle, jakby ucięty motyką. Po całej równinie pasły się stada bydła domowego i bawołów.

Na widok Mowgliego pastuszkowie pilnujący bydła rozpierzchli się w popłochu, wydając przerażliwe krzyki, a żółte psy parjaskie, włóczące się w każdej wsi indyjskiej, poczęły naszczekiwać. Mimo to Mowgli szedł dalej, bo dokuczał mu głód niezmierny. Gdy doszedł do wrót wioski, obaczył wielki krzak ciernisty, który zaciągnano na noc przed wrota; w danej chwili zapora ta była odsunięta nieco na bok.

— Uhm! — mruknął Mowgli, któremu zdarzyło się przełazić przez niejedną taką zaporę, gdy nocą wyprawiał się po żywność. — A więc i tutaj ludzie obawiają się Plemion Dżungli.

Usiadł przy bramie i czekał. Ujrzawszy jakiegoś człowieka, nadchodzącego w jego stronę, powstał, rozdziawił szeroko buzię i wskazał na nią palcem, na znak, że chciałby coś przekąsić. Człowiek wytrzeszczył na niego oczy, poczem odwrócił się i pobiegł pędem w jedną z uliczek wioski, przywołując kapłana.

Kapłan był to mężczyzna słusznego wzrostu i jeszcze słusniejszej tuszy, biało odziany, z czerwonożółtem piętmem na czole. Podeszedł ku wrotom, wiedząc za sobą conajmniej setkę ludzi, któ-

rzy poczęli gapić się na Mowglięgo i wskazywać nań wśród rozmowy i wrzasków.

— Niby to ludzie... a nie znają się na grzeczności! — mruknął Mowgli. — Tylko koczkodany zachowują się tak jak oni!

¹ I żeby im to okazać, odrzucił wtył bujne włosy i spojrział — jak to mówią — wilkiem na gapiącą się rzeszę.

— Czegóż tu się obawiać? — odezwał się kapłan. — Przyjrzyjcie się znakom na jego ramionach i nogach. To ślady ukąszeń zadanych mu przez wilki. Mamy przed sobą małego wilkołaka, który zbiegł z kniei.

Istotnie na ramionach i nogach Mowglięgo widać było białe blizny, wynikłe stąd, że wilczęta podczas zabaw czasem uszczypnęły go nieco silniej, niż leżało w ich zamiarze. Jednakże Mowgli nigdy tych uszczypnięć nie nazwał ukąszeniami; miał bowiem pojęcie o tem, co znaczy prawdziwe ukąszenie.

— Arrè! Arrè — zawołało jednocześnie parę kobiet. — Pokąsany przez wilki!... Biedne dzieciątko! Ale chłopaczek śworny! Oczki mu się jarzą, kiej ogień! Moiściewy, Messuo!... kropla w kroplę podobny do twego chłopca, co go porwał tygrys!

— Puśćcie mnie! Niechno mu się przypatrzyć! — zawołała jakaś kobieta, przybrana w ciężkie miedziane bransolety na rękach i nogach.

Przysłoniła ręką brwi i poczęła przyglądać się Mowgliemu.

— A dyć naprawdę podobny. Kieło mniej grubasny, ale poziera to całkiem, jak mój chłopak!

Kapłan był człowiekiem mądrym i wiedział, że Messua była żoną najbogatszego z mieszkańców wioski. Zapatrzył się więc na chwilę w niebo i rzekł uroczyście:

— Dżungla zwróciła to, co dżungla zabrała. Weź chłopca do swej chaty, siostró moja, i nie zapomnij składać czci kapłanowi, który wzrokiem swym przenika w głąb ludzkiego żywota.

— Na wołu, który był okupem za mnie! — rzekł do siebie Mowgli. — Całe to gadu-gadu mocno mi przypomina owe oględziny, jakie przebyłem w Wilczej Gromadzie! No, tak! Jeżeli mam być człowiekiem, to niechże nim się stanę!

Rzesza rozstała się w dwie strony, a kobieta skinęła na Mowglię i zaprowadziła go do swej chaty, gdzie znajdował się czerwono malowany tapczan, wielki sąsiek z wypalanej gliny, ozdobiony cudacznym wzorkiem, kilka miedzianych garnków, posążek hinduskiego bożka ukryty w malej wnęcie, oraz wiszące na ścianie prawdziwe lustro, nabyte na wiejskim jarmarku.

Messua dała chłopcu spory lyk mleka i skibkę chleba, a potem złożyła rękę na jego głowie i patrzyła mu długo w oczy. Myślała, że może to i naprawdę wrócił do niej jej synaczek — z owej dżungli, gdzie porwał go tygrys. W tej myśli przemówiła:

— Nathoo! Nathoo! *)

*) Czyt. Nadhu.

Twarz Mowglięgo bynajmniej nie zdradzała, jakoby znał to imię.

— Czy nie przypominasz sobie tego dzionka, kiedym ci dała nowiuśkie buciczki?

Dotknęła jego stóp. Były na róg stwardniałe od chodzenia boso.

— Nie! — ozwała się ze smutkiem. — Te nóżki nigdy nie chodziły w bucikach!... Ale ty jesteś bardzo podobny do mojego Nathoo... Będziesz więc moim synkiem!

Mowgli czuł się tu niedobrze, gdyż dotychczas jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło przebywać pod dachem. Przyjrzawszy się jednak słomianemu poszyciu, spostrzegł, że będzie mógł je bez trudności rozedrzeć każdej chwili, gdy tylko przyjdzie mu ochota wyjść na dwór. Zresztą i okno pozbawione było wszelkich rygli.

— Co mi przyjdzie z obcowania z człowiekiem, jeżeli nie rozumiem ludzkiej mowy? — powiedział sobie wkońcu. — Jestem teraz tak głuchy i głupi, jak byłby człowiek, gdyby się znalazł pośród nas w kniei. Muszę się nauczyć ich mowy!

W czasach pożycia z wilkami, Mowgli nauczył się naśladować pobekiwanie kozłów w kniei i pochrząkiwanie młodych warchlaków. Ćwiczenie to wielką mu teraz korzyść przyniosło. Ilekroć Messua wymówiła jakieś słowo, on natychmiast powtarzał je głośno; przed zapadnięciem zmroku spał już nazwy wielu przedmiotów znajdujących się w chacie.

Ale prawdziwa bieda była z położeniem go do łóżka. Mowgli za nic w świecie nie chciał spać w tej budzie, która przypominała mu pułapkę na pantery. Przeto, gdy zaryglowano drzwi, wylazł oknem na dwór.

— Daj mu spokój! — odezwał się mąż Messui.
— Bacz se, że on jeszcze nigdy nie spał w łóżku. Jeżeli on naprawdę został nam zesłany na miejsce naszego synka, to pewnością od nas nie ucieknie!

Tymczasem Mowgli doszedł na skraj pola i wyciągnął się w bujnej, niestratowanej trawie. Ledwo jednak zmrużył oczy, gdy jakieś miękkie, szare nosisko szturchnęło go poufale w podbródek.

— Tfu! — odezwał się głos Szarego Brata, pierworodnego syna Matki-Wilczycy. — Nie powiem, by opłaciło się biec dwadzieścia mil twoim śladem! Cuchniesz dymem i nawozem bydlęcym... zupełnie jak człowiek! Zbudź się, Mały Bracie! Przynoszę ci nowinę!

— Cóż tam w kniei? Czy wszyscy zdrowi? — zapytał Mowgli, tuląc go do siebie.

— Wszyscy... z wyjątkiem wilków, które porzyłeś czerwonym kwieciem. A teraz posłuchaj! Shere Khan opuścił dotychczasowe łowisko i przeniósł się w inne strony aż do czasu, póki mu nie odrośnie futro, szpetnie przez ciebie osmalone. Klnie się, że gdy powróci, zatopi twe kosteczki w nurtach Waingungi.

— A zatem słowo na słowo... bom ci i ja dał mu pewną obietnicę. Ale dzięki ci za nowinę... zawsze mi się ona przyda. Jestem teraz bardzo

znużony... by tyle widziałem nowych rzeczy... ale przynos mi wciąż nowiny, Szary Bracie!

— Ale ty chyba nie zapomnisz, żeś wilkiem? Nie pozwolisz, by ludzie zatarli w tobie pamięć o nas? — pytał Szary Brat z niepokojem.

— Nie zapomnę, nie zapomnę! Zawsze będę pamiętał, iż kocham ciebie i wszystkich, którzy żyją w naszej jaskini... Jednakże i o tem będę pamiętał, żeś został wyrzucony z Wilczej Gromady!

— I o tem, że cię mogą również wygnać z innej gromady... Ludzie są tylko ludźmi, Mały Bracie, a ich gwara jest podobna do gwaru żab w bajorze. Gdy przyjdę tu ponownie, będę cię oczekiwał w kępie bambusów na skraju pastwiska.

Przez trzy miesiące od owej nocy Mowgli tak był zajęty uczeniem się zwyczajów i obyczajów ludzkich, że prawie nie wychodził poza obręb wioski. Najpierw tedy zmuszono go do noszenia sukiennej opaski, która niezdolnie tarła mu ciało; potem zapoznał się z pieniędzmi, których wartości zgoła nie rozumiał, oraz z zajęciami rolniczemi, w których nie mógł się dopatrzeć żadnego pożytku. Potem zaczęło go wielce drażnić zachowanie się małych wiejskich łobuzów. Całe szczęście, że Prawo Dżungli nauczyło go trzymać temperament na wodzy; od takiej bowiem powściągliwości zależy w dżungli możność zdobycia jadła, a niekiedy i życie. W każdym razie, ilekroć chłopcy dokuczali Mowgliemu za to, że przekreślił jakieś słowo, że nie chciał bawić się w łapankę i puszczać latawca, brała go chętka, by złapać ich za czupryny i roze-

drzeć w pól; — i powstrzymywała go jedynie świadomość, że zabijanie małych nieowłosionych szczeniąt nie licuje z godnością łowca.

Przytem nie zdawał sobie wcale sprawy ze swej siły. W dżungli czuł się słaby w porównaniu z dziećmi zwierzętami — natomiast we wsi ludzie o nim mówili, że silny jest jak bawół.

Drugą rzeczą, o której Mowgli nie miał należytego pojęcia, były kastowe różnice pomiędzy ludźmi. Przeto pomagał garncarzom wyciągać za ogon osła, który wpadł do glinianki, a gdy wybierali się na targ do Khanhiwary, wraz z nimi układał garnki na grzbiecie zwierzęcia. Poczytano mu to za wielką nieprzyzwoitość, gdyż garncarz jest człowiekiem niskiej kasty... a cóż dopiero mówić o jego osle! Gdy kapłan począł strofować Mowglię, chłopak zagroził mu, że i jego wpakuje na grzbiet osła. Wówczas kapłan oświadczył mężowi Messui, że Mowgli powinien corychlej wziąć się do jakiej roboty; przeto wójt wioski przykazał Mowgliemu, by nazajutrz wypędził bawoły na pastwisko i pilnował ich podczas paszy.

Słowa te sprawiły Mowgliemu niezmierną radość. Ponieważ powierzono mu — bądź co bądź — ważną funkcję społeczną, więc czuł się w prawie i obowiązku podążyć o zmierzchu na zebranie gromadkie, które odbywało się co wieczora na podmurwanem boisku pod wielkim figowcem. Był to jakby wiejski klub i palarnia. Schodzili się tu najwybitniejsi obywatele wioski: pan wójt, pan strażnik, golibroda (znający wszystkie plotki miejscowe)

i stary strzelec Buldeo, właściciel staroświeckiego muszkietu. W górze, na gałęziach figowca, siadywały małpy i przekomarzały się z sobą, a w jamie pod murkiem gnieździł się wąż kobra, któremu — jako istocie poświęconej — zastawiano co wieczoru michę z mlekiem. Starszyzna wiejska zasiadała półkręgiem wokół drzewa, ciągnąc dym z *huqa**) i gawędząc aż do późnej nocy. Opowiadali przedziwne baśnie o bożkach, ludziach i upiorach; jeszcze większe, niestworzone dziwy opowiadał o zwyczajach dzikich zwierząt puszczańskich stary Buldeo — tak ciekawie, że dzieciom, siedzącym opodal, aż oczy na wierzch wylażyły z zachwyty.

Na tle życia zwierzęcego była osnuta większość owych gawęd wieczornych, gdyż dżungla ustawicznie dawała znać o sobie mieszkańcom wioski. Jelenie i dziki nieraz spasały i niszczyły lan niewykłoszonego jeszcze zboża, a bywało, że o zmroku pojawiał się tygrys i z przed samych wrót wioski uprowadzał któregoś z jej mieszkańców. Gdy Buldeo, trzymając fuzję na kolanach, plótl coraz to nowe koszalki-opalki, Mowgli, który — rzecz prosta — znał się coś niecoś na tem, co stanowiło temat gawędy, nieraz zasłaniał sobie twarz i trząsł się cały od skrytego śmiechu.

Tego wieczora właśnie Buldeo wyjaśniał słuchaczom, że tygrys, co porwał ongi syna Messui, nie był tygrysem lecz upiorem, w którego ciele prze-mieszkiwał duch pewnego dawno już zmarłego lichwiarza.

*) Fajka z chłodnicą.

— I głowę daję, że to musi być prawda! — zapewniał. — Purun Dass zawdy utykał na jedną nogę, którą mu przetrącili rozjuszeni dłużnicy, popaliwszy wpierw jego księgi rachunkowe... Zasię tygrys, o którym mówię, również utyka na jedną nogę, bo ślady jego łap bywają zawsze nierówne.

— Prawda! Prawda! Juści, że to musi być prawda! — przytakiwali sędziwi brodacze, kiwając zgodnie głowami.

— Czy wszystkie twoje opowieści są taką pajęczą gmatwaniną niedorzecznych bredni? — zagadnął ni stąd ni zowąd Mowgli. — Ów tygrys dlatego kuleje, że się urodził kulawy... o czem zresztą wszystkim wiadomo. Tylko dziecko może bajdurzyć, że w tem zwierzęciu, które nigdy nie okazało odwagi większej niż szakal, przemieszkuje dusza lichwiarza.

Buldeo przez chwilę oniemiał ze zdumienia, a wójt rozwarł oczy szeroko.

— Ho! ho! Tuś mi ty, leśne pomiotło! — sarknął Buldeo. — Kiej taki mądrala z ciebie, to lepiejbyś przyniósł jego skórę do Khanhiwara, bo rząd nałożył cenę sto rupij na jego życie! Jeżeli tego nie potrafisz, to nie rozwieraj gęby, gdy mówią starsi.

Mowgli powstał, zabierając się do odejścia. Gdy już nieco się oddalił, krzyknął jeszcze poza siebie:

— Leżałem tu przez caluśki wieczór, przysłuchując się opowiadaniom Buldeo... i zaledwie raz czy dwa razy posłyszałem z ust jego jakieś słówko prawdziwe o tej dżungli, która ciągnie się tuż

przed jego domem. Jakże więc mam wierzyć bajdom o duchach, upiorach i bożkach, rzekomo widzianych przez niego?

— Czas już wielki, by chłopak wziął się do pasania bydła! — zauważył wójt, a Buldeo jeszcze przez długi czas parskał i chrząkał, do żywego przejęty bezczelnością chłopca.

W wielu wsiach indyjskich panuje taki obyczaj, że wszystkie stada bydła i bawołów oddaje się pod opiekę kilku chłopakom, którzy wczesnym raniem wypędzają je na paszę, a przed nocą przyprowadzają zpowrotem do obór. Rzecz dziwna, że bydłęta, które z byle powodu stratowałyby białego człowieka na śmierć, z wielką uległością poddają się chłości, wymyślaniom i urągowiskom ze strony nieletnich berbeciów, ledwie dorastających do nozdrzy pierwszemu lepszemu cielakowi. Chłopcy ci, póki trzymają się przy swych trzodach, czują się najbezpieczniejsi w świecie — gdyż nawet tygrys nie odważa się napadać wielkiej gromady bydła. Lecz niechno z nich który wyruszy samopas, by zrywać kwiatki lub uganiać za jaszczurkami — wówczas ręczyć nie można, czy nie stanie się znienacka łupem napastnika.

O świecie Mowgli siadł na grzbiecie wielkiego buhaja-stadnika, noszącego imię Ramy, i przejechał przez wieś całą. Cisawe bawoły o długich, wtył zagiętych rogach i złowrogim spojrzeniu zaczęły jeden po drugim wychodzić z obór i poszły za Mowglim, który niedwuznacznie dał odczuć innym chłopcom, że on tu odtąd będzie panem. Pogania-

jąc bawoły długą, gładką żerdką bambusową, wysunął się wraz z niemi naprzód. Reszta bydła została na opiece innych chłopców, z których jednemu, zwanemu Kamy, przykazał, by paśli je spolem na pastwisku i nie oddalali się od trzody.

Pastwiska w Indjach bywają usiane skalami, kępami zarośli i burzanów oraz drobnymi kotlinkami, wśród których rozsypują się i często nikną z oczu pasące się stada. Bawoły zazwyczaj znajdują upodobanie w kalużach i trzęsawiskach, gdzie mogą wylegiwać się całymi godzinami, tarzając się i wygrzewając w ciepłym blocku. Mowgli zapędził swe stado na krawędź równiny, kędy z głębi lasu wypływa rzeka Waingunga — następnie zeskoczył z grzbietu Ramy, wbiegł w kępę bambusów — i spotkał się z Szarym Bratem.

— Ach! — odezwał się Szary Brat — już od wielu dni czekam tu na ciebie. Cóż to za heca z tem bydłem?

— Spełniam rozkazy — odpowiedział Mowgli. — Jestem teraz pastuchem wiejskim. Czy masz jaką wiadomość o Shere Khanie?

— Shere Khan powrócił w te okolice i czatował na ciebie tutaj od dłuższego czasu. Teraz znów się oddalił, bo chude miewał łowy w tych stronach. W każdym razie nie wyrzekł się zamiaru zapolowania na ciebie.

— Dobrze! do-obra! — ucieszył się Mowgli. — Póki ten drab jest daleko, bądź tak dobry i albo sam waruj na tej skale albo przyślij tu kogoś z czterech moich braci, bym mógł was dostrzec,

wychodząc z wioski. Gdy zaś on wróci, oczekuj mnie pod drzewem *dhāk* w jarze pośrodku równiny. Nie powinniśmy włączyć w paszczękę Shere Khanowi.

To rzekłszy, Mowgli położył się w cieniu i zasnął, a bawoły pasły się spokojnie wokół niego. Rzadko w świecie spotyka się takie próżnowanie i nieróbstwo, jak w Indjach podczas pasania trzody. Bydło włóczy się z miejsca na miejsce, skubiąc trawę, potem kładzie się, by przeżuwać jadalno, a potem znów przenosi się w inne miejsce, nie porykując nawet — tylko czasem odzywając się cichym chrząknięciem. Bawoły prawie wcale się nie odzywają, tylko włożą jeden za drugim w brudne bajora i brną w błocie, aż nakoniec kładą się w niem jak kłody nieruchomo, wystawiając nad powierzchnię jedynie nozdrza i sinawe oczyska. Skały, rozżarzone słońcem, zdają się tańczyć przed oczyma. Kędyś wysoko, w niewidocznej dali, słychać co pewien czas gwizd orlika — zawsze tylko jednego... ale chłopcy pasący trzody wiedzą dobrze, że gdyby któryś z nich zaczął konać albo które z bydła poczęło zdychać, drapieżnik opuściłby się w jednej chwili na ziemię — a najbliższy myszołów szybujący w odległości wielu mil, spostrzegłby to i nadleciał ku swemu towarzyszowi, — za nim zaś poszedłby jeszcze jeden i drugi i trzeci — tak iż zanimby nieszczęśliwa ofiara zdążyła zemdlać, jużby ją obiadło ze dwadzieścia ptaków, niewiadomo skąd przybyłych.

Takie to rzeczy opowiadają sobie pastuszkowie. Pozatem śpią, budzą się i znów zasypiają, to plotą małe koszyczki z suchego sitowia i zbierają do nich szarańczę, to znów łapią duże wieszczki-modliszki*) i jątrzą je do wzajemnej walki; to splatają naszyjniki z czerwonych i czarnych orzeszków leśnych, to znów przyglądają się jaszczurkom, wygrzewającym się na słońcu lub węzom, polującym na żaby koło bajorka. Kiedyindziej zaś śpiewają długie, długie pieśni, kończące się dziwnymi trelami, do których zdolni są jedynie krajowcy. Dzień jeden tym pastuszkom wydaje się dłuższy niż innym ludziom nieraz całe życie — więc czasami też zdobędą się i na to, by budować z błota zamki pełne ulepionych z błota postaci ludzkich, koni i bawołów, wkładają tym ludziom patyki do rąk i bawią się, że sami są królami lub bożkami, a owe figurki stanowią ich wojskową drużynę, czy rzeszę wielbicieli. Wkońcu nadchodzi wieczór. Na głos chłopięcych nawoływań, bawoły z głuchem dudnieniem, przypominającym huk armat, poczynają jeden za drugim wylazić co żywo z kleistego błota i długim szeregami snują się przez szarą równinę ku polyskującym ogniskom wiejskim.

Dzień po dniu upływał — a każdego dnia Mowgli wiódł bawoły ku ich błotnym legowiskom; każdego dnia dostrzegał z odległości półtorej mili sylwetkę Szarego Brata za pastwiskiem, dzięki

*) Owad z gatunku prostoskrzydłych, większy od konika polnego, składający przednie łapki jakby do modlitwy.

czemu wiedział, że Shere Khan jeszcze nie zawitał w te strony; każdego dnia wylegiwał się na trawie, nadsluchując każdego szelestu wokoło i marząc o dawnych czasach, przeżytych w dżungli. Gdyby Shere Khan choć raz niezdarnie poruszył kulawem łapskiem w głębi leśnego uroczyska, szelest tego poruszenia doszedłby niechybnie do uszu Mowgliego w ciągu któregoś z długich, cichych poranków.

Aż wkońcu nadszedł dzień, gdy Mowgli nie obaczył Szarego Brata na zwykłej czatowni. Zaśmiał się głośno i pognał bawoły w rozpadlinę pod drzewem *dhák*, które było obsypane czerwono-złocistym kwieciami. Siedział tam już Szary Brat, zjeżywszy groźnie włosy na całym grzbiecie.

— Shere Khan ukrywał się przez cały miesiąc, by zmylić twą czujność — meldował wilczur, dysząc ciężko. — Ubiegłej nocy przekroczył granicę pastwiska i za sprawą Tabaqui'ego znalazł się na twym tropie.

Mowgli zmarszczył się groźnie.

— Nie boję się Shere Khana, ale Tabaqui to przebiegła sztuka!

— Nie bój się go! — odpowiedział Szary Brat, oblizując nieznacznie wargi. — Dziś o świcie spotkałem Tabaqui'ego. Teraz opowiada o swej przebiegłości drapieżnym ptakom, ale przedtem... nim mu kark skręciłem... wyśpiewał przede mną całą prawdę. Shere Khan zamierza czatować na ciebie dziś wieczorem u wrót wioski... tylko na ciebie... i na nikogo pozatem. W tej chwili lotr

wyleguje się w wielkim wyschniętym łożysku Waingungi.

— Czy on dziś co jadł, czy też poluje na czczo? — zapytał Mowgli; od odpowiedzi na to pytanie zależała jego śmierć lub życie.

— O świcie upolował dzika... i popił sobie tego po tej dzicyźnie. Pamiętaj, że Shere Khan nigdy nie pości... nawet gdy myśli o zemście.

— Oj, co za głuptas! co za głuptas! Szczeniak nad szczeniakami! Obzał się... i opił się jeszcze w dodatku... i pewno myśli, że będę czekał, aż się prześpi! No, a gdzież to on się teraz barłoczy? Gdyby nas tu było choćby z dziesięciu, moglibyśmy go zarznąć, nim się obudzi! Bawoły nie ruszą się póki go nie zwietrzą... a ja nie umiem mówić ich językiem. Czy nie moglibyśmy dostać się na jego ślad, by one go poczuły?

— On płynął długo z prądem Waingungi, by zatrzeć ślad za sobą — odpowiedział Szary Brat.

Mowgli włożył palec do ust i zamyślił się.

— Zgaduję, że myśl tę podsunął mu Tabaqui. Sam tygrys nie wpadłby na koncept podobny... Wielkie łożysko Waingungi!... Aha, wiem, wiem!... Jego wylot widać o niecałe pół mili na równinie. Mógłbym zaprowadzić stado dokola przez dżungłę ku wierzchołkom łożyska, a potem runąć nań zgóry... ale drab gotów wymknąć mi się dolnym wylotem parowu. Trzeba więc zagrozić mu i to wyjście. Mam do ciebie prośbę, Szary Bracie: czy nie zechciałbyś rozdzielić mego stada na dwie części?

— Zdaje mi się, że sam nie podolałbym temu... atoli przyprowadziłem tu mądrego pomocnika.

To rzekłszy, Szary Brat wybiegł żwawo i zapadł się w jakimś dole. Za chwilę z tegoż dołu wynurzył się wielki szary łeb, znany tak dobrze Mowgliemu, a w skwarnem powietrzu rozbrzmiał najposępniejszy okrzyk, jaki zna dżungla: — wycie wilka-samotnika polującego w dziennej porze.

— Akela! Akela! — zawołał Mowgli, klaszcząc w ręce. — Powinienem był wiedzieć, że o mnie nie zapomnisz. Mamy tu do wykonania nielada robotę. Pomóż mi, Akelo, podzielić stado na dwie części, tak by po jednej stronie stanęły krowy razem z cielakami, a po drugiej bawoły chodzące w jarzmie i buhaje.

Oba wilki, jakby bawiąc się w kotka i myszkę, poczęły biegać tam i sam pośród trzody — która fukała chrapliwie i potrząsała głowami, jednakże wkońcu rozdzieliła się na dwie gromady. W jednej stanęły bawolice, otoczywszy kręgiem swe cielęta, toczyły złowrogim spojrzeniem i grzebały nogą ziemię, gotowe każdej chwili — gdyby tylko wilk zatrzymał się w miejscu — uderzyć nań i zatratować go na śmierć. W drugiej zebrały się buhaje i młode byczki, parszcząc gniewnie i bijąc o ziemię racicą. Atoli choć wyglądały tak srogo i postawnie, były w istocie mniej groźne, bo nie ciążył na nich obowiązek bronienia cieląt. Nawet sześciu ludzi nie potrafiłoby podzielić stada tak sprawnie, jak owe dwa wilki.

— Jakież są dalsze rozkazy? — sapnął Akela
— Bawoły znów mają ochotę zbić się w jedno stado!
Mowgli wskoczył na grzbiet Ramy.

— Odpędź byki na lewo, Akelo! A gdy się
stąd oddalimy, ty, Szary Bracie, zapędź wszystkie
krowy w gardziel wąwozu.

— Jak daleko? — zapytał Szary Brat, sapiąc
oraz szczękając zębami.

— Aż do miejsca, gdzie ściany wąwozu są tak
wysokie, że Shere Khan nie zdoła na nie wsko-
czyć — zawołał Mowgli. — Trzymaj je tam do-
póty, póki my nie zejdziemy na dół.

Byki, poszczute szczekaniem Akeli, ruszyły z ko-
pyta, a Szary Brat w postawie wyzywającej zatrzy-
mał się przed krowami. Natarły na niego z wiel-
kim impetem, a on uciekając przed nimi wbiegł
do wąwozu — właśnie w chwili gdy Akela odegnał
byki daleko na drugą stronę.

— Byczo! byczo się sprawiają te byki! — wołał
Mowgli. — Jeszcze jedno pchnięcie — i przystą-
pimy do dzieła! Ostrożnie teraz... ostrożnie,
Akelo! Jedno kłapnięcie szczęką za wiele, a byczki
się rozsierdzą. *Hej-ja!* Cięższa to robota niż po-
ścig za kozioroźcem! Czy przypuszczałeś, że te
bydlęta umieją rwać tak chyżo?

— Ja... ja... ja na nie też niegdyś polowałem
— westchnął Akela, osłonięty kurzawą. — Czy
mam zawrócić je do dżungli?

— Tak! tak! zawracaj, zawracaj czempredziej!
Rama już wściekł się ze złości. Och, gdybym umiał
powiedzieć mu, czego dziś od niego żądam!

Bawoły skręciły teraz na prawo i z trzaskiem poczęły przedzierać się przez zarośla. Ujrawszy to, inni pastuszkowie, czuwający przy krowach o pół mili opodal, popędzili do wsi co sił w nogach, zwiastując krzykiem, że bawoły się powściekały i uciekły z pastwiska.

Atoli plan Mowgliego był całkiem prosty. Chłopak chciał zatoczyć wielki krąg pod górę, by dostać się na przyczólek wąwozu, potem zapędzić byki w głąb przesmyku, wskutek czego Shere Khan, zamknięty z dwóch stron, znalazłby się w matni. Wiedział bowiem Mowgli, że ten zwierz kulawy, obżarty przytem i opity do syta, nie będzie mógł walczyć, a tem mniej wgramolić się na jedno ze zboczy wąwozu. Chłopak nie żałował głosu, by dodać zachęty bawołom, zaś Akela, który pozostał daleko z tyłu, poprzestawał na tem, by od czasu do czasu skomleniem popędzić maruderów. Nadłożyli potężny szmat drogi, bo nie chcieli zbliżyć się zanadto do wądolu, by nie zbudzić czujności Shere Khana. Po długim kołowaniu udało się Mowgliemu doprowadzić rozjuszony stado do naczółka wąwozu, kędy stromo wdół zbiegała porośla trawą polana. Z tej wysokości roztaczał się ponad wierzchołkami drzew widok na równinę u stóp dżungli; Mowgli jednak przyglądał się jedynie ścianom wąwozu. Z wielkiem zadowoleniem stwierdził, że wznosiły się niemal prostopadle, a zwisające z nich pnącza i krzewy nie dawały oparcia tygrysowi, któryby chciał stąd się wydostać.

— Daj im wytchnąć, Akelo — zawołał Mowgli, wznosząc dłoń do góry. — One jeszcze go nie zwietrzyły. Daj im odsapnąć. Muszę oznajmić Shere Khanowi, kto przybywa. Mamy go w pułapce.

Przyłożył ręce do ust i krzyknął wgląd wąwozu — niby w korytarz długiego tunelu — a po wszystkich skałach rozbrzmiało wielokrotne echo.

Po dłuższej chwili odpowiedziało im niechętnie senne warczenie nazartego tygrysa, co tylko obudzonego z błogiej drzemki.

— Kto mnie wołał? czego chciał? — ryknął Shere Khan; w tejże chwili z głębi wąwozu wyfrunęły okazały paw, trzepocząc skrzydłami i wrzeszcząc.

— To ja, Mowgli! Już czas udać się na Skałę Narady, bydłobójco! Hej, wdół!... spędź byki wdół, Akelo! Nuże, Ramo, rusz raźniej z kopyta!

Stado na chwilę stanęło jak wryte nad brzegiem urwiska, lecz już Akela rozpuścił na nie jęzor i tak przeraźliwie zawył pobudkę lowiecką, że zwierzęta natychmiast poczęły rzucać się wdół jedno za drugim, jak statki ogarnięte bystrym prądem rzeki, i poszły ławą, rozpryskując wokół żwir i piasek. Porwane pędem, nie były zdolne zatrzymać się ani na chwilę; zresztą zanim zagłębiły się w łożysko wąwozu, już Rama zwietrzył tygrysa i dał o sobie znać groźnym porykiem.

— Ha! ha! — zaśmiał się Mowgli, jadący na nim oklep. — Teraz to już wiesz, o co chodzi!

Jak toczą się krągłe kamienie, porwane wartkim prądem wezbranego strumienia, tak toczyła się i kłębiła wgląd parowu nawala czarnych rogów, spienionych pysków i szeroko rozwartych ślepiów. Słabsze bawoly, wyparte na bok w tym ścisku, pięły się po zboczach wąwozu, z trudem przebijając się przez gęstwą pnączy. Wszystkie wiedziały, iż czeka je ważne zadanie — że oto nastąpi owo straszliwe natarcie bawolego stada, którego żaden z tygrysów zdzierżyć nie zdoła.

Słyszac grzmiący tętent ich kopyt, Shere Khan zerwał się z miejsca i pokuśtykał wdół wąwozu, wypatrując, czy nie uda mu się czmychnąć kędyś boczkciem. Ale ściany wąwozu były bardzo spadziste, więc Kulas rad nie rad włókl się marudnie, czując w żołądku ciężar jądła i napitku, a w sercu szczerą chętkę uchylecia się od walki.

A tymczasem stado już brnęło z chlupotem przez bajoro, z którego on wylazł przed chwilą, i rycało rozgłośnie, aż brzegi wąwozu drgnęły dzwonem echem. W chwilę potem Mowgli posłyszał podobny odzew z przeciwległego końca wąwozu i ujrzał Shere Khana, zawracającego pośpiesznie z drogi. Tygrys wiedział bowiem, że z dwojga złego mniejszem złem jest walka przeciw buhajom, niż przeciw krowom broniącym swych cieląt.

Nagle Rama uwadził o coś nogą, potknął się w biegu, znów oparł się racicami na jakimś miękkim przedmiocie, stratował go doszczętnie i wiodąc tuż za sobą gromadę rozjuszonych buhajów, całym pędem wpadł na drugie stado, nadcią-

gające od przeciwnej strony. Siła zderzenia była tak wielka, że słabsze byczki nie zdołały utrzymać się na nogach. Uniesione rozpędem, oba stada pomknęły na równinę, bodąc się wzajemnie, wierzgając i charcząc. Mowgli upatrzył stosowną chwilę i ześliznął się z grzbietu Ramy, śmigając kijem w prawo i w lewo.

— Nuże, Akelo! Zrób tu porządek! Rozpędź te bydłeta, bo one jeszcze na śmierć się zatłuką! Przepędź je trochę, Akelo! Hej, Ramo! hej! hej! hej! Cichoście już, cichoście dziatki! Już, już po całej parady!

Akela i Szary Brat poczęli znów hulać, skubiąc bawoły zębami w pośladki. Stado ruszyło kupą bezładną zpowrotem ku wąwozowi, wkońcu jednak Mowgliemu udało się zawrócić Ramę — a za nim już i reszta bydłał podążyła nazad ku błotnym komyszom.

Shere Khanowi nie potrzeba już było ponownie garbować skóry. Leżał nieżywy, a orliki już nadciągały w jego stronę.

— Pieską śmierć miał ten szubrawiec, braciaszkowie! — mówił Mowgli, szukając noża, który zawsze nosił uwiązany w pochewce na szyi, od czasu gdy żył między ludźmi. — Zresztą on nigdy by nie stanął do otwartej walki... No, no! Caccanie będzie wyglądało to futerko, gdy je rozściele na Skale Narady! Zabierzmy się żwawo do roboty!

Chłopak wychowany pomiędzy ludźmi aniby nie zamarzył o tem, by własnymi siłami obedrzeć ze skóry tygrysa. Ale Mowgli wiedział lepiej niż

— lwiek inny, jak leży skóra na zwierzu i jak najlepiej złupić ją z niego. W każdym razie była to ciężka robota, więc Mowgli zmitrężył dobrą godzinę czasu i porządnie się zasapał, krając i prując to futrzysko. Wilki siedziały z wywieszonemi jęczorami, czasem tylko na rozkaz chłopca podchodząc ku niemu i ściągając oprawioną już skórę.

Nagle jakaś dłoń spoczęła na ramieniu chłopaka. Podniósłszy głowę, obaczył strzelca Buldeo z rusznicą w ręku. Pastuszkowie rozpuścili po całej wiosce wieść o nagłym popłochu bawołów, przeto Buldeo podążył na miejsce zajścia, — przejęty wielkim gniewem, ale i rad temu, że będzie mógł skarcić Mowgliego za niedostateczny dozór nad trzodą. Wilki, widząc nadchodzącego człowieka, ukryły się pospiesznie.

— Cóż to za heca? — nasrożył się Buldeo. — Myślałby kto, że potrafisz zedrzeć skórę z tygrysa! Gdzież to dopadły go bawoły, że mu tak dogodziły? Dyć to Chromy Tygrys, na którego głowę nałożono tysiąc rupij! No, no! Już ci to wybaczymy, żeś tak rozpuścił stado... a kiej zaniósę skórę do Khankiwary, to ci nie pożałuję jednej rupji z mej nagrody.

Wygrzebał z za pazuchy krzesiwo i nachylił się, by osmalić wąsy Shere Khana. Osmalanie wąsów tygrysa jest częstym zwyczajem myśliwców indyjskich, którzy wierzą, że środek ten zabezpieczy ich przed widmem zabitego zwierzęcia.

— Hm! — mówił Mowgli jakby do siebie, odrywając skórę z przedniej łapy tygrysa. — Więc ty

chcesz zanieść skórę do Khankiwary, dostać za nią nagrodę i może raczysz dać mi z tego aż jedną rupję? A ja właśnie rozmyślam, że ta skóra przyda mi się do mego własnego użytku. Hej, mój stary, a weźno sobie stąd precz ten ogień!

— Jak śmiesz odzywać się w ten sposób do pierwszego myśliwca naszej wsi? Gdyby nie traf szczęśliwy i nie głupota twych bawołów, nigdybyś nie upolował tego zwierza. Musiało-ci tygrysisko nazreć się niedawno, boć inaczej byłoby już za siódmą górą i rzeką. Nawet nie umiesz porządnie obedrzeć go ze skóry, żebraku ostatni, a będziesz nauczał mnie, strzelca Buldeo, że mi nie wolno opalać wąsów tygrysa? Ej, Mowgli, zobaczysz, że nie dam ci ani jednej anny w nagrodę, a za to sprawię ci tęgie lanie! Puść tego trupa!

— Na byka, który mnie wykupił! — zaklął Mowgli, dobierając się do łopatek tygrysa. — Czyż mam mitrzyćć pół dnia na gawędzie z pierwszą lepszą starą małpą? Sam tu, Akelo! Ten człowiek mi dokucza!

W tejże chwili Buldeo, dotąd schylony nad głowę Shere Khana, padł jak długi na murawę i ujrzał szarego wilka, przytłaczającego mu pierś pazurami. Mowgli ani nie drgnął, tylko w dalszym ciągu opraciał swą zdobycz z takim spokojem, jakgdyby prócz niego w całych Indjach nie było żywej duszy.

— Te-ek! — wycedził przez zęby. — Masz zupełną słusność, Buldeo. Nie dasz mi ani anny, bo i sam nie dostaniesz ani jednej anny w nagrodę! Pomiędzy mną i tym kulawym tygrysem

zdawna toczyła się wojna... od dawnych, bardzo dawnych czasów... i ja w niej odniosłem zwycięstwo!

Trzeba oddać Buldeowi tę sprawiedliwość, że gdyby był o dziesięć lat młodszy, nie zawahałby się stanąć ze spotkanym wilkiem, choćby nawet z Akelą. Atoli wilk, uległy rozkazom tego chłopca, mającego osobiste porachunki ze zjadaczami ludzi — tygrysami — nie był chyba zwykłym zwierzęciem. Wszystkie te okoliczności poczytywał Buldeo za czary, za jakąś moc nieczystą, i rozmyślał nad tem, czy od złego uroku zdoła go uchronić wiszący na szyi amulet. Leżał więc struchlały, niby trusia, oczekując, rychło-li sam Mowgli zamieni się również w tygrysa.

— Maharadżo! wielki królu! — wyszeptał nakoniec z trwogą.

— Hę? — odmruknął Mowgli, nie odwracając głowy i śmiejąc się nieznacznie.

— Jestem stary niedołęga! Nie wiedziałem, że jesteś czemś więcej niż zwykłym pastuchem! Czy wolno mi będzie powstać i odejść, czy też twój sługa rozedrze mnie na strzępy?

— Odejdź w pokoju... ale na przyszłość wara ci do mej zwierzyny! Puść go, Akelo!

Buldeo pokuszył do wsi, co sił w nogach, oglądając się poza siebie, czy tam przypadkiem Mowgli nie przeobraził się w jakąś poczwarę. Dotarwszy do wsi, wyróżnął taką opowieść o czarach, zakłęciach i nieczystych sprawkach, że kapłan spo-chmurniał i zadumał się głęboko.

Mowgli pracował bez wytchnienia, ale już się robił zmierzch, gdy z pomocą wilków udało mu się наконец ściągnąć całkowicie z tygrysa jego wielką i piękną skórę.

— A teraz musimy ją schować i zagnać bawoły do wsi! Pomóż mi je pędzić, Akelo!

Stado zgromadziło się niebawem i ruszono naprzód w mglistej pomroce. Gdy zbliżyli się do wsi, Mowgli ujrzał światła pochodni i posłyszał głos trąb i dzwonów, dolatujący ze świątyni. Chyba z połowa wsi wyległa przed wrota, jakby czekając na jego przybycie.

— Aha! już wiedzą, że zabił Shere Khana! — pomyślał sobie Mowgli z dumą. W tejże jednak chwili świsnął mu koło uszu grad kamieni i rozległy się wrzaski wieśniaków:

— Czarownik! Wilkołak! Leśny djabeł... Wynocha, paralusie! Wynocha czemprowadź... bo nasz kapłan znów cie odmieni w wilka! Pal w niego, Buldeo! Pal!

Stary muszkiet wypalił z głośnym hukiem, a jeden z młodych bawołów zarzyczał boleśnie.

— Nowe czarnoksiężstwo! — poczęli wrzeszczeć wieśniacy. — On umie czarować kule! Przecież trafiłeś własnego bawołu, Buldeo!

— Cóż to wszystko oznacza? — zapytał Mowgli, zdumiony i przerażony, bo w tej chwili posypał się na niego gęstszy jeszcze grad pocisków.

— Ci twoi bracia coś mi przypominają naszą wilczą gromadę! — zauważył Akela, przysiadając przezornie na ziemi. — Tak mi się widzi, że te

kule są dla ciebie zapowiedzią, byś się stąd wynosił na cztery wiatry... Ludzie nie chcą cię uznać za swojego!

— Wilk! Wilk! Precz stąd, wilcze szczenię! — krzyczał kapłan, wymachując lodygą świętego ziela *tulsi*.

— Znów to samo! Poprzednim razem wygnano mnie za to, żeś był człowiekiem... a teraz za to, żeś jest wilkiem. Odejdźmy stąd, Akelo.

Z tłumu wypadła jakaś kobieta. Mowgli rozpoznał w niej Messuę. Biegła naprzelaj ku trzodzie, wołając:

— Mój synu, mój synu! Niech se ta oni gadają, żeś ty jest czarnoksiężnikiem, co to, kiej zechce, potrefi przemienić się w żwirze lub inszą poczwargę!... Ja temu nie uwierzę! Ni-i! Ale umykaj stąd corychlej, bo oni jeszcze mi cię zabiją. Buldeo baje wszystkim, że jesteś planetnik... ale ja wiem, żeś ty pomścił śmierć mojego Nathoo.

— Cofnij się, Mesuno! — rozwrzeszczał się tłum. — Cofnij się, jeżeli nie chcesz, byśmy cię ukamienowali!

Mowgli zaśmiał się spazmatycznie i złowrogo, gdyż w tej chwili jeden z kamyków ugodził go w usta.

— Cofnij się czempredzej, Messuo! Wszystko co ci o mnie opowiadano, to jedna z tych głupich bajek, jakimi oni zwykli zabawiać się pod figowcem o zmierzchu. Jak tam było, tak było, w każdym razie tygrys otrzymał z rąk moich zapłatę za życie twego syna. Bądź zdrowa!... a umykaj co

żywo, bo zaraz odeślę do wsi stado, które potrafi mknąć szybciej, niż odłamki cegieł, rzucające przez tych ludzi. Nie jestem planetnikiem, Messuo! Bądź zdrowa! Do widzenia! A teraz, Akelo, jeszcze raz pokaż co umiesz! Zaprowadź stado do wsi!

Bawoły i tak już miały wielką ochotę dostać się do wsi, przeto prawie nie czekały wycia Akeli, lecz ruszyły z kopyta i jak wichura przeleciały przez wrota, roztrącając tłum na wszystkie strony.

— Przeliczcie dobrze całą trzodę! — wołał Mowgli z przekąsem. — Może powiecie, że ukradł wam choć jedną sztukę! Przeliczcie dobrze, bo już nie będę u was służył za pastucha. Bywajcie zdrowi, ludzkie bachory, a podziękujcie Messui, że nie wypuścił przeciw wam moich wilków i że nie urządziłem na was oblawy w całej wiosce!

Obrócił się na pięcie i odszedł w towarzystwie Wilka-Samotnika. Gdy podniósł wzrok ku gwiazdom, poczuł w sercu błogość niezmierną.

— Nie będę już sypiał w pułapkach, Akelo! Zabierzmy skórę Shere Khana i idźmy, gdzie nas oczy poniosą. Nie uczynię nic złego mieszkańcom wioski, bo Messua była zawsze tak dobra dla mnie!

Gdy nad równiną wznosił się księżyc, zalewając wszystko mleczną poświatą, przerażeni wieśniacy ujrzeli widok niezwykły: Mowgli, niosąc na głowie jakieś zawiniątko i wiodąc za sobą dwa wilki, biegł naprzelaj niez mordowanym wilczym truchtem, który w sile swej i zaborczości nie ustępuje poźodze.

Wówczas poczęto głośniej, niż kiedykolwiek, bić w dzwony świątynne i trabić na trwozę. Messua labiedziła w niebogłoso, a Buldeo snuł barwną opowieść o swoich przygodach w dżungli, kończąc wzmianką o tem, jak to Akela stanął na tylnych łapach i przemówił doń głosem ludzkim.

Księżyc właśnie zachodził, gdy Mowgli wraz z dwoma wilkami przybył na wzgórze pod Skalę Narady. Koło jaskini Matki Wilczyca urządzili sobie postój.

— Matko! Ludzie wygnali mnie ze swej gromady — zawołał Mowgli, — ale ja dotrzymałem słowa i oto przychodzę ze skórą Shere Khana.

Matka Wilczyca, ledwie już powłócząc nogami, wyszła z jaskini w otoczeniu swych szczeniąt, a oczy jej zaiskrzyły się, gdy obaczyła skórę.

— Przepowiedziałam mu to jeszcze w owym dniu, gdy on tu wetknął łeb i łapska do naszej jaskini, dybiąc na życie twoje, Żabuniu!... Przepowiedziałam mu, że kiedyś zapolują i na myśliwca... Nosił wilk razy kilka, aż ponieśli... A raczej: Zagryzał tygrys, aż i jego ktoś wygryzł!... Dobrześ się spisał, synku!

— Dobrześ się spisał, Braciszku! — ozwał się basowy głos w gęstwinie. — Nam tu w dżungli było bardzo smutno bez ciebie!

Szust! — i Bagheera jednym skokiem znalazła się przy bosych nogach Mowgliego. Wdrapali się razem na Skalę Narady, a Mowgli rozpostarł skórę tygrysa na płaskim glazie, gdzie zwykł był siadywać Akela, i przytwierdził ją do ziemi czterema

żerdkami bambusowemi. Wówczas Akela położył się na niej wygodnie i zawył stare hasło wiecowe — nuta w nutę to samo, jakie słyszał Mowgli za pierwszą swą bytnością na tem miejscu.

— Przyjrzyjcie się... przyjrzyjcie się dobrze, o wilcy!

Od czasu, gdy Akele złożono z urzędu, Gromada Wilcza żyła bez wodza: każdy walczył i polował, gdzie i jak mu się żywnie podobało. Wszelakoż z samego nawyku obywatele Wilczej Gromady posłali odzew i stawili się na wiec. Nie brakło między niemi takich, co okuleli, dostawszy się w oklepce; inni mieli przestrzelone łapy, na niektórych wskutek złego odżywiania sparszywiała skóra... Dużo też ich poginęło w różnych okazjach... Ci jednak, którzy pozostali przy życiu, stawili się co do jednego na Skale Narady, by ujrzyć rozpostartą na głazie pręgą skórę Shere Khana i ogromne pazury zwisające z obwisłych, do cna wypatroszonych łap.

Wówczas to Mowgli skomponował nierymowaną pieśń, która niewiedzieć skąd przybiegła mu na usta — i począł śpiewać ją wgłos, skacząc i biegając po chrzęszczącej skórze i wybijając piętami hołubce, póki mu tchu w piersi stało. Szary Brat i Akela wtórzyli mu radosnem wyciem.

— Przyjrzyjcie się dobrze, o Wilcy! Wszak dotrzymałem słowa? — zagadnął Mowgli, skończywszy płąsy.

— Tak! tak! tak! — zaszczekały wilki, a jeden z nich, szkaradnie poskubany, jął skamleć:

— Przewódź znowu nad nami, Akelo! Przewódź nad nami, o Ludzkie Szczęściu!... Albowiem przejadła się nam już ta bezpańskość i bezprawie... i chcemy być Wolnem Plemieniem!

— O nie! — zamruczała Bagheera. — Niema tak dobrze! Gdy się nażrecie po same gardło, znów wam się będzie zachciewać różnych wilczych figli! Nie bez kozery przewano was Wolnem Plemieniem! Walczyliście o wolność... naści wam ją teraz... najedzcie się nią, o wilczaszkuwile mili!

— Wygnano mnie i z ludzkiej i z wilczej gromady — rzekł Mowgli. — Nie pozostaje mi nic innego, jak chodzić luzem na łowy w dżungli!

— O nie! My będziemy towarzyszyć ci w łowach! — oświadczyły cztery wilczęta.

Odszedł więc Mowgli i od owego dnia polował w puszczy samoczwart z wilczętami. Jednakże nie danem mu było żyć po wszystkie czasy w tem od-ludziu. W ileś-tam lat później został mężczyzną i ożenił się...

Ale to już bajka dla dorosłych.

PIEŚŃ, KTÓRĄ MOWGLI ODŚPIEWAŁ, TAŃ-
CZĄC NA SKALE NARADY, I DEPCĄC SKÓRĘ
ZDARTĄ Z SHERE KHANA.

Oto pieśń Mowgliego... ja, Mowgli, ją śpie-
wam. Niech dżungla słyszy o czynach, przeze mnie
zdziałanych.

Shere Khan powiedział, że zabije — że zabije!
U wrót, w półmroku, chciał zabić mnie, Mowgliego,
zwanego Żabą!

Obzał się i opił. Pijże na umór, Shere Khanie,
— bo kiedyż znowu pić będziesz? Uśnij — i śnij
o lowach.

Jestem sam na pastwisku! Chodźno do mnie,
Szary Bracie! Chodź do mnie, Wilku Samotny,
bo czekają nas wielkie lowy!

Sprowadźcie wielkie bawoły, sinawe buhaje-stad-
niki o złowrogich ślepiach. Gnajcie je tam i sam,
jak wam rozkażę.

Śpisz jeszcze, Shere Khanie? Zbudź-że się, zbudź!
Oto nadchodzę, a byki idą za mną.

Rama, Król Bawolów, wierzgnął nogą. Wody
Waingangi, kędyż poszedł Shere Khan?

Nie jest-ci on przecież jeżozwierzem Ikki, by
kopał jamy, ani pawiem Mao, by miał latać. On
— to nie Gacek Mang, by zwisał w płatowisku ga-
łęzi! Drobne łodygi bambusu, szeleszczące gro-
madnie, powiedzcież, dokąd on uciekł!

Au! Oto on! A-hu! On tu! Pod stopami Ramy
leży Tygrys-Kuternoga! Powstań, Shere Khanie!

Powstań i zabijaj! Oto żer! Ukręć karki bawo-
lom!

Psst! On śpi! Nie zbudzim go, bo nader wielka
jest siła jego. Zleciały się orliki, by się jej przy-
rzyć. Czarne mrówki nadciągnęły, ażeby ją po-
znać. Ku jego czci powstało wielkie zbiegowisko.
Olala! Nie mam szaty, którąbym się przyodział.
Orliki ujrzą, iżem jest nagi. Wstydzę się wyjść
naprzeciw całej tej rzeszy.

Pożycz mi swego futra, Shere Khanie. Pożycz
mi swej skóry w barwne prążki, bym mógł udać
się na skałę Narady.

Na Byka, który mnie wykupił! Uczyniłem obiet-
nicę — drobną obietnicę. Jedyne twej skóry mi
braknie, bym dotrzymał słowa.

Z nożem w ręce — z nożem, jakiego używają
ludzie — z nożem łowcy-człowieka — schylę się,
by dar mój podjąć.

Wody Waingungi, bądźcie mi świadkami, że
Shere Khan — z wielkiej miłości, jaką żywi dla
mnie — oddaje mi swą skórę. Ciągnij, Szary Bra-
cie! Ciągnij, Akelo! Ciężka jest skóra Shere Khana.

Zgraja ludzka jest gniewna. Rzuca kamieniami
i paple po dziecięcemu. Z ust moich krew ciecze.
Uciekamy precz!

Skroś nocy, skroś ciepłej nocy, chyżo biegnijcie
ze mną, bracia moi. Porzucimy światła wioski
i pójdziemy w stronę cichego księżyca.

O Wody Waingungi! Ludzka Zgraja odpędziła
mnie od siebie. Nie uczyniłem im nic złego, a prze-
cie oni mnie się boją. Czemu?

Zgrajo wilków, i tyś mnie od siebie odpędziła. Dżungla jest dla mnie zamknięta i zamknięte są bramy wioski. Czemu?

Jak Mang lata ni to między ptactwem ni to między zwierzętami, tak ja latam między wioską i puszczą. Czemu?

Tańczę na skórze Shere Khana, ale w sercu mi ciężko — och — ciężko. Usta mam pocięte i poranione kamieniami, rzuconemi z wioski, ale w sercu mi lekko, o lekko! — bom powrócił do dżungli. Czemu?

Dwie te rzeczy zwalczają się we mnie, jak węże walczą z sobą na wiosnę.

Woda wytryska z mych oczu — a przecie śmieję się, gdy ona ciecze. Czemu?

Jest we mnie dwóch Mowglic — ale skóra Shere Khana jest pod mojami stopami.

Cała dżungla wie, że to ja zabiłem Shere Khana. Patrzcie — przypatrzcie się dobrze, o Wiley!

Ohej! W sercu mi ciężą rzeczy, których nie rozumiem.

BIAŁA FOKA

O cichaj, dziecino! Już nocka na świecie!
Już czarne są wody, pełne srebrnych skier!...
Z nad fal patrzy księżyc, czy śpimy już przecie
Wśród nurtów, dzwoniących w tak rozkoszny szmer...
Na falach, na pianie, masz miękkie posłanie,
Więc, mały figlarzu, główkę na nich złóż!
Nie pożre cię raja, nie zbudzi burz zgraja,
Gdy zaśniesz w objęciach błogich, chwiejnych mórz!

Kołysanka fok.

Wszystko to zdarzyło się przed kilkunastu laty w miejscowości zwanej Siewierowostoczna — czyli Przylądek Północno-wschodni, — na wyspie Pawłowski Ostrów, hen daleko na morzu Beringa. Całą historję opowiedział mi mysikrólik Limerszyn, gdy przygnany wichurą zaplątał się w linach parowca idącego do Japonji; zabrałem go wówczas do kajuty i żywiłem przez kilka dni, póki nie stał się znów zdolny do odlotu na Pawłowski Ostrów. Limerszyn jest wielce osobliwą i małą ptaszyną, ale umie powiedzieć prawdę.

Do Siewierowostocznej nie przybywa nikt, jak tylko ten, kogo tam przywiodą jego zawodowe zajęcia; jedynem zaś plemieniem, które tam miewa stałe zajęcie, są foki. Nadpływają tam ich krocie

i krocie tysięcy z chłodnego i szarego morza — albowiem Siewierowostoczna ma wszelkie najdogodniejsze warunki dla fok z jakiegokolwiek części świata.

Wiedział o tem Morski Łowca — przeto z każdą wiosną porzuczał oną miejscowość, w jakiej się wówczas znajdował — pędem torpedowca mknął prosto ku Siewierowostocznej i przez cały miesiąc staczał z towarzyszami boje o wygodne legowisko na skałach jak najbliżej morza. Łowca Morski liczył sobie lat piętnaście; była to ogromna foka, o szarem futrze, które nad karkiem przechodziło niemal w grzywę, i długich kłach, złowrogich jak u psa. Gdy podniósł się w górę na przednich pletwach, mierzył przeszło cztery stopy wysokości, a jego waga (nie wiadomo tylko, czy kto był na tyle śmiały, by go zważyć) dosięgała siedmiuset funtów. Na całym ciele nosił blizny i ślady dzikich bójek, — mimo to każdej chwili gotów był stoczyć jeszcze jedną walkę. Miał zwyczaj odwracać w bok głowę, jakgdyby bał się spojrzeć w twarz nieprzyjacielowi, — ale w pewnej chwili wyrzucał przed siebie pysk, jak błyskawicę, a wówczas ogromne kły wpijały się mocno w szyję przeciwnika. Ten wszelkiemi sposobami starał się wyzwolić — ale Łowca Morski już nie pozwalał mu na to.

Wszelakoż Łowca Morski nie pastwił się nigdy nad pokonaną foką — to bowiem byłoby sprzeczne z Prawami Wybrzeża. Jemu chodziło zresztą tylko o miejsce nad morzem, gdzie chciał mieć pokój

dzieciny dla swych młodych; ale ponieważ każdej wiosny pojawiało się tam czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy fok, polujących na to samo, przeto całe wybrzeże rozbrzmiewało pogwizdywaniem, rykiem, wrzaskiem i parsaniem, mającem w sobie coś przerażającego.

Ktoby stanął na wzgórku, noszącym nazwę Hutchinson's Hill, miałby przed sobą dziwny widok: oto ląd w promieniu półczwartej mili roił się od walczących z sobą fok, a powierzchnia spienionego przyboju była usiana głowami fok, płynących ręczko ku brzegowi celem wzięcia udziału w walce. Walczyły na falach łamiących się o wybrzeże, walczyły na piaszczystej płaskoci, walczyły na wygładzonych wodą skałach bazaltowych, gdzie miały wychowywać swą dziatwę; wszędzie walczyły z sobą — bo były tak niemądre i niezgodne, jak ludzie.

Samice nie pojawiały się na wyspie wcześniej jak z końcem maja lub początkiem czerwca, bo nie chciały, by rozszarpano je na strzępy; zasię młodzież w wieku dwu, trzech i czterech lat, która jeszcze nie założyła gniazda rodzinnego, udawała się wgląd lądu, o jakie pół mili poza szrankami walczących i bawiła się w wielotysięcznych stadach wśród wydm piaszczystych, doszczętnie zacierając wszelki ślad zieloności, jaki tam się pojawił. Dawano im nazwę „chołostiaki“*) — nieżonaci — a w samej Siewierowostocznej było ich jakie dwa do trzech tysięcy.

*) Wyraz rosyjski oznaczający „kawalera“. Etymologicznie odpowiadać mu może polski wyraz „chlystek“.

Pewnej wiosny Łowca Morski właśnie ukończył czterdziestą piątą bójkę, gdy z morza wynurzyła się jego tłusta i gładka małżonka o łagodnem spojrzeniu, zwana Matką*). Pochwyił ją za kark i cisnął bez ceremonji na zastrzeżone dla siebie miejsce, odzywając się opryskliwie:

— Znowuś spóźniona! Gadaj, gdzieś była!

Łowca Morski nie jadał prawie nic przez cztery miesiące, w ciągu których czatował na wybrzeżu — przeto bywał wówczas zazwyczaj w nader złym humorze. Matka wiedziała o tem i ani nie myślała mu się odcinać. Rozejrzała się tylko wokół i zabezpieczała czule:

— Jakiś ty przemyślny! Znowu zdobyłeś nasze stare siedlisko!

— No, no! myślę, żem je zdobył! — odpowiedział Łowca Morski. — Ale przypatrz się, jak wyglądam!

Był podrapany okrutnie, a z kilkunastu ran sączyła się krew. Jedno oko miał podbite i zaciekle ropą, a skóra na bokach zdarta była na strzępy.

— Och, wy mężczyźni, mężczyźni! — zabiadoliła Matka, wachlując się tylną pletwą. — Czemuż to nie okazecie większej delikatności i nie zajmiecie spokojnie swego miejsca? Wyglądasz, jak gdybyś stoczył walkę z kaszelotem.

— Od polowy maja nic innego nie robiłem, tylko staczałem walki. W sezonie obecnym okropny tłok na naszej plaży. Widziałem tu conajmniej sto fok z Wybrzeża Lukannonu, dobijających się

*) Po rosyjsku tyle co „samica“.

o kwaterę. Czemuż to ta gawiedz tu się pcha, zamiast pozostać w należnym sobie rejonie?

— Nieraz przychodziło mi do głowy, że o wiele przyjemniej byłoby nam na Wyspie Wydrzej, niż tutaj, w takiej ciżbie — zauważyła Matka.

— Co znowu! — oparł się małżonek. — Na Wyspę Wydrzą zajeżdżają same tylko „chołostiaci“. Gdybyśmy tam się udali, powiedzianoby, że boimy się walki. Musimy dbać o nasz prestiż, moja droga!

To rzekłszy, Łowca Morski wtulił z dumą łeb w mięsiste barki i przez kilka minut udawał, że śpi; jednakże przez cały ten czas spoglądał bystro z pod oka, czy nie zanosi się znów na jakąś walkę.

Już wszystkie foki — samce i samice — znajdowały się na lądzie, a ich zgiełk, mocen zagłuszyć najsilniejszą wicherę, rozlegał się na wiele mil wokoło. Lekko rachując, na wybrzeżu tem przebywało koło miliona fok — ojców, matek, małych focząt i „chołostiaków“. Wszystko to staczało bójki, przewracało się, pobekiwało, czolgało się po brzegu lub zabawiało się wesoło, — to nurkując w głębinie, to wypływając całem stadami i pulkami na powierzchnię wody, zalegając — jak okiem sięgnąć — każdą piędź ziemi i szamocąc się rojnie za osłoną mgły. Bo w Siewierowostocznej mgła jest zjawiskiem niemal codziennem: czasami tylko — na krótką chwilę — pojawia się tam słońce, rozrzucając blask perłowy i siejąc wokoło wszystkimi kolorami tęczy.

Wśród takiego rozgardjaszu urodził się synek Matki-foki, zwany Kotik*) (foczątko). Miał on taki sam lebek i grzbiet, także blade, modrawe ślepie, jakie widuje się u innych focząt, ale jego futerko było takie osobliwe, że matka poczęła bacznie mu się przypatrywać.

— Łowco Morski — odezwała się wkońcu, — coś mi się widzi, że nasz dzidzius będzie biały!

— Do stu tysięcy pustych muszli i zwiędłych wodorostów! — warknął Łowca Morski. — Jak świat światem, nie było na nim jeszcze białej foki! Toby dopiero była rzecz osobliwa!

— Nic na to nie poradzę! — odpowiedziała matka, — taka rzecz osobliwa zdarzyła się właśnie u nas!

I poczęła nucić półgłosem monotonną piosenkę foczą, jaką wszystkie focze mamusie nuca swoim niemowlętom:

Póki, dziecię, w twem życiu sześć tygodni nie przejdzie,
Nie wypływaj na morze, ale pluskaj się w rejdzie,
Bo się głową zanurzysz ku piętom —
A wichury zlej przelot oraz srogi Kaszelot
Mogą krzywdę wyrządzić foczętom!

Mogą krzywdę wyrządzić, zanim zdołasz osądzić,
Jakie лихо je tutaj przyniosło! —
Ale rośnij, kochanie, a nic ci się nie stanie,
Kiedy będziesz już Foką Dorosłą!

Ma się rozumieć, że mały smyk początkowo nie rozumiał znaczenia tych słów. Pluskał się i rączkował niefrasobliwie przy boku swej matki, umie-

*) Rosyjska nazwa młodej foki.

jąc zawsze w porę dać drapaką, ilekroć ojciec jego wdał się w bijatykę z którymś z sąsiadów i gdy obaj przeciwnicy wśród strasznego ryku tarzali się po oślizgłych skałach. Matka sama czyniła wyprawy na morze celem zdobycia żywności, więc bywało, że malec ledwie raz na dwa dni dostał coś do jedzenia; nie też dziwnego, że zawsze z wielkim apetytem rzucał się na jadło i nigdy w niem nie wybredzał.

Pierwszą rzeczą, jaką czynił dnia każdego, było czolganie się wgląd lądu. Spotykał tam dziesiątki tysięcy rówieśników, młodych foczątek, które figlowały jak małe psiaki, wysypiały się na czystym piasku i znów brały się do figli. Stare focjusze, rezydujące na skałach, nie zwracały na swą działość najmniejszej uwagi, a „chołostaki“ miały własne boiska, przeto malcerja zabawiała się w najlepsze, jak jej się żywnie podobało.

Matka, wracając z wyprawy rybołówczej, udawała się zawsze wprost na to miejsce zabaw i pobekując, niby owca nawołująca jagniątko, czekała odzewu Kotika. Usłyszawszy głos swego dziecięcia, śpieszyła prościutko w jego kierunku, rozmiatając czterema pletwami na prawo i lewo i przewracając nawznak malców zastępujących jej drogę. Że zaś kilkaset matek w podobny sposób szukało swych dzieci, więc też panował ustawiczny ruch i rwetes pomiędzy malcerją. Atoli Matka zwykła mawiać Kotikowi:

— Póki nie będziesz wylegiwał się w brudnej wodzie i nie dostaniesz wrzodów, póki nie zagnoisz

sobie rany szorstkim żwirem, i póki nie przyjdzie ci chętka pływać po wzburzonym morzu, — póty nie spotka cię tutaj nic złego!

Małe foki pływają nielepiej od małych dzieci, to też mają wiele zgryzoty i utrapień, zanim się nauczą sztuki pływackiej. Gdy Kotik po raz pierwszy wybrał się na morze, wielka fala poniosła go na zbyt wielką głębieć — i stało się tak, jak mu śpiewała matka: drobne pletwy tylnych odnóży poszły w górę, a ciężka łebina, która je przeżyła, znikła całkowicie pod wodą. Biedak utonąłby napewno, gdyby następna fala nie odniosła go zpowrotem na płyciznę.

Potem już nauczył się leżeć w zasiątku przybrzeżnym, gdzie wiosłował przednimi pletwami, dając się unosić i obryzgiwać spienionym wodnym podpluskom, ale stale przytem zwracając baczne oko na olbrzymie bałwany, mogące nabawić go poważnych przykrości. W przeciągu dwóch tygodni nauczył się władać pletwami, ale kosztowało go to trudów niemało: — przez cały ten czas wciąż tylko rzucał się jak opętany po wodzie, poczem, krztusząc się i sapiąc, gramolił się z trudem na brzeg, ucinał sobie krótką drzemkę i znów wracał na wodę, by ponowić całe ćwiczenie raz jeszcze. Na koniec wszakże dopiął celu — i miał tę pewność, że już sobie naprawdę umie radzić z wodnym żywiołem.

Można sobie wyobrazić, jakie rozkoszne czasy miał odtąd Kotik i jego rówieśnicy — jak nurkowali pod kabłąkami toczenia — jak wdzierali się

na grzbiety wielkich bałwanów, pędzących z szumem i pluskiem ku wybrzeżu, i wraz z kłębami zwichrzonej piany osiadali na zalanym strądzie, — jak wzbijali się w górę na tylnych pletwach i skrobali się w głowy, naśladując w tem dorosłych, — jak wreszcie zabawiali się w chowanego na śliskich, morskiem webłem obrosłych skałach, które ledwo że wystawały nad rozbryzgami pianistej kipieli. Od czasu do czasu widać było cienką pletwę, podobną do pletwy wielkiego rekina, płynącą nieopodal w kierunku wybrzeża. Kotik wiedział, że był to Kaszelot, wieloryb-rozbójnik, pożerający młode foczeta, które nawiną mu się pod paszczę, — przeto pędził jak strzała ku wybrzeżu, zaś groźna pletwa oddalała się zwolna w niemrawych podrygach, jakgdyby nigdy nic nie zaszło.

Z końcem października foki zaczęły całemi rodzinami i gromadami opuszczać Pawłowski Ostrów, zapuszczając się na morskie głębiny. Nie staczano już zajadłych walk o siedliska, a „chołostiaki“ hawily się wszędzie, gdzie im się tylko podobало.

— W przyszłym roku — zapowiedziała Matka Kotikowi — i ty będziesz „chołostiakiem“; w tym roku wszakże musisz się nauczyć, jak należy łowić ryby.

Wyprawili się razem na Ocean Spokojny, a Matka pokazywała Kotikowi, jak można spać nawznak na wodzie, podwinąwszy pletwy pod siebie i wytknąwszy sam koniuszek nosa nad wodę. Żaden hamak, huśtawka ani kolyska nie są tak przy-

jemne, jak powolne bujanie się na rozchwiejach Oceanu Spokojnego. Gdy Kotik poczuł, iż cierpnie na nim skóra, Matka wyjaśniła mu, że teraz będzie miał sposobność nauczyć się „wyczuwania wody“: owo swędzenie i ciarki, przechodzące po skórze, to nic innego jak oznaka nadciągającej burzy, przeto należy płynąć co sił, by uniknąć niebezpieczeństwa.

— Wkrótce — powiadała — będziesz wiedział również i to, dokąd masz płynąć. Teraz jednak będziemy płynąć w ślad delfina-Morswina, bo to stworzenie wielce mądre!

Właśnie cała szkółka młodych morswinów odbywała lekcję gimnastyki, pomykając w podskokach po wodzie, niby „kaczki“ puszczane przez swawolnych chłopców. Kotik puścił się w dyrdy za nimi, jak potrafił. Z trudem je dogoniwszy, spytał zasapanym głosem:

— Jakim sposobem wy zawsze wiecie, dokąd płynąć?

Kierownik szkółki lypnął białkami oczu i dał nura w wodę:

— Swędzi mnie ogon, mój zączku! — odpowiedział. — To znak niewątpliwy, że nadciąga burza. Trzeba zmykać! Gdy znajdziesz się na południe od Kleistej Wody — (miał na myśli równik) — i zaswędzi cię w ogonie, będzie to znakiem, że burza jest przed tobą i że musisz walić na północ. Dalej w drogę! Woda tu jakaś przykra!

Była to jedna z wielu rzeczy, jakich się Kotik nauczył — a uczył się wciąż. Matka udzieliła mu wskazówek, jak uganiać za dorszem i płastugą koło

rew podwodnych lub wyrwać świdraka-skałotocza z jamy pomiędzy wodorostami; jak przepływać koło szczątków okrętów spoczywających w głębi stu sążni pod wodą i przemykać się w pogoni za rybą przez okna kajut szybko i zwinnie niby kulka karabinowa; jak płasnąć po grzywach fal, gdy niebo przeryniają migoty błyskawic, i jak oddawać grzeczny ukłon pletwą kusoogoniastemu albatrosowi i orlikowi morskemu, gdy leci niesiony wiatrem; jak wyskakiwać, na wzór delfina, na cztery stopy ponad wodę, podwinąwszy pletwy i ogon. Dowiedział się ponadto, że ryby latające należy zostawiać w spokoju, gdyż są zbyt ościste; że warto w pełnym pędzie dać nura na dziesięć sążni pod wodę, by wyrwać dorszowi płat mięsa z grzbietu; że nie należy przystawać ani gapić się, gdy w pobliżu przepływa statek lub, cogorsza, łódź pędzona wiosłami. Z końcem szóstego miesiąca Kotik już poznał wszystko, co godne było poznania w zakresie rybołówstwa. Przez cały ten czas ani razu nie stanął opletwioną łapą na suchym lądzie.

Atoli pewnego dnia, gdy w półsennem rozmarzeniu spoczywał na ciepłej toni, kędyś koło wyspy Juan Fernandez, poczuł jakąś rozlazłość i ociężałość, podobną tej, która obezwładnia ludziom nogi na wiosnę, — i naraz przypomniał sobie miłe skaliste wybrzeża Siewierowostocznej, odległej o siedem tysięcy mil morskich, zabawę z towarzyszami, zapach morskiej kidzeny*). wrzaski fok i staczane

*) Porosty, zalegające powierzchnię morza; to mniej więcej co „webło“.

boje. W mgnieniu oka skierował się na północ — i płynął, płynął, płynął bez wytchnienia w ową stronę. Po drodze spotkał całe dziesiątki swych rówieśników, którzy witali go pozdrowieniami:

— Czołem, Kotiku! W tym roku już wszyscy jesteście „chołostiakami“, więc wolno nam będzie tańczyć pług ognisty na falach Lukannonu i bawić się na świeżej trawie. Ale skądże to wzięłeś takie futerko?

Futro miał Kotik obecnie niemal mlecznobiałe; jakkolwiek był z tego wielce dumny, jednakże odparł wymijająco:

— Płynmy żwawo! Moje kości już stęskniły się za lądem.

Dopłynęli przeto wszyscy ku brzegom ojczystym — i posłyszeli odgłosy walki. To ich ojcowie, stare focjony, charatały się znów z sobą wśród tumanów mgły. Wszystko tak jak było!...

W ową noc Kotik wraz z innemi roczniakami odtańczył taniec ognisty. W letnie noce cała przestrzeń morza od Siewierowostocznej aż do Lukannonu jarzy się ognistą posiewą; każda foka, gdy płyńie, wybróždza za sobą szlak podobny do smugi płonącej oliwy, gdy zaś wyskoczy z wody, to jakby strzeliła nagle błyskawica — a fale łamią się w fosforyzujące pasma i skręty.

Następnie wszystkie roczniaki ruszyły gromadnie na obszary należące do „chołostiaków“. Tam tańczyły się i przewracały po świeżo wzrosłej runi — opowiadając niestworzone dziwy o tem, co porabiały w czasie swego pobytu na pełnem morzu.

O Spokojnym Oceanie mówiły tak jak chłopcy opowiadają o lesie, do którego chodzili na orzechy; gdyby ktoś podsłuchał i zrozumiał te focze gawędy, napewnoby na ich podstawie wyrysował sobie taką mapę oceanu, jakiej jeszcze świat nie widział. Trzyletnie i czteroletnie „cholostiaki“, które na wyścigi zbiegały ze wzgórza Hutchinsona, jęły wykrzykiwać:

— Z drogi, młokosy! Głębokie jest morze, a wyście jeszcze nie poznali wszystkich jego głębin! Czekajcie, aż uda się wam okrążyć Cape Horn. Hej, roczniaku, a komuś to ukradł taką białą szubę?

— Nie ukradłem — odpowiedział Kotik; — sama wyrosła!

Właśnie gdy zamierzał położyć na obie łopatki złośliwego wykpisza, nagle z poza wydmy piaszczystej wyszli dwaj ludzie o czarnych włosach i płaskich czerwonych twarzach. Kotik, który nigdy wpierw nie widział człowieka, chrząknął i pochylił głowę. Reszta „cholostiaków“ cofnęła się o kilka sążni i przycupnęła do ziemi, gapiąc się głupowato.

Owi dwaj ludzie byli to ni mniej ni więcej, tylko Kiryła Buterin, herszt poławiaczy fok na wyspie, oraz jego syn Pantelejmon. Przybyli tu z małej wioszczyny, odległej niespełna o pół mili od foczych pieleszy — i właśnie wypatrywali, które foki należałoby zapędzić do rzeźni (zwierzęta te dają się tam pędzić niby barany), by porobić futrzane kaptany z ich skóry.

— Wej! — odezwał się Pantelejmon. — Dyc to biały zelint!*)

Kiryła Buterin aż zbieiał na całej twarzy, mimo że była tego usmarowana tranem i sadzą — był on bowiem z pochodzenia Aleutem, a Aleutowie myją się najwyżej raz do roku. Zamruczał jakiś pacierz pod nosem, poczem ozwał się do syna:

— Nie ruszaj go, Pantelejmonie. Nigdy jeszcze nie było białej foki... odkąd... odkąd żyję na świecie. Może to widmo starego Zacharowa, który zginął rok temu podczas wielkiej nawałnicy!

— Nie podchodzę nawet ku niemu — odpowiedział Pantelejmon. — Gotowa nam ta bestja przynieść nieszczęście. Ociec, a czy wy naprawdę myślicie, że to stary Zacharow w takiej postaci pokutuje po świecie? A dyc ja mu tam jestem cosik winien za jajka mewie...

— Nie patrz na niego! — burknął Kiryła. — Zagarnij tę gromadę czterolatków. Dzisiaj ludziska powinnyby oporządzić dwieście sztuk, ale to dopiero początek sezonu i jeszcze się nie wciągnęli do roboty... więc setka narazie wystarczy. Zwiąjaj się zwawo!

Pantelejmon, stanąwszy przed sporą gromadą „chołostiaków“, zachrzęcił kołatką z dwóch fochyich kości łopatkowych. Zwierzęta zatrzymały się w miejscu jak wryte, sapiąc i parskając. Przystał ku nim bliżej; foki ruszyły z miejsca, dając się Kiryłu Buterinowi pędzić wgląd lądu i nawet nie próbując wracać ku towarzyszom. Setki, setki

*) Zelint — nazwa foki u naszego ludu nadmorskiego.

tysięcy fok przyglądały się temu pochodowi, jednakże nie myślały bynajmniej przerywać sobie zabawy. Jedynie Kotik zadawał wszystkim natarczywe pytania, coby to wszystko znaczyć miało; jednakże żaden z jego towarzyszy nie umiał mu na to dać odpowiedzi, jak tylko, że ludzie mają zwyczaj co rok przez sześć tygodni albo i dwa miesiące uprowadzać z sobą w podobny sposób młode foki.

— Pójdę za nimi! — powiedział sobie Kotik i potoczył się wślad za odchodzącym stadem, a oczy omal że mu na wierzch wylazły z ciekawości.

— Rety! Biały zelint idzie za nami! — wrzasnął Pantelejmon. — Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby foka szła samopas do ślachtuza!

— Cicho! Nie obzieraj się poza siebie! — strofował go Kiryła. — Teraz już widzę, że to naprawdę widmo Zacharowa! Pójdę do popa i opowiem mu o wszystkim!

Do rzeźni było ledwie pół mili, jednakże przebycie tej odległości zajęło godzinę czasu, ponieważ Kiryła wiedział, że jeżeli foki idą za prędko, mogą się zgrzać, a wówczas skóra przy ściąganiu drze się w kawały. Posuwali się więc bardzo powoli, mijając Przesmyk Lwów Morskich, Warsztat Tkacki i Solarnię, aż zniknęli z oczu fokom rojącym się na płaskoci. Kotik szedł wciąż za tym orszakiem, sapiąc i dziwując się wielce wszystkiemu. Myślał już sobie, że zaszedł na sam kraniec ziemi; wyprowadziła go jednak z błędu wrzawa siedlisk foczych, rozbrzmiewająca poza nim głośno

niby huk pociągu przelatującego przez czeluść tunelu.

W pewnej chwili Kiryła zatrzymał się, usiadł na mchu, wyciągnął z kieszeni ciężki niklowy zegarek i dał zziajanym fokom trzydziestominutowy wypoczynek, by ochłonęły z trudów podróży. Kotik przyglądał mu się — i słyszał krople lekkiego dżdżu mżące po daszku kaszkieta. Naraz pojawiło się dziesięciu czy dwunastu ludzi, uzbrojonych w żelazem okute pałki, długie przeszło na trzy stopy. Kiryła wskazał im kilka fok, które nosiły ślady pokasań albo zanadto się zgrzały; owi ludzie odtrącili je na bok, kopiąc je ciężkimi buciarami, sporządzonemi ze skóry morsa. Wówczas Kiryła zawołał:

— Do roboty!

Na to hasło ludzie poczęli tłuc foki pałkami po głowach, — waląc ile weszło. W dziesięć minut później mały Kotik już nie mógł rozpoznać żadnego ze swych kamratów: — pozostały z nich jeno skóry, zdarte od nozdrzy aż po pletwy tylnych odnóży i zwalone w bezładnym stosie na ziemi.

Kotik uznał, że nie ma na co czekać dłużej. Wykonał wtył zwrot i puścił się cwałem ku morzu (foki potrafią w razie potrzeby biec bardzo szybko, ale tylko przez czas krótki) — a krótkie, świeżej daty jeszcze wąsiki jeżyły mu się od trwogi. Dotarłszy do Lwiomorskiego Przesmyku, gdzie morskie lwy siadają rzędem nad krawędzią wodnego przyboju, odbił się pletwami i dał susa w chłodną wodę, a kołysząc się na falach wzdychał boleściwie.

— Cóż tam takiego? — fuknął na niego szorstko jeden z lwów morskich; albowiem lwy morskie mają ten zwyczaj, że trzymają się zdala od innych foczych gatunków.

— *Ach, skuczno! oczeń skuczno!* (smutno mi, bardzo smutno!) — odpowiedział Kotik. — Mordują *wszystkie* „chołostiaki“ na *wszystkich* wybrzeżach!

Lew morski odwrócił głowę w stronę wybrzeża.

— E, bzdury! — ryknął. — Twoi koledzy hałasują jak zwykle. Pewno widziałeś starego Kirylę, jak obrządza stadko focząt. Hej, on to już robi cięgiem od trzydziestu lat!

— To straszne! — zawołał Kotik, stawiając opór zagarniającej go ogromnej fali i utrzymując równowagę wirowym obrotem pletw, który pozwolił mu się zatrzymać o trzy cale od wyszczerzonej krawędzi skalnej.

— No, no! nieźle, jak na roczniaka! — odezwał się lew morski, który umiał ocenić zręczność pływaka. — Mam wrażenie, że ta cała historia istotnie z waszego punktu widzenia jest paskudna... ale jeżeli wy, foki, przybywacie tutaj z każdym rokiem, to niema co się dziwić, że ludzie łatwo się o tem dowiadują. Jeżeli więc nie znajdziecie wyspy, gdzie ludzie nigdy nie docierają, to zawsze będą was tak ganiali.

— A czy jest gdzie taka wyspa? — zapytał Kotik.

— Już od lat dwudziestu poławiam plastugi w różnych stronach, ale doprawdy, takiej wyspy

jeszczem nigdzie nie napotkał. Ale powiem ci coś... bo widzę, że lubisz rozmawiać z mądrzejszymi od ciebie. Idźno na wyspę Morsów i pogadaj z Koniem Morskim. Może od niego czegoś się dowiesz. Tylko nie szastaj się w drodze tak, jak w tej chwili. Owa wyspa jest stąd odległa o dobre sześć mil, więc gdybym był tobą, tobym się najpierw wyciągnął i uciał małą drzemkę.

— Niezła rada! — pomyślał Kotik. Popłynął z powrotem ku swojemu wybrzeżu, wyciągnął się i spał przez pół godziny, drgając przytem na całym ciele, jak to zwykły czynić foki. Zbudziwszy się, popłynął prosto ku wyspie Morsów. Był to mały, ledwie nad wodę wzniesiony spłacheć skalistego lądu, niemal dokładnie na północo-wschód od Siewierowostocznej. Na jego skalnych krawędziach miały mewy swe gniazda, a konie morskie samotne łogowiska.

Zatrzymawszy się tu, Kotik wylądował tuż obok starego Konia Morskiego. Było to wielkie, potworne morsisko, z gatunku, jaki spotkać można na północnym obszarze Oceanu Spokojnego, — opuchłe, pryszczate, o długich kłach, grubej szyi i jeszcze grubszych obyczajach; albowiem mors tego gatunku nigdy nie zachowuje się grzecznie i przyzwoicie — chyba, że śpi. A właśnie spał, zanurzywszy pletwy do połowy w pianie morskiego przypływu.

— Wstałbyś, wstał! — zaszczekał Kotik potężnym głosem, starając się zagłuszyć wrzask mew na pobrzeżu.

— Hu-hu! ho-o-o! Co się stało? — ziewnął Koń Morski i wymierzył leżącemu obok morsowi potężny cios zębami, budząc go z drzemki. Ten podobnie trzepnął najbliższego sąsiada, ten zaś znów następnego — i tak dalej — aż nakoniec zbudziły się wszystkie, wytrzeszczające oczy na wszystkie strony, tylko nie we właściwym kierunku.

— Hop! hop! To ja! — zawołał Kotik, kołysząc się na spienionym przyboju, wśród którego wyglądał niby mały biały ślimaczek.

— No! no! Niechże mnie obedną ze skóry! — zaklął Koń Morski i cała gromada spojrziała na Kotika takim wzrokiem, jakim, dajmy na to, grono ospałych, zramolałych jegomościów przyglądałoby się małemu urwiszowi.

Kotikowi nie w smak poszła wzmianka o obdzieraniu ze skóry, bo dość się napatrzył tej przyjemności przed niedawnym czasem; przeto zagadnął bez żadnych wstępów:

— Czy nie znalazłoby się dla fok takie miejsce, gdzieby nie było ludzi?

— Idź, poszukaj go sobie; — odpowiedział Koń Morski, zamykając oczy. — Wynoś się na cztery wiatry! Mamy tu pilniejsze sprawy!

Kotik dał susa w górę, niby delfin i wrzasnął na całe gardło:

— Ślimakożerca! Ślimakojad!

Wiedział, że Koń Morski, choć miał pozory wielce groźnego stworzenia, nie schwytał w życiu ani jednej rybki, tylko zawsze gmerał w błocie, wybierając z niego mięczaki i wodorosty.

Krzyk ten — ma się rozumieć — natychmiast podchwyciły czajki, „guzotriaski“ (pliszki), kurki wodne, rybitwy, mewy-śmieszki i nurki, które nigdy nie omieszkają sposobności, by komuś dokuczyć. Przez pięć minut — jak opowiadał mi limerszyn — panował nad Wyspą Morsów taki hałas, że gdyby ktoś strzelił z armaty, nie usłyszanoby huk. Wszystko, co żyło na wyspie, krzyczało i wrzeszczało w niebogłoso:

— Ślimakożerca! Ślimakojad! *Starik!* (działyga)! *Starik!*

A Koń Morski przewracał się z boku na bok, warcząc i pochrząkując.

— No, a teraz odpowiesz? — zapytał Kotik, ledwie już mogąc głós z siebie wydobyć:

— Idź, zapytaj o to Morską Krowę — odpowiedział Koń Morski. — O ile stara jeszcze żyje, to powie ci napewno.

— A jakże rozpoznam tę Krowę Morską? — zapytał Kotik, wycofując się nieznacznie.

— Jest to jedyna na całym morzu istota brzydsza niż Koń Morski — wrzasnęła któraś mewa-śmieszka, fikając koziolki przed samym nosem Konia Morskiego. — Jedyna istota brzydsza i gorzej wychowana! *Starik! Starik!*

Kotik pozostawił za sobą rozwrzeszczane mewy i odплыł z powrotem do Siewierowostocznej. Tu jakby od niechcienia jał wysuwać myśl o wyszukaniu spokojniejszego siedliska dla foczego plemienia — niebawem jednak przekonał się, że myśl ta w nikim nie obudziła żywszego oddźwięku

i uznania. Odpowiadano mu, że odkąd świat światem, ludzie zawsze zabierali pewną liczbę „cholo-stiaków“ — co niejako wchodziło w program ich zajęć codziennych — i że jeżeli nie podobają mu się te okropności, nie powinien był łączyć w stronę rzeźni. Atoli żadna z fok, prócz Kotika, nigdy w życiu nie widziała owej rzeźni... i to właśnie różniło go od reszty druhów. Wyróżniał się jeszcze czemś więcej: był foką białą.

— Dalbyś temu spokój! — ozwał się stary Łowca Morski, posłyszawszy o przygodach syna. — Nie myśl o niczem, tylko wyrośnij na dużego zelinta, jak twój ojciec, i załóż siedlisko rodzinne na wybrzeżu, a wtedy oni cię zostawią w spokoju! Za jakie pięć lat będziesz już umiał walczyć we własnej sprawie.

Nawet łagodna Matka tak upominała synka:

— Idź bawić się na morzu, Kotiku! Choćbyś niewiem co robił, nie potrafisz zapobiec tej rzezi!

Odszedł więc Kotik i tańczył płas ognisty — ale w małym serduszku było mu ciężko, — o, ciężko!

Jesienią jeden z pierwszych opuścił wybrzeże i puścił się samopas w drogę, wiedziony pomysłem, który zrodził się w jego krągłej łepetynie. Postanowił odnaleźć ową Krowę Morską (jeżeli prawdą jest, że stworzenie takie istnieje) — i wyszukać jakąś spokojną wyspę o mocnych brzegach, gdzie foki mogłyby żyć bezpiecznie, nie napastowane przez ludzi. Przedsiębrał przeto na własną rękę jedną wyprawę po drugiej, to na północ, to na południe, przetrząsając rozległe bezmiary Oceanu

Spokojnego; bywało, że przebywał po trzysta mil na dobę. Przygód miał tyle, że trudnoby je spisać na foczej skórze. Cudem uszedł przed żarłaczem rekinem, przed centkowaną rają i kuszą-młotem; spotkał mnóstwo podejrzanych łotrzyków, włóczących się po wszystkich morzach, jak niemniej i wiele poważnych, nader grzecznych ryb oraz nakrapianych purpurowo małży-przegrzebków, które wiekami siedzą w jednym miejscu i są z tego wielce dumne. Nigdzie jednak nie spotkał Krowy Morskiej ani też nie odnalazł wymarzonej wyspy.

Jeżeli udało mu się wyszukać brzeg wygodny do lądowania i mocny, z płaskością nadającą się wybornie do foczych harców, zawsze na widnokręgu pojawiał się dym statku wielorybniczego, zalatujący tranem — a Kotik wiedział, czem ponadto pachnie rzecz taka. Na innych znów wyspach widywał ślady, świadczące, że niegdyś tu mieszkaly foki, ale zostały wytępione przez ludzi — a Kotik wiedział, że gdzie raz pojawili się ludzie, tam napewno pojawią się i po raz drugi.

Nakoniec zetknął się ze starym kusoogoniastym albatrosem, który naopowiadał mu o wyspie Kerguelen jako istnym raju sielskiej ciszy i bezpieczeństwa. Kotik popłynął tam niezwłocznie, ale gdy dobijał do celu, porwała go ciężka gradowa burza, pełna grzmotów i błyskawic, i o mało co nie roztrzaskała nieboraka o czarne rafy podwodne. Kiedy jednak dzięki wytrwałemu wiosłowaniu pletwami wyszedł cało z zawieruchy, przekonał się, że i tutaj kiedyś foki miały swe siedlisko.

To samo było na wszystkich wyspach, jakie odwiedził. Limerszyn wyliczył mi ich conajmniej kopę; od niego też wiem, że Kotik spędził pięć lat na poszukiwaniach, jedynie przez cztery miesiące co roku wypoczywając w Siewierowostocznej, gdzie „chołostiaki“ nieraz tego pokpiwały z niego i z jego wysp urojonych.

W czasie swych wędrówek dotarł aż pod równik, na skwarne Wyspy Żółwie, gdzie omal nie usmażył się żywcem; zawadził o Wyspy Georgji, był na Południowych Orkadach, na Wyspie Szmaragdowej, Wysepce Słowiczej, Wyspie Gough'a, Wyspie Bouveta, na Wyspach Crosset, a nawet na maluchnym skrawku wysepki na południe od Przylądka Dobrej Nadziei. Atoli wszędzie i wszędzie plemiona morskie dawały mu tę samą odpowiedź. Na wszystkich tych wyspach kiedyś mieszkaly foki, ale ludzie wytępilli je doszczętnie. Nawet gdy oddalił się o tysiące mil od Oceanu Spokojnego i dostał się do miejscowości zwanej Cape Corrientes (wracając z Wyspy Gougha), a znalazł tu kilkaset sparszywiałych fok, siedzących na skale, które opowiedziały mu, że i tutaj pojawiają się ludzie.

Kotikowi serce się krajało, gdy słyszał to wszystko. Oplłynął Cape Horn i skierował się na północ ku rodzinnym wybrzeżom; po drodze wylądował na jakiejś wyspie pełnej drzew zielonych i zastał tam starą, bardzo starą, zdychającą już fokę. Kotik nalapał dla niej ryb i zwierzył się jej ze wszystkich swych strapień, dodając na końcu:

— A teraz wracam do Siewierowostoczej i wszystko mi jedno, czy mnie tam wraz z innymi „chołostiakami“ zapędzą do rzeźni.

A stara foka odpowiedziała:

— Spróbuj raz jeszcze. Jestem ostatnim nie-dobitkiem wytępionej Kolonji Foczej z Masafuery. Onego czasu, gdy ludzie mordowali nas setkami tysięcy, krążyła po wybrzeżu legenda, że po latach nadpłynie z północy biała foka i zaprowadzi lud foczy do miejsca wiecznej beztroski. Jestem już stara i nie dożyję już tego dnia... ale niechże choć inne foki tego dożyją! Spróbuj raz jeszcze.

Kotik pokręcił sutego wąsa i odpowiedział:

— Jestem jedyną białą foką, jaka kiedykolwiek wylęła się na brzegach morza... i też jedyną foką (mniejsza o barwę), która pomyślała o szukaniu nowych siedzib.

Świadomość ta uradowała go niezmiernie. Tego lata, gdy wrócił do Siewierowostoczej, Matka poczęła go namawiać, by się ożenił i osiadł na jednym miejscu, jako że już przestał być „chołostakiem“ i przedzierzgnął się w dorosłego łowcę morskiego z białą kędzierzawą grzywą na karku — dorównującego ojcu wagą, wzrostem i drapieżnością.

— Dajcie mi jeszcze rok czasu! — dopraszał się Kotik. — Przypomnij sobie, mateczko, że dopiero siódma fala wdziera się daleko w głąb łądu!

Dziwny traf zrządził, że znalazła się i taka fokasamiczka, która miała ochotę odłożyć do następnego roku swe zamążpójście; z nią to Kotik puścił się w pływ ognisty wzdłuż całego wybrzeża

Lukannonu w ostatnią noc przed ostatnią swą wyprawą podróżniczą.

Tym razem podążył na zachód, gdyż wpadł na ślad wielkiej ławicy fląder — jemu zaś było potrzeba conajmniej sto funtów ryby dziennie, by utrzymać się w dobrym stanie zdrowia. Polował na nie, póki mu sił stało, poczem zwinął się w kłębek i ułożył się do snu na wklęsłinach morskiego oplusku, zmywającego płaski brzeg Wyspy Miedzianej. Wybrzeże to znał doskonale, więc spał spokojnie, aż koło północy poczuł że woda zniosła go w inne miejsce i złożyła na kępie wodorostów.

— Aha! — mruknął do siebie — dzisiejszej nocy mamy silny przypływ!

Przewrócił się pod wodą na drugi bok, otworzył zwolna oczy i przeciągnął się leniwie. Naraz zerwał się jak oparzony, i dał susa w bok, — gdyż ujrzał jakieś olbrzymie stwory, gmerzące nosem w płytkiej wodzie i ogryzające gęstwę kidzeny.

— Na wielkie bałwany w cieśninie Magellana! — zaklął Kotik pod wąsem. — Cóż to za nieznanne mi morskie stworzenia?

Stworzenia te wyglądem nie przypominały ani morsa, ani lwa morskiego, foki, niedźwiedzia polarnego, wieloryba, rekina, dorsza, głowonoga czy ślimaka. Czegoś podobnego Kotik jeszcze nie widział. Długość ich wynosiła dwadzieścia do trzydziestu stóp; zamiast tylnych płetw miały ogon o kształcie łopaty, wyglądający jakby był wycięty ze skóry, a łby miały kształt i wyraz skończenie tępawy. Gdy nie obgryzły wodorostów, kołysały

się na ogonach zanurzonych głęboko w wodzie, kłaniając się przytem urocząście jedna drugiej i wymachując przednimi pletwami, podobne w tem do człowieka-tłuściocha, usiłującego skinać ręką.

— Hm! — mruknął Kotik. — Jakże wam idzie zabawa, łaskawi państwo?

Stwory nic nie odpowiedziały, tylko poczęły się kiwać i ruszać pletwami, niby żabie kijanki, poczem wzięły się znów do jada. Kotik zauważył, że ich nadwarze było rozcięte na dwoje, iż mogły rozsuwać je na stopę wszere i zgarniać w ową szczelinę cały pęk wodorostów — poczem pakowały wszystko naraz do paszczyki i żuły z uroczystą powagą.

— Bardzo niechlujny sposób odżywiania się! — zauważył Kotik.

Stwory znów tylko dygnęły w odpowiedzi; to już wytrąciło Kotika z równowagi.

— No dobrze, dobrze! — burknął zniecierpliwiony. — Bardzo to pięknie, że macie większą ilość stawów w pletwach i dlatego kłaniacie się tak zgrabnie . . . ale przestańcie już popisywać się tą zręcznością, bo chciałbym się dowiedzieć, jak się nazywacie.

Rozdziawiły szeroko przepołowione wargi i poruszyły niemi kilkakrotnie, wybałuszyły zielone, szklane oczyska, ale nie odpowiedziały ani słowa.

— Ej, doprawdy! — oburzył się Kotik. — Nie widziałem nigdy stworzeń tak brzydkich i tak źle wychowanych . . . Jesteście brzydsze i gorsze nawet od konia morskiego!

Wtedy — jakby go coś oświeciło — przypomniał sobie nagle, co mu krzyknęła mewa-śmieszka, gdy jako mały roczniaczek przybył na Wyspę Morśów. Zatoczył się z radości i rzucił się nawznak w wodę, bo już wiedział, że na koniec udało mu się znaleźć Krowy Morskie.

Zasypał je pytaniami we wszystkich językach. Jakich nauczył się podczas swych wędrówek — a trzeba wiedzieć, że stworzenia morskie mówią prawie tyloma językami, co ludzie. Ale krowy morskie wciąż tylko wiosłowały pletwami, gryzły i przeżuwały kidzenę, nie odpowiadając na zapytania — jako że te stworzenia są całkiem pozbawione mowy. Mają w karku jedynie sześć kręgów, tam, gdzie powinny ich mieć siedem, co — jak głoszą plotki, rozprowadane wśród toni morskich — udaremnia im rozmowę nawet z gronem najbliższych. Zato, jak już wam wiadomo, mają dodatkowe stawy w przednich pletwach — i machając niemi to wdół to wgóre, porozumiewają się z sobą jakby zapomocą niezdarnych sygnałów telegraficznych.

O świcie Kotik postradał już docna cierpliwość i zjeżył groźnie grzywę. Wówczas stała się rzecz nieoczekiwana. Krowy Morskie ruszyły się z miejsca i poczęły zwolna płynąć w kierunku północnym, zatrzymując się od czasu do czasu i odbywając jakieś niezrozumiałe narady wśród ciągłych dygów i ukłonów. Kotik podążył w ich ślady, mówiąc sobie w duchu:

— Nie ulega wątpliwości, że istoty tak głupie i niezdarne dawnoby uległy wytępieniu, gdyby nie

znalazły sobie bezpiecznego schronienia na jakiejś wyspie . . . a miejsce, gdzie nawet takie krówska czują się bezpieczne, musi być dobrem siedliskiem i dla nas, morskich łowców! W każdym razie mogłyby się te marudy trochę pospieszyć!

Podróż ta przyniosła Kotikowi wiele nudy i mi-tęgi. Krowy Morskie nigdy nie przepłynęły wię-ciej jak czterdzieści do pięćdziesięciu mil morskich w ciągu dnia, a nocą zatrzymywały się na żerowi-skach — nie oddalając się przytem nigdy zbyt-od lądu. Kotik próbował je przynaglić, to opływa-jąc je dookoła, to skacząc im nad karkiem, to nur-kując pod nimi, ale nie udało mu się zwiększyć ich szybkości ani o pół mili. Gdy posunęły się bardziej na północ, poczęły odprawiać co parę godzin owe dygające narady. Kotik z niecierpli-wości o mało co nie poobgryzał sobie wąsów. Wkońcu jednak udobruchał się, widząc, że zwię-rzęta dostały się na ciepły prąd, który je począł sam ponosić. Odtąd już Kotik nabral większego szacunku dla krów morskich.

Pewnej nocy zanurzyły się — niby obciążone balastem — w błyszczącą toń wodną i po raz pierwszy, odkąd je poznał, poczęły płynąć szybko. Kotik popłynął za nimi, zdumiewając się tą szyb-kością, gdyż nigdy nie przypuszczał, by krowy morskie były tak sprawnymi pływaczkami. Zmie-rzały ku rafie koło wybrzeża — opadającej głę-boko w morze — i dały nurka w czarną czeluść znajdującą się u podnóża rafy, dwadzieścia stóp pod wodą. Długo, długo płynęły tamtędy — i Ko-

tikowi już oddawna zabrakło świeżego powietrza, zanim wydostał się na drugą stronę ciemnego tunelu, przez który przewiodły go morskie krowy, i wśród parskania i posapywania wypłynął znów na swobodny przestwór morza.

— Na moją rodzoną grzywę! — zawołał. — Jeszczem nigdy w życiu nie dawał takiego nura... ale opłaciło się to, bądź co bądź...

Krowy morskie rozpełzły się po całym wybrzeżu i rozpoczęły gnuśne żerowanie. Wybrzeża równie pięknego Kotik nie widział nigdy w życiu. Całymi milami biegły tam długie pasma gładkich, wodą splókanych skał, nadających się wybornie na założenie foczych pieleszy, a poza nimi roztaczały się wgląd lądu wielkie obszary piaszczyste, wprost wymarzone jako miejsce zabaw; były tu i rozbryzgi fal, wśród których płaszać tak miło, i bujna trawa, po której tak miło się tarzać, i piaskowe wzgórciki, po których tak miło się gramolić... Poza tem, co rzecz najmilsza, Kotik wyczuł po samej wodzie (a zmysł ten nigdy nie zawiedzie prawdziwego łowcy morskiego), że do tego miejsca ludzie jeszcze nigdy nie dotarli.

Przedewszystkiem tedy upewnił się, czy połów ryb w tych stronach jest obfity, a następnie opłynął wybrzeże, rachując po drodze przemiłe osuchy piaskowe, przysłonięte zwojami pięknej mgły. Od północnej strony wybiegał hen w morze długi rząd nierzei, mielizn i skał, które nie dopuściłyby okrętu nawet na odległość sześciu mil od wybrzeża; pomiędzy wyspami i lądem stałym ciągnął się pas

głębokiej wody najeżonej stromemi rafami, a kędyś pod temi rafami krył się wylot tunelu.

— Aha! Mamy tu nową Siewierowostoczną, ale dziesięć razy lepszą od tamtej! — powiedział sobie Kotik. — Morskie Krowy są chyba mądrzejsze niż myślałem. Nawet gdyby się tu dostali jacy ludzie, nie potrafiliby przejść pod temi rafami, a na rewach od morskiej strony każdy okręt roztrzaskałby się w kawałki. Jeżeli gdzie, to chyba na tem morzu można czuć się zupełnie bezpiecznie!

Przyszła mu na myśl foka-samiczka, czekająca na niego w ojczyźnie. Jednakże choć bardzo mu się spieszyło do Siewierowostocznej, zbadał dokładnie każdy zakątek nowej krainy, by móc odpowiedzieć na wszystkie czekające go zapytania.

Uporawszy się z tem, dał nurka pod wodę, obejrzał dokładnie wylot tunelu i puścił się zpowrotem na południe. Prócz krowy morskiej albo i foki nikomuby się nie śniło, że poza tą przegrodą kryć się może tak rozkoszne siedlisko. Nawet Kotik, obzierając się na groźnie najeżone rafy, ledwie mógł uwierzyć, że dopiero co znajdował się pod niemi. Droga powrotna zajęła mu sześć dni czasu, choć nie płynął marudnie. Gdy wylądował tuż koło Przesmyku Lwa Morskiego, pierwszą istotą, jaką napotkał, była owa samiczka, która czekała na niego. Po jego spojrzeniu poznała, że udało mu się nakoniec odkryć upragnioną wyspę.

Natomiast „cholostiaki“ i ojciec jego, Morski Łowca, i wszystkie inne foki poczęły się zeń śmiać w żywe oczy, gdy opowiedział im o swoich odkry-

ciach, a jeden z jego rówieśników odezwał się do niego:

— Wszystko to piękne i ładne, mój Kotiku, ale za wiele sobie pozwalasz, gdy przybywszy do nas z jakichś tam nikomu nieznanych stron, każesz, byśmy się stąd wynosili na inne miejsce. Pamiętaj, że myśmy tu walczyli o swoje siedlisko, na co ty nigdy się nie zdobyłeś. Wolaleś przez ten czas waleśać się po morzach.

Śmiech gromki wybuchnął pomiędzy fokami na te słowa, a ów młokos począł wyzywająco przechylać łeb to w jedną to w drugą stronę. Właśnie tego lata był się ożenił, a to go usposabiało do wywołania burd i awantur.

— Nie mam ochoty ani potrzeby walczyć o siedlisko — odparł Kotik. — Chcę tylko pokazać wam wszystkim miejsce, gdzie będziecie żyli bezpiecznie. Pocóż macie staczać bójki?

— O, jeżeli zamierzasz skapitulować przede mną, nie będę miał nic przeciw temu! — zaśmiał się złośliwie młody junak.

— A czy pójdziesz ze mną, gdy zwyciężę? — zapytał Kotik, a ślepie błysnęły mu zielonym blaskiem, bo sama myśl o walce już przejmowała go gniewem.

— I owszem — odpowiedział beztróskim głosem młody zelint. — O ile zwyciężysz, pójdę za tobą.

I nawet czasu mu nie stało na zmianę postanowienia, bo w tejże chwili Kotik wyrzucił wprzód głowę i zatopił kły w nabrzmiałej tranem szyi

zuchwalca, poczem szarpnąwszy się mocno wtył począł wlec przeciwnika ku wybrzeżu, strząsnął go na ziemię i wyolił mu porządnie skórę. Załatwiwszy tę czynność, ryknął na inne foki:

— Harowałem na was przez pięć lat! Znalazłem dla was wyspę, gdzie będziecie żyli bezpiecznie, ale wy podobno temu nie uwierzycie, póki wam nie napędzę trochę rozumu do tych durnych łbów. Zaraz z wami rozpocznę naukę. Uwaga!

Limerszyn opowiadał mi, że choć co roku widywał dziesiątki tysięcy wielkich fok, staczających zawzięte boje, jednakże nigdy w swem krótkim życiu nie widział czegoś równie imponującego, jak atak Kotika na siedliska focze. Zażarty białas upatrzył sobie największego z łowców morskich, rzucił się na niego, ucapił go za gardło i jął dusić, tłuc i walić, póki ten chrapliwym głosem nie zaczął błagać o litość; odrzuciwszy na bok przeciwnika, czynił to następnie z sąsiadami.

Trzeba wam wiedzieć, że Kotik nie odbywał z każdym rokiem dłuższego postu, jak to czynią inne foki, a dalekie wyprawy pływackie po morskich toniach wyrobiły w nim wielką siłę i zręczność; co zaś najważniejsze, nie staczał dotychczas bójek i czuł w sobie pełnię siły. Jego kędzierzawa biała grzywa jeżyła się od gniewu, oczy pały czerwonym blaskiem, a potężne psie zębiska błyskały w rozjadłej paszczęce; wyglądał groźnie i okazałe.

Przyglądając się z zachwytem synalkowi, rozszarpującemu i wlokącemu na brzeg — niczem

flądry — stare osiwiąle foczyska, a szerzącemu popłoch i spustoszenie wśród młodych chłystków, ojciec jego, stary Łowca Morski, ryczał radośnie i wołał:

— Być może, że syn mój nie grzeszy zbyt dużym rozumem, w każdym razie jest najdzielniejszym zapaśnikiem na naszych wybrzeżach! Nie przynieś ojcu hańby, mój synku! Ja idę za tobą!

Kotik ryknął w odpowiedzi. Łowca Morski nastroszył wąsy i sapiąc jak parowóz, hulnął w wodę. a Matka i narzeczona Kotika przycupnęły na wybrzeżu i z podziwem patrzyły na wybrańców swego serca. Bo też była to walka zaprawdę świetna i wspaniała, w której obaj zapaśnicy dokazywali cudów siły i waleczności — nie ustępując z placu boju, póki na nim pozostała choć jedna foką, usiłująca wznieść leb do góry. Dokonawszy tego dzieła, ojciec i syn przeszli razem w triumfie po całem wybrzeżu, rycząc i poszczekując.

Gdy zapadła noc i gwiazdozbiory polarne zaczęły mrugać i migotać wśród mgły, Kotik wdrapał się na nagi wierzchołek skalny, zgóry spoglądając na rozgromione focze siedliska, na foki podrapane i krwią broczące.

— Na moją grzywę! — zaklął stary Łowca Morski, rozprostowując kości okrutnie obolałe. — Sam Kaszelot nie sprawiłby im gorętszej łaźni! Synku, jestem z ciebie dumny... i, co ważniejsza, gotów jestem iść za tobą na nową wyspę... o ile ona istnieje...

— Hola, opasle morskie prosięta! — ryknął Kotik. — Kto pójdzie za mną do tunelu Krów Morskich? Odpowiadajcie mi natychmiast, bo inaczej znów dam wam tęgą nauczkę!

Na te słowa podniósł się szmer podobien poszuwomowi morskiej kipieli, przelewającej się tam i zpowrotem przez brzegi.

— Pójdziemy, pójdziemy wszystkie! — zawołały tysiące znękanych głosów. — Pójdziemy za Kotikiem! za Białym Zelintem!

Wówczas Kotik wtulił głowę pomiędzy ramiona i dumnie przymknął oczy. Biorąc ściśle, nie był on w owej chwili białą foką, gdyż od głowy po tylne pletwy broczył krwią czerwoną — atoli ani mu przez myśl nie przyszło, by oglądać i opatrywać swe rany.

W tydzień później wielka armja, licząca bezmała dziesięć tysięcy „chołostiaków“ i starych zelintów, podążyła pod wodzą Kotika na północ ku tunelowi Krów Morskich. Znaczna część foczego plemienia pozostała jednakże w Siewierowostocznej i nadawała urągliwe przezwiska owym zapaleńcom. Ale na drugą wiosnę, gdy focze gromady spotkały się na rybnych ławicach Oceanu Spokojnego, foki należące do stronnictwa Kotika naopowiadały swym towarzyszkom takich dziwów o nowej krainie za tunelem Krów Morskich, że coraz to więcej fok poczęło porzucać brzegi Siewierowostocznej.

Ma się rozumieć, że nie odrazu do tego przyszło, bo foki mają tępe głowy i długiego potrzeba czasu,

by rzecz jakąś zrozumiały. W każdym razie z każdym rokiem coraz to więcej fok przenosiło się z okolicy Siewierowostocznej do spokojnych osłoniętych wybrzeży, gdzie w letniej porze rezyduje Kotik, grubszy, większy i silniejszy z każdym rokiem, otoczony zgrają „chołostiaków“, bawiących się wesoło na przestworze morskim, nienawiedzonym stopą człowieka.

LUKANNON.

(Podaję tekst wspaniałej pieśni, śpiewanej na morskich głębinach przez wszystkie foki z Pawłowskiego ostrowu, wracające latem na ojczyste wybrzeże. Pieśń ta, o nucie bardzo smętnej, jest jakby narodowym hymnem foczego plemienia).

Witałem ongi mych druhów (och, jakżem się
postarzał!),
Gdzie morski nurt huczący krawędziom skał
wygrażał;
A huczniej, niż ten odmęt, co wiódł z brzegami
spór,
Z płaskoci Lukannonu grzmiał fok stugębny
chór:

*Pieśń o siedliskach lubyh w zasiąku słonych
wód, —*
*Pieśń o piaszczystych wydmach, gdzie hasał foczy
lud, —*
O płąsach przy księżycu, co radowały wzrok, —
*O brzegach Lukannonu — nim tu wtargnęli
łowcy fok! . . .*

Witałem ongi druhów (nie ujrzę już ich więcej!):
Płynęli gromadami po kroćset sto tysięcy.
I gdzie nad fal czubami sięgał nasz głos i wgląd,
Wolaliśmy: „Szczęść Boże!“ — do tych, co wyszli już na ład.

*Wybrzeża Lukannonu — gdzie rósł tak bujny
plon —*

*Oślizgle wodorosty — i mgły ze wszystkich
stron! —*

*O miejsce naszych zabaw — gdzie słońce blade
łśni!*

*Wybrzeże Lukannonu — kolebko naszych mło-
dych dni!*

*Ach witam dziś mych druhów — nieliczną,
trwożną czeladź!...*

*Bo ludzie się uwzięli wytłuc nas, powystrzelać!...
Zganiają nas, jak trzodę, w Solarni zimny
mrok...*

*Lecz nam się w pieśniach śni Lukannon — nim tu
wtargnęli lowcy fok!...*

*Hej, wdal, hej na południe! Ach, pliszko mała,
poleć*

*I donieś Władcom Głębin, jak nas ta nędza
musi boleć!*

*Boć wnet opustoszeje sierocy morski spych —
Wybrzeża Lukannonu nie ujrzą nigdy dziątek
swych!...*

1875

...

...

...

...

...

...

RIKKI-TIKKI-TAVI

„Wylaż z nory, pókim dobry!“
Krwawooki rzekł do kobry: —
„Chodź-no w taniec — czynem stwierdź,
Kogo z nas dwóch czeka śmierć!

Oko w oko, twarzą w twarz!
(*Na mnie dybiesz, Nag?!*)
Zgryziesz mnie — lub gardło dasz!
(*Co chcesz, wybierz, Nag!*)
Cios na cios — i wet za wet! —
(*Co sił, czmychaj, Nag!*)
Hej! Wróg stchórzył! Z pola zszedł!
(*Hurra!... Zdychaj, Nag!*)

Oto jest powieść o wielkiej walce, którą Rikki-Tikki-Tavi własnymi siłami — w pojedynkę — stoczył na obszarze łaźni wielkiego bungalow¹⁾ w kolonji wojskowej Segowlee²⁾. Dopomógł mu w tem ptak-krawczyk Darzee³⁾, a dobrej rady udzielił mu piżmowy szczur Chuchundra⁴⁾, który nigdy nie wylazi na środek posadzki i zawsze przemyka się pod ścianami. Ale prawdziwy bój stoczył jedynie i wyłącznie sam Rikki-Tikki.

¹⁾ Czyt. bungalow; lekki, zazwyczaj jednopiętrowy dom w stylu bengalskim (stąd nazwa), używany przez Anglików jako letnie mieszkanie. ²⁾ Czyt. Segauli. ³⁾ Czyt. Darzi. ⁴⁾ Czyt. Czuczandra.

Był to mangus czyli ichneumon, z sierści i z kształtu ogona podobny nieco do małego kociaka, natomiast z głowy i z obyczajów zupełnie przypominający łasicę. Miał czerwone ślepki i takiegoż koloru koniuszek wiecznie ruchliwego noska. Umiał skrobać się każdą nóżką, przednią czy tylną, w każdą część swego ciała — a z wielkiem upodobaniem uprawiał to zajęcie. Umiał też nastroszyć sierść w ogonie, nadając temuż wygląd szcoteczki do szorowania butelek, a gdy baraszkował wśród bujnej trawy, zawsze go można było poznać po okrzyku wojennym:

— *Rikk - tikk - tikki - tikki - czik!*

Pewnego dnia wielka powódź letnia nawiedziła wzgórek, na którym mieszkał przy ojcu i matce, i uniosła szamocącego się i krzyczącego nieboraka, aż nakoniec osadziła go w jakimś rowie przydrożnym. Znalazszy tam kępkę płynącej trawy, uczeplił się jej i płynął wraz nią tak długo, póki nie utracił doszczętnie świadomości co się z nim dzieje.

Gdy powrócił do przytomności, stwierdził, że leży — cały jeszcze ociekając wilgocią — pośrodku zalanej słońcem ścieżki ogrodowej; nad nim stał jakiś młody chłopak i właśnie przemawiał:

— Tu leży nieżywy ichneumon. Sprawmy mu pogrzeb.

— Nie — odpowiedziała matka. — Weźmy go do domu, niech się osuszy. Może on jeszcze żyje.

Zabrano go więc do domu. Tam jakiś duży człowiek ujął go w dwa palce, podniósł do góry, i obejrzawszy na wszystkie strony, orzekł, że zwierzak

nie jest zdechły, ale omdlały wskutek braku powietrza. Owinięto go przeto kłębkim waty i postawiono w ciepłym miejscu. Niebawem ichneumon otworzył ślepki i kichnął.

— A teraz — odezwał się duży człowiek (był to Anglik, który właśnie niedawno wprowadził się do owego bungalow) — nie straszcie go, a zobaczmy, jak będzie nam się sprawował.

Nastraszenie mangusa to jedno z najtrudniejszych przedsięwzięć w świecie — bo to stworzenie jest od nosa aż po koniuszek ogonka naszpikowane ciekawością. Dewiza rodu mangusów brzmi: „Biegaj i szukaj!” — Rikki-Tikki był mangusem z krwi i kości. Obejrzał watę, spróbował i uznał, że jest w smaku niedobra, obiegł cały stół wokół, siadł na dwóch łapkach, przyprowadzając do ładu futerko, poskrobał się, a nakoniec skoczył na ramię chłopcykowi.

— Nie bój się, Teodorku! — odezwał się ojciec. — On ma taki zwyczaj zawierania przyjaźni.

— Oj, oj! — zawołał Teodorek. — Jak on mnie laskocze w szyję!

Rikki-Tikki zajrzał chłopcu za kołnierz, obwąchał mu ucho, poczem zsunął się nadół, siadł na podłodze i począł trzeć koniec nosa.

— Mocny Boże! — zdumiała się matka Teodorka. — Dzikie zwierzątko, a tak grzecznie się zachowuje! A jak się z nami spoufalil! Pewno dlatego, żeśmy względem niego byli tak uczynni.

— Wszystkie mangusy mają tę samą naturę — odpowiedział jej małżonek. — Jeżeli Teodorek nie

będzie go ciągnął za ogon ani zamykał do klatki, to Rikki-Tikki będzie hasał swobodnie przez dzień cały to w domu to poza domem. A teraz dajmy mu coś do jedzenia.

Dano mu kawałtka surowego mięsa. Rikki-Tikki zjadł z apetytem, a potem wyszedł na werandę, siadł w słońcu i nastroszył sierść, by wysuszyć ją do reszty. Poczul się znacznie lepiej na zdrowiu.

— Oho! w tym domu można odkryć więcej rzeczy, niżby potrafiła odkryć cała moja rodzina w całym swoim życiu. Niema co! Zamieszkać tutaj i zacząć czynić poszukiwania.

Przez cały dzień czynił wyprawy odkrywcze po całym domu. To omal nie utopił się w cebrzyku, to znów wetknął nosk do atramentu, stojącego na biurku, i sparzył się cygarem, wlaższy dużemu człowiekowi na kolana, by przyjrzeć się, jak powstają litery na papierze. O zmierzchu wbiegł do pokoju dziecinnego, by przyjrzeć się zapalonym lampom naftowych, a gdy Teodorek położył się do łóżka, Rikki-Tikki wgramolił się niezwłocznie i położył się obok niego. Nie zasnął jednak wraz z chłopcem, bo za każdym szmerem korciło go, by wstawać, nadsluchiwać i badać, skąd się szmer bierze. Tak było przez noc całą. Gdy wkońcu weszli do pokoju rodzice Teodorka, by popatrzeć na śpiącego synka, ujrzeni, iż Rikki-Tikki siedzi i czuwa na jego poduszce.

— To mi się nie podoba — odezwała się matka Teodorka. — On jeszcze gotów kiedy pokąsać nam dziecko.

— Nie, ichneumon czegoś podobnego nigdy nie zrobi — odpowiedział ojciec. — Przy tem zwierzątku Todzio może czuć się bezpiecznej niż pod strażą rasowego psiska. Gdyby jaka żmija zakradła się do dziecinnego pokoju...

Ale matka Teodorka nawet nie chciała do siebie dopuścić myśli o czemś tak strasznem.

Wczesnym rankiem Rikki-Tikki, siedząc na ramieniu Teodorka, przybył na śniadanie, zastawione na werandzie. Dano mu banana i parę jajek na twardo, a on siadał kolejno na kolana wszystkim obecnym. Dobrze wychowany ichneumon zawsze liczy się z tem, że kiedyś może stać się ichneumonem domowym i będzie biegał po pańskich pokojach; wiedziała o tem matka Rikkiego, która kiedyś mieszkała w domu jenerała w Segowlee, przeto troskliwie pouczyła syna, jak ma się zachowywać, gdyby dostał się do domu białych ludzi.

W śniadaniu Rikki-Tikki udał się do ogrodu, aby zobaczyć wszystko, co tam było godne widzenia. Ogród był ogromny, ale tylko w połowie dobrze utrzymany: były tam krzewy róż *Maréchal Niel*, ogromne jak altany, drzewa cytrynowe i pomarańczowe, zarośla bambusów i kępy bujnej trawy. Rikki-Tikki oblizal wargi.

— Ależ tu pyszne łowisko! — powiedział sobie w duchu i na samą myśl o tem ogon mu się nastroszył, jak szczotka do czyszczenia szkiełek u lampy.

Począł się włóczyć wszcz i wzdłuż po całym ogrodzie, wędząc od czasu do czasu. Naraz posly-

szał bardzo żałośliwe głosy, dolatujące z głębi cier-
nisteo krzaka.

Było to narzekanie ptaka-krawczyka Darzee
oraz jego samiczki. Mieli tu oni prześliczne gnia-
zdeczko, sporządzone z dwóch listków, zszytych
po bokach włóknami, a wysłane puchem oraz
kłaczkami bawełny. Gniazdko to teraz kołysało
się smętnie to w jedną to w drugą stronę —
a krawczykowie siedzieli na jego krawędzi i płaka-
li rzewnie.

— Cóż to się stało? — zapytał Rikki-Tikki.

— Spotkało nas wielkie nieszczęście — odpo-
wiedział Darzee. — Jedno z czworga naszych
piskląt wypadło wczoraj z gniazdko, a Nag je po-
żarł.

— Hm! — zasumował się Rikki-Tikki. — Bar-
dzo wam współczuję... ale powiedźciez mi, kto
jest ten Nag? Pytam o to, gdyż dopiero pierwszy
raz bawię w tych stronach.

Darzee i jego małżonka nie odpowiedzieli ani
słowa, lecz przycupnęli trwożnie w głębi gniazdko
— bo oto z gęstej trawy u podnóża krzewu dobył
się stłumiony syk. Dźwięk ten tak zimny był i zło-
wieszczy, że Rikki drgnął i odskoczył wtył na dwie
piędy. A wówczas z trawy poczał zwolna się wy-
laniać łeb i szeroki kaptur wielkiego węża. Był
to Nag, czarny kobra-okularnik, mierzący od pyska
do ogona pięć stóp długości. Podniósłszy jedną
trzecią część ciała ponad ziemię, zaczął kołysać
łbem w prawo i w lewo, jak kołysze się puch mle-
czu wiatrem niesiony, i wpatrywał się w mangusa

złowrogimi węzowemi oczyma, które nigdy nie zmieniają wyrazu, jakiegokolwiekby były zamiary gadziny.

— Pytasz, kto to Nag? — zasyczał. — Ow-sz-szem, to ja nim jes-s-tem. Wielki Brahma dał tę oto cechę całemu naszemu plemieniu, gdy pierwszy kobra rozpostarł swój kaptur, by śpiącego bożka osłonić przed słońcem. Patrz — i drzyj! ... bom s-strasz-szny!

Rozpostarł kaptur jeszcze szerzej i Rikki-Tikki ujrzał na nim ów znak okularów, który istotnie wygląda jak oprawa dwóch szkieł wraz z mostkiem. Przez chwilę strach go obleciał — i natychmiast przeminął, gdyż ichneumon nie umie długo żywić trwogi; zresztą, choć Rikki-Tikki nigdy wprawdzie nie spotkał się z żywym okularnikiem, to jednak nieraz pożywał się ich mięsem, upolowanym przez matkę, a wiedział, że głównym zadaniem życiowym każdego mangusa jest zwalczanie i zjadanie węzów. Nag również o tem wiedział, przeto w głębi bezlitosnego serca czuł wielką trwogę.

— Dobrze, dobrze! — sarknął Rikki-Tikki, a ogon mu się zaczął jeżyć jak szczotka. — Cechy cechami, ale kto waszmości pozwolił wyjadać pi-sklęta z gniazda?

Nag zamyślił się, śledząc najmniejszy ruch trawy poza grzbietem Rikkiego. Wiedział, że obecność mangusów w ogrodzie wróży prędzej czy później śmierć jemu i jego rodzinie, roił jednak o tem, by zmylić czujność zwierzęcia. Zwiesił więc nieznacznie głowę, przechylił ją w bok i zagaił rozmowę.

— Bądźmy ze sobą szczerzy. Ty zjadasz jajka... czemużby mnie nie wolno było zjadać piskląt?

— Obejrzyj się! Obejrzyj się! — zaśpiewał Darzee.

Rikki-Tikki nie tracił czasu na gapienie się po próżnicy, lecz skoczył w górę jak tylko mógł najwyżej. Czas był wielki — bo w tejże chwili z ogromnym świstem przemknął się tuż pod nim łeb krwiożerczej małżonki Naga, Nagainy. Gdy Rikki zajęty był rozmową, podkrađła się cichaczem ku niemu i zamierzała zglądzić go od jednego zamachu. Cios chybił — a do uszu ichneumona doszedł syk pełen wściekłości.

Spadając na ziemię, Rikki-Tikki znalazł się tuż koło grzbietu Nagainy. Inny jakiś, starszy już ichneumon, zmiarkowałby odrazu, że nadeszła odpowiednia chwila, by jednym ukąszeniem przegryźć kręgosłup gadziny. Atoli Rikki bał się straszliwego odrzutu, którym Nagaina mogła mu zadać cios nagły. Ugryzł ją wprawdzie, ale niezbyt głęboko — i uskoczył na sporą odległość od trzepocącego się jej ogona, zostawiając na placu boju okaleczoną i gniewną Nagainę.

— Przekłęty, przekłęty Darzee! — zawołał Nag, wijąc się skrętami w górę, by osiągnąć gniazda kołyszącego się na ciernistym krzaku; ale Darzee zbudował je był tak wysoko, iż żaden z węzów nie zdołałby wspiąć się ku niemu.

Rikki-Tikki poczuł, iż ślepia mu zaczerwieniły się i rozgorzały ogniem — co u ichneumona bywa oznaką gniewu. Przysiadł na ogonie i tylnych łap-

kach niby mały kangurek, i rozglądał się wokół, zgrzytając z wściekłości zębami. Ale Nag i Nagaina już gdzieś się zaszyli w trawę. Wężę mają ten obyczaj, że gdy im się nie uda dopaść upatrzonej zdobyczy, nie odzywają się ani słowem i nie dają po sobie poznać, co zamierzają uczynić za chwilę. Rikki-Tikki ani myślał ich ścigać, ponieważ nie był pewny, czy potrafilby dać radę dwom wężom naraz. Pobiegł więc klusem na ścieżkę koło domu, żwirem wysypaną, i przysiadłszy, począł rozmyślać. Była to dlań sprawa wielce poważna.

Czytając stare dzieła przyrodnicze, napotkacie w nich wzmiankę, że ichneumon, który odniósł ranę w walce z wężem, zjada jakieś zielsko o własnościach leczniczych. Wiadomość to nieprawdziwa. Dwie tylko rzeczy przyczynić się mogą do zwycięstwa: bystrość wzroku i zwinność nóg, dzięki którym ichneumon potrafi w porę uskoczyć przed natarciem węża — a głowa węża umie dokazywać cudów większych niż jakiegokolwiek ziola czarno-księskie i rzeczą niemożliwą bywa wysledzenie wszystkich jej poruszeń. Rikki-Tikki zdawał sobie z tego sprawę, że jest jeszcze młodzikiem; tem większą przeto radością przejmowała go myśl, że udało mu się umknąć przed napaścią od tyłu. Dodalo mu to ufności we własne siły. To też gdy nadbiegł Teodorek i zatrzymał się na ścieżce, Rikki-Tikki z dumą oczekiwał jego pieszczoty.

Ale gdy Teodorek schylił się, by go pogłaskać, naraz w piasku coś się poruszyło i cichy głosik szepnął:

— Strzeż się! Zbliża się śmierć!

Był to Karait, mały wężyk piaskowej barwy, który lubi wylegiwać się na piaszczystym gruncie. Jego ukąszenie jest równie śmiertelne jak ukąszenie okularnika — on sam jednak jest tak mały, że nikt prawie nań nie zważa. To też wyrządza on ludziom znacznie więcej szkody.

Rikki-Tikki znów rozgorzał ogniem w źrenicach i podbiegł do Karaita, kołysząc się w sposób szczególny, żyjący w tradycji rodu ichneumonów. Chód ten, z pozoru bardzo śmieszny i niezgrabny, jest w istocie tak doskonale zrównoważony, że z łatwością można z niego przejść do skoku w dowolnym kierunku — to zaś w walce z wężem jest rzeczą pierwszorzędną wagi.

Rikki-Tikki nawet sobie sprawy nie zdawał, że obecnie spadło nań o wiele cięższe zadanie niż podczas walki z okularnikiem — bo Karait jest tak mały i tak żwawo umie się obracać, że Rikki, gdyby mu nie udało się capnąć go zębami w sam tył głowy, otrzymałby cios zwrotny — w nos lub oko.

Ale Rikki o tem nie wiedział, ani się tego nie domyślał. Oczy mu się rozjarzyły czerwono i kołysał się to w jedną to w drugą stronę, upatrując miejsca, gdzie mógłby zęby zatopić. Karait rzucił się na niego z wielką siłą. Rikki uskoczył w bok i chciał nań natrzeć, ale szary lebek złowrogiej zmijki przewinął się tuż koło jego karku. Nie pozostało więc nic innego Rikkiemu, jak przeskoczyć przez Karaita — lecz w tejże chwili już główka zmijki znalazła się przy tylnych jego odnóżach.

Teodorek począł wołać w stronę domu:

— Patrzcie! patrzcie! Nasz mangus bije się z węzem!

Rozległ się przeraźliwy krzyk matki. Z drzwi domu wybiegł ojciec, uzbrojony laską; właśnie gdy już miał dojść do walczących, Karait wykonał skok zbyt daleki, z czego nie omieszkał skorzystać Rikki: dał błyskawicznego susa i już mu siadł na karku, już przednimi łapami przygniótł mu głowę, już mu wbił ząbki w samo ciemie i potoczył się z nim nabok. To ukąszenie położyło Karaita trupem; Rikki-Tikki już zamierzał go pożreć, zaczynając zwyczajem swego rodu od ogona, gdy naraz sobie przypomniał, że przejedzenie powoduje u ichneumona ociążałość ruchów, — jeżeli więc chce mieć na każde zawołanie zwykłą siłę i zręczność, powinien być wstrzemięźliwym.

Przeto odszedł pod zarośla kleszczowiny, by tam wytarzać się w piasku, a tymczasem ojciec Teodorka począł laską okładać nieżywego karaita.

— Pocóż tyle zachodu? — pomyślał sobie Rikki-Tikki. — Przecież ja już załatwiłem wszystko, co było potrzeba!

W tej chwili podeszła ku niemu matka Teodorka, podniosła go z ziemi i przytuliła do piersi, wołając wśród płaczu, że to on ocalił jej syna od śmierci. Ojciec nazwał go zesłańcem Opatrzności, a Teodorek patrzył nań wielkimi oczyma, szeroko rozwartemi od strachu.

Rikki-Tikki był szczerze ubawiony tym całym rwetesem, którego — rzecz oczywista — wcale nie

rozumiał. Przecie (myślał sobie) bawienie się w piasku nie jest znów tak wielką zasługą — równie dobrze mogłaby matka za to wyściskać i Teodorka! Był szczerze ubawiony — ale i zadowolony z siebie.

Podczas kolacji pozwolono mu przechadzać się pomiędzy szklankami po całym stole — i gdyby miał tylko ochotę, mógłby się za trzech najeść różnemi smakołykami. Ale on wciąż pamiętał o Nagu i Nagainie, więc choć miło mu było siedzieć na ramieniu Teodorka lub doznawać pieśczoć od matki chłopca, jednakże od czasu do czasu oczki skrzyły mu się czerwienią, a z poza ząbków raz wraz wybiegał przeciągły okrzyk bojowy:

— *Rik - tik - tikki - tikki - czik!*

Po kolacji Teodorek wziął go z sobą do łóżka i napał się, by zwierzątko spało przy jego buzi. Rikki-Tikki był dobrze wychowany, więc nie drapał ani nie skrobał chłopca; doczekawszy się jednak chwili, gdy Teodorek sasnął, wymknął się natychmiast na nocne włóczęgi po całym domu.

Idąc w ciemności, natknął się na szczura pizmowego Chuchundrę, skradającego się chyłkiem pod ścianą. Jest to małe, a bardzo bojaźliwe i płaksawe stworzonko, które piszczy i labiedzi przez noc całą, bo choć sobie nieraz to święcie obiecuje — nigdy nie ośmiela się przebiec przez środek ciemnego pokoju.

— Daruj mi życie! — zakwilił płaczliwie Chuchundra. — Nie zabijaj mnie, Rikki-Tikki!

— Cóż ty sobie myślisz! — obruszył się Rikki-Tikki. — Czy słyszałeś, by wążobójca zabijał szczu-ry piżmowe? Nie jestem szczurolapem!

— Kto węże zabija, ten od węży ginie! — zaskomlił jeszcze żałośniej Chuchundra. — Któż mi zaręczy, że w jakąś ciemną noc Nag nie pomyli się i nie weźmie mnie za ciebie?

— Niema obawy! — odpowiedział Rikki-Tikki; — zresztą Nag przebywa w ogrodzie, a ty, ile mi wiadomo, nigdy tam nie chadzasz.

— Mój krewniak, szczur Chua*), opowiadał mi... — zaczął Chuchundra, ale nie dokończył zdania.

— Cóż ci powiedział?

— Pst! Nag wszędzie przebywa, mój Rikki-Tikki... Pewno już rozmawiałeś z Chuą w ogrodzie?

— Nie mam przyjemności go znać... musisz więc opowiedzieć mi wszystko, co wiesz! Nie marudź, Chuchundro, bo zęby mam ostre i ugryźć niemi potrafię!

Chuchundra padł plackiem na ziemię i rozplakał się, aż łzy pociekły mu po wąsach.

— Nieszczęśliwa ze mnie istota! — szlochał. — Nigdy nie zdobyłem się nawet na tyle odwagi, by wybiec na środek pokoju!... Cyt! Już nie potrzebuję opowiadać ci niczego!... Czy słyszysz, Rikki-Tikki?...

Rikki-Tikki począł nadśluchiwać. W całym domu panowała głucha cisza — a jednak on miał tę pew-

*) Czyt. Czua.

ność, że w tej oto chwili słyzy najłżejszy ze wszystkich w świecie szelestów — szelest tak cichy, jak stąpanie osy po szybie okna — suchy chrzęst węża ocierającego się o mur ceglany.

— Ani chybi, to albo Nag albo Nagaina! — domyślił się Rikki. — Zakrada się przez otwór do łazienki. Masz rację, Chuchundro! Powiniennem być pomówić z Chuą!

Przemknął się do umywalni chłopca, ale nie znalazł tam nic podejrzanego, więc popełznął do łazienki, używanej przez panią domu. W gładkim, kaflami wykładanym murze był u samego dołu otwór, na cegłę szeroki, do odprowadzania wody nazewnątrz, więc gdy Rikki-Tikki podszedł ku murowanej cembrowinie, gdzie nalewano wody do kąpieli, podłuchał rozmowę, jaką na dworze przy blasku księżycy prowadził szeptem Nag z Nagainą.

— Gdy w domu nie będzie ani jednego człowieka, — mówiła Nagaina do męża, — to i on będzie zmuszony wynieść się stąd precz, a wtedy ogród znów będzie w całości do nas należał. Wejdz pocichu i pamiętaj, że najpierw trzeba ukąsić dużego człowieka, który zabił Karaita. Gdy już ich zgładzisz, wróć do mnie, a zapolujemy we dwójkę na mangusa Rikki-Tikki!

— Czy jesteś pewna, że zabijając ludzi, osiągniemy z tego jakąś korzyść? — zapytał Nag.

— Owszem, bardzo nawet wielką! Gdy nie było ludzi w bungalowu, nigdy żaden ichneumon nie pojawił się w naszym ogrodzie! Dopóki dom jest niezamieszany, jesteśmy panami ogrodu . . . a miej

i to na względzie, że lada dzień wyklują się nam młode z jajek, ukrytych wśród grządki melonów, i będą potrzebowały spokoju i swobodnej przestrzeni.

— Nie przyszło mi to na myśl — rzekł Nag. — A więc idę . . . ale zdaje mi się, że urządzenie obławy na Rikkiego byłoby już zbyt dużą fatygą . . . Ot, poprostu zabiję dużego człowieka, jego żonę i dziecko . . . i pójdę sobie precz. Gdy bungalow opustoszeje, to i Rikki-Tikki wyniesie się z niego na cztery wiatry!

Rikki-Tikki słyszał to wszystko — i aż skóra cierpła na nim z gniewu i oburzenia. Naraz przez otwór przy posadzce wsunął się płaski łeb Naga, a za nim wtoczyło się do łazienki oślizgłe, na pięć stóp długie jego cielsko. Pomimo całego gniewu i zawziętości, Rikki-Tikki nie mógł się opędzić uczuciu trwogi, zważywszy ogrom przeciwnika. Tymczasem Nag podwinął się w górę, wznosił głowę i zajrzał w mroczną głąb łazienki. Rikki mógł teraz dostrzec błysk jego oczu w ciemności.

— Jeżeli uderzę na niego odrazu, — mówił sobie w duchu Rikki-Tikki-Tavi, — to Nagaina gotowa mnie posłyszeć; jeżeli zaś rozpocznę walkę na szerszej przestrzeni posadzki, sytuacja również ułoży się na jego korzyść. Co tu począć?

Nag kołysał się czas pewien to w jedną to w drugą stronę — poczem Rikki posłyszał głośnie chleptanie, z czego zmiarkował, że gad dobrał się do największej stągwi z wodą, używanej do napelniania wanny.

— Nicze! — rzekł wąż z zadowoleniem. — A teraz zważmy rzecz jedną. W chwili zabicia karaita duży człowiek miał przy sobie łaskę... i może ma ją jeszcze przy sobie obecnie... ale napewno nie weźmie jej z sobą, gdy rano przyjdzie tu się kąpać. Poczekam więc tutaj na jego przybycie... Czy słyszysz, Nagaino? Ja tu czekam w chłodzie aż do ranka.

Z dworu nie doszła żadna odpowiedź — z czego Rikki-Tikki wniósł, że Nagaina już się oddaliła. Nag owinał się kilkoma skrętami dokoła brzuśca stągwi i spoczął w bezruchu.

Rikki-Tikki przyczaił się i siedział cichuśko jak trusia — lecz po upływie godziny zdecydował się ruszyć z miejsca i począł się skradać zwolna, krok za krokiem, w stronę stągwi. Nag spał jak zabity. Rikki-Tikki jął przyglądać się jego ogromnemu grzbietowi, zastanawiając się, w którym miejscu byłoby najlepiej go capnąć.

— Jeżeli nie strzaskam mu kręgosłupa za pierwszym skokiem — powiedział sobie Rikki — to szelma jeszcze gotów rozpocząć walkę, a jeżeli on rozpocznie walkę... to krucho będzie z tobą, Rikki!...

Przyjrzał się zgrubieniu szyi koło kaptura — ale okazało się, że było dlań za wielkie; zasię ukąszenie w bliskości ogona mogłoby jeno przywieść Naga do wielkiej złości.

— Aha! — powiedział sobie nakoniec. — Tu chyba jest głowa... nad kapturem. Gdy już do niej dobrałem, to jej nie puszczę!

Skoczył z rozpędem. Łeb gadu znajdował się w pewnej odległości od stągwi, — tuż poniżej jej wygięcia. Dopadłszy tam zębami, Rikki wsparł się grzbietem o brzusiec czerwonego gliniaka, by nie pozwolić przeciwnikowi na podniesienie się z ziemi. Zapewniło mu to chwilową przewagę, którą starał się wyzyskać jak umiał najlepiej. Ale za chwilę już Nag począł miotać nim na wszystkie strony, jak pies, usiłujący zrzucić szczura, siedzącego mu na karku — to tarzał się z nim po posadzce, to chwiertał nim wdół i wgórze, to znów wywijał na wszystkie strony, zataczając olbrzymie kręgi. Ciało biednego Rikki śmigalo jak bicz w powietrzu, przewracając blaszany czerpak, mydlniczkę i szczotkę do szorowania i uderzając raz po raz z hukiem o blaszaną wannę. Ale oczy jego jarzyły się czerwono, a szczęki trzymały zdobycz nieustępliwie. Ponieważ wierzył głęboko, że zostanie rozbity na miazgę, przeto zaciskał zęby coraz mocniej, by po śmierci znaleźć go z zawartymi szczękami — jak tego wymagał honor rodu. Potłuczony i obolały na całym ciele, odurzony i ledwo przytomny, już zęgnął się ze światem, gdy naraz tuż za nim rozległ się jakby huk grzmotu, jakiś gorący dech powalił go bez zmysłów na ziemię, a czerwony płomień osmalil mu futerko. To nadbiegł duży człowiek, obudzony hałasem, i wypalił z dubeltówki w sam niemal kaptur okularnika.

Rikki-Tikki nie śmiał rozewrzeć oczu, bo był pewny, że już nie żyje. Ale wkrótce wyczul, że głowa gądziny już się nie rusza, z czego zmiarko-

wał, że niebezpieczeństwo minęło. Jakoż w chwilę później duży człowiek podniósł go z ziemi i tuląc do siebie, mówił:

— To znów nasz mangus, Alicjo!... Tym razem uratował on *nasze* życie...

Do łazienki wbiegła matka Teodorka, śmiertelnie blada — i ujrzała śmiertelne szczątki okularnika. Rikki-Tikki powłókł się do sypialni Teodorka i przez połowę czasu, jaki pozostał do świtu, potrząsał ostrożnie każdym kolejno stawem swego ciała, by przekonać się, czy naprawdę rozbił się na czterdzieści kawałków, jak mu się wydawało.

Zrana czuł wprawdzie w całym ciele wielkie odrętwienie, ale jednocześnie rad był wielce wszystkim swoim czynom.

— Teraz muszę się rozprawić z Nagainą! Jest ona gorsza od pięciu Nagów razem wziętych... przytem nie należy czekać, aż z tych pięciu jajek, o których wspominała, wylęgną się młode nagusy. Dalibóg, trzeba iść i rozmówić się z Darzee'm.

I nie czekając śniadania pobiegł pod ciernisty krzak, na którym Darzee właśnie nucił w niebogłosy pieśń triumfu. Wieść o śmierci Naga już zdawna rozniosła się po całym ogrodzie, bo stróż wyrzucił cielsko gadu na śmietnik.

— Ach, ty durny kłębku pierza! — sarknął gniewnie Rikki-Tikki. — Czy to teraz czas na śpiewy?

— Nag zdechł... zdechł... zdechł!... — śpiewał Darzee. — Bohaterski Rikki capnął go za łeb i trzymał, co mocy. Duży człowiek przyniósł

grzmiący kij i rozplątał Naga na dwoje! Nag zdechł... zdechł!... Już nigdy nie będzie zjadał mych dziątek.

— Wszystko to mniej więcej prawda... Ale gdzie Nagaina? — zapytał Rikki-Tikki, rozglądając się ostrożnie wokoło.

— Nagaina podeszła do otworu w łazience i przywoływała Naga — śpiewał dalej Darzee. — I Nag wyszedł... ale na kiju. Stróż wziął go na kij i wyrzucił na kupę śmieci. Zaśpiewajmy więc pieśń o wielkim, krwawookim Rikki-Tikki!...

I zaczął śpiewać, ile mu tylko tchu stało w małym gardziółku.

— Gdybym potrafił wdrzeć się do twego gniazda, tobym ci powyrzucił wszystkie pisklęta! — zawołał Rikki-Tikki. — Nie umiesz niczego czynić we właściwym czasie! Ty tam się czujesz bezpieczny w swym gnieździe, ale mnie tu czeka walka. Przerwij na chwilę te śpiewy, mój Darzee!

— Na rozkaz wielkiego i pięknego Rikki-Tikki przerywam moje pienia! — oświadczył Darzee. — Czego życzysz sobie, zabójco straszliwego Naga?

— Pytam się już po raz trzeci: gdzie jest Nagaina?

— Na śmietniku koło stajni... oplakuje Naga. Wielki jest Rikki-Tikki o białych zębach...

— Ja ci tu pokażę białe zęby!... Czy ci wiadomo, gdzie ona złożyła jajka?

— Na grzędzie melonów w końcu ogrodu... pod murem, gdzie słońce dogrzewa niemal przez

dzień cały. Złożyła je tam przed trzema tygodniami...

— A tobie, łapserdaku, nigdy na myśl nie przyszło, by mnie o tem zawiadomić? Więc jak powiedziałeś? W końcu ogrodu pod ścianą?

— Rikki-Tikki, czy ty aby nie zamierzasz pozjadać tych jajek?

— Pozjadać, jak pozjadać... jeszcze się zobaczy, Darzee. Jeżeli została ci choć szczypta rozumu w głowie, to poleć do stajni, udając, że masz złamane skrzydło, zaprowadź Nagainę w stronę tego krzaka! Ja muszę się dostać na ową grzędę z melonami, a wężycha gotowa mnie zoczyć, gdy będę tam przechodził.

Darzee był to mały trzpiot i wartogłów, który w swjej lepetynie nie pomieścił więcej jak jedną myśl naraz — więc ponieważ wiedział, że dzieci Nagainy wylęgają się z jajek podobnie jak jego pisklęta, poczytywał ich zabijanie za rzecz niepiękną. Natomiast jego samiczka była mądrą ptaszyną i wiedziała, że młode, wylęgle z jajek kobry, wyrosną rychło na spore kobrżęta. W tej myśli odleciała od gniazda, pozostawiając na niem Darzeego, by ogrzewał pisklęta i nucił ciąg dalszy pieśni o zgonie Naga. Darzee pod niejednym względem był bardzo podobny do mężczyzny.

Doleciawszy do śmietnika, krawczykowa jęła fruwać przed Nagainą i wykrzykiwać:

— Oj, skrzydelko mam złamane, złamane! Brzydki chłopak, co mieszka w tym domu, przetrącił mi je kamieniem!

I trzepotała się i podlatywała niby to z wielką trudnością i rozpaczą. Nagaina podniosła łeb i zaszczala:

— Aha, tuś mi, ptaszyno! To tyś ostrzegła man-gusa Rikki-Tikki, gdy chciałam go zamordować! Doprawdy złe miejsce obrałaś na wywichnięcie sobie skrzydła!

I ruszyła za krawczykową, umykającą niezdarnie po piaskiem wysypanej ścieżce.

— Chłopak kamieniem przetrącił mi skrzydło!
— wrzasnęła krawczykowa.

— Dobrze, dobrze! Możesz się więc pocieszyć, że po twojej śmierci załatwię porachunki i z tym chłopcem. Mój mąż dziś spoczywa na śmietniku . . . Ale przed zapadnięciem nocy chłopiec będzie leżał nieżywy w tym oto domu. Co ci przyjdzie z uciezki? Jestem pewna, że cię i tak złapię! Przypatrz mi się, błaznico!

Krawczykowa ani nie myślała jej posłuchać, bo wiedziała doskonale, że ptak, co spojrzy w oczy węża, doznaje takiego przerażenia, iż nie może z miejsca się ruszyć. Przeto swiergolila żalośnie, podfrwała coraz to dalej, nie wzbijając się nigdy wysoko ponad ziemię. Nagaina, chcąc nie chcąc, z każdą chwilą zwiększyła chyżość pościgu.

Dosłyszawszy szelest ich posuwania się po ścieżce wiodącej od stajni, Rikki-Tikki pognął na grzędę melonów pod ogrodową ścianą. Tam w ciepłej mierzwie koło melonów znalazł dwadzieścia pięć nader sprytnie pochowanych jajek, które wielko-

ścią mało różniły się od kurzych, lecz po wierzchu zamiast skorupy miały białawą błonę.

— No, no! czas był wielki! — rzekł Rikki-Tikki sam do siebie, gdyż pod ową błoną zobaczył zwinęte małe kobra, a wiedział, że w chwili, gdy się wylęgną, będą zdolne uśmiercić zarówno człowieka jak i mangusa. Skwapliwie nadgryzał końce jajek, gruntownie przytem miażdżąc młode kobra i przetrząsając co pewien czas mierzwę, by sprawdzić, czy którego nie przeoczył. Wkońcu pozostały tylko trzy jajka i Rikki już zaczął podśmiewać się pod szczęciastym wąsem, gdy postyśzał przeraźliwy głos Krawczykowej, samicy Darzee'go:

— Rikki-Tikki! Rikki-Tikki! Chodź prędko! Prowadziłem Nagainę koło domu, a ona wpełzła na werandę i chce mordować! . . .

Rikki-Tikki zmiażdżył jeszcze dwa jajka — a trzecie porwał w zęby, zbiegł z niem z grządki i ledwie stopami tykając ziemi, popędził cwałem ku werandzie. Teoderek siedział wraz z rodzicami przy śniadaniu, — lecz Rikki-Tikki zauważył, że żadne z nich trojga nic nie jadło. Siedzieli nieruchomo, jakby skamienieli, a twarze mieli blade. Nagaina wiała się wzwyż spiralnie na rogoży koło Todziowego krzeselka — skąd każdej chwili mogła jednym skokiem dosięgnąć obnażonej nogi chłopca — i chwiejąc się raz w jedną raz w drugą stronę, nuciła pieśń triumfu:

— Stój s-s-s-pokojnie, synu dużego człowieka, który zabił mego Naga! — syczała. — Jeszczem

nie gotowa! Zaczekaj troszkę! Zachowujcie się bardzo spokojnie wszyscy troje! Uderzę na was, gdy się ruszycie... ale i gdy się nie ruszycie. O nierozsądni ludziska, którzyście zabili mego Naga!

Teoderek wlepił wzrok w ojca, a ojciec nie zdobył się na nic więcej, jak tylko na to, by szepnąć:

— Siedź spokojnie, Todziu! Nie ruszaj się! Spokojnie, Todziu!

W tejże chwili nadbiegł Rikki-Tikki i krzyknął:

— Wtył zwrot, Nagaino! Front do mnie... i broń się!

— Na wszystko przyjdzie kolej! — odpowiedziała wężycha, nie odwracając oczu. — Zaraz załatwię porachunki z wami wszystkimi! Przypatrz się swoim przyjaciółom, Rikki-Tikki: oto struchleli przede mną, zamilkli i pobladli... i nie śmieją nawet się poruszyć. Jeżeli przystąpisz choć o krok bliżej, rzucę się na nich!

— A ty popatrz, co się dzieje z jajkami na grzędzie melonów pod murem! Idź i popatrz, Nagaino!

Nagaina zerknęła poza siebie i ujrzała jaje, leżące na werandzie.

— Och! Oddaj mi je zaraz! — syknęła.

Rikki-Tikki osłonił jaje przedniemi łapami, a oczy krwią mu nabiegły.

— Oho! Darmo nie oddam! A na ile oceniasz to jaje?... tę młodą kobrę... ostatnią nadzieję królewskiego rodu okularników?... Tak, ostatnią! Resztę twego potomstwa właśnie w tej chwili po-

zerają mrówki koło grządki melonów! Hej! po czemu jajko, mościa pani?

Nagaina wykonała już całkowity obrót wtył, zapomniawszy o wszystkim w świecie i myśląc jedynie o ratowaniu ostatniego żmijątka. Rikki-Tikki doznał ulgi — widząc jak ojciec Todzia pospiesznie wysunął muskularną dłoń, pochwycił chłopca za ramię i przyciągnął go w bezpieczne miejsce poza małym stoliczkiem zastawionym filiżankami, gdzie już nie mogła go dosięgnąć Nagaina.

— Zyg! zyg! zyg!... *Rik-tik-tik!* — rechotał złośliwie Rikki-Tikki. — Chłopak zdrów i żyw! Zyg! zyg! zyg! A wiesz, kto to chwycił Naga za łeb dziś nocą w łazience? To ja! to ja! to ja! Tak! tak! tak! *Rik-tik-tik!*

Zaczął podskakiwać wszystkimi czterema łapami naraz, trzymając jednak pysk wciąż przy ziemi.

— Tak! tak! Rzucal mną to wtył to wprzód, ale nie mógł mnie zrzucić. Zczeżł marnie, jeszcze zanim duży człek rozplatał go wpół! Za moją to stało się przyczyną! *Rikki-tikki-t-k-t-k!* Pójdź, pójdź, Nagaino! Nie wzbraniaj się walczyć ze mną! Krótki będzie czas twego wdowieństwa!

Nagaina spostrzegła, że wymknęła jej się sposobność zabicia Teodorka, a o wyrwaniu jajka z łap Rikkiego ani marzyć nie można było.

— Oddaj mi to jajko, Rikki-Tikki. Oddaj mi ostatnie z moich młodych, a pójdę sobie precz i nigdy nie powrócę! — odezwała się, pochylając głowę.

— Tak! zaiste pójdziesz precz i nigdy nie wrócisz... bo pójdziesz na śmietnik, gdzie spoczął twój małżonek Nag! Stawaj do walki, wdowo po okularniku! Duży człowiek poszedł po strzelbę! Stawaj do walki!

To mówiąc, Rikki-Tikki skakał wciąż dokoła Nagainy, nie zbliżając się jednak do niej zbyt — a ślepią jego rozgorzały jak dwa węgielki. Nagaina zebrała się w sobie i rzuciła się na niego — on jednak dał susa w górę i w tejże chwili znalazł się na jej tyłach. Kilkakrotnie jeszcze ponawiała cios — za każdym razem łeb jej opadał ze stukiem na rogozę werandy, jednakże po chwili już podbijała się w górę jak sprężyna; wówczas Rikki-Tikki kołował boczkami, by obejść ją z tyłu, zaś Nagaina kręciła się w kółko, by mieć wroga wciąż przed oczyma, a ogon jej szeleścił po rogoźce, niby zeschnięte liście gnane wiatrem.

Zajęty walką, Rikki zapomniał o jajku, leżącym na podłodze werandy, natomiast Nagaina miała na nie baczne oko, przysuwając się doń coraz bliżej i bliżej; wkońcu upatrzywszy dogodną sposobność, gdy Rikki-Tikki zatrzymał się na chwilę by odsapnąć, porwała je prędko w paszczę, ześliznęła się ze schodów werandy i lotem strzały pomknęła po ścieżce, uchodząc przed pościgiem Rikkiego. Okularnik ratujący ucieczką swe życie pędzi tak szybko, jakby ktoś biczem śmignął koło końskiej szyi.

Rikki-Tikki wiedział, że musi dogonić Nagainę, bo w przeciwnym razie trzeba będzie znów roz-

poczynąć od nowa cały ambaras. Nagaina skierowała się prosto ku bujnej trawie pod ciernistym krzakiem, a Rikki, przebiegając tamtędy, posłyszał zwrotkę głupiutkiej piosenki triumfu, wciąż jeszcze śpiewanej przez krawczyka Darzee. Ale krawczykowa okazała się znacznie mądrzejsza od swego męża. Widząc zbliżającą się Nagainę, wyleciała z gniazdka i poczęła trzepotać skrzydełkami nad jej głową. Gdyby Darzee zechciał jej w tem pomagać, napewnoby wspólnemi siłami zawrócili z drogi gadzinę; tak zaś Nagaina tylko nachyliła kaptur i pędziła dalej. Wszelakoż ta chwila zwłoki wystarczyła, by Rikki-Tikki mógł nadążyć za swą ofiarą — i gdy Nagaina wpadła do szczurzej jamy, stanowiącej mieszkanie jej i jej nieboszczyka męża, drobne i białe ząbki mangusa wpiły się w jej ogon — tak iż on sam znalazł się w jamie pospołu ze swą nieprzyjaciółką. Rzadko który ichneumon — choćby i stary wyga w swym zawodzie — odważy się wejść za okularnikiem do jego nory, bo tam panuje ciemność zgoła nieprzebita; przeto Rikki-Tikki nie mógł zmierkować, czy nie było tam jakich szerszych zakątów, gdzie Nagaina zdołałaby się odwrócić i uderzyć nań nagłym ruchem wstecznym. Trzymał się przeto zawzięcie jej ogona i wyrzucał nogi wszerek, czyniąc z nich coś w rodzaju hamulca przy spuszczeniu się z ciemnej oślizgłej pochyłości.

Naraz trawa koło wylotu jamy przestała się poruszać, a Darzee zawołał boleściwym głosem:

— Zginął! zginął! Rikki-Tikki! zginął! Zanućmy mu tren żałobny. Bohaterski Rikki już nie żyje! Nagaina napewno zamorduje go w tym lochu podziemnym.

I zaczął śpiewać utworzoną naprędce piosenkę o bardzo żalösnej nucie — ale gdy doszedł do najbardziej wzruszającej zwrotki, nagle trawa znów się poruszyła i z jamy wygramolił się umorusany i zakurzony Rikki-Tikki, oblizując sobie wąsy.

Darzee przerwał piosenkę i wydał stłumiony okrzyk, a Rikki-Tikki otrząsnął z kurzu futerko i kichnął.

— Już po całej awanturze! — odezwał się. — Już zmiisko nigdy nie wyjdzie z tej jamy!

Posłyszały to mrówki czerwone, żyjące wśród wysokich źdźbeł trawy i zaczęły jedna po drugiej zlaźić w norę, by przekonać się, czy Rikki powiedział prawdę.

A Rikki-Tikki zwinął się w kłębek i zasnął w trawie i spał, spał, spał aż do samego wieczora, bo uporał się z ciężką zaiste robotą.

— Czas do domu, czas! — powiedział sobie, gdy się ocknął. — Darzee, opowiedz rzecz całą Kotlarczykowi, a on już rozgłosi po całym ogrodzie, że Nagaina nie żyje!

Kotlarczykiem zwie się ptak, który czyni taki hałas, jakgdyby ktoś walił młotkiem w kocioł miedziany; dlatego to jest on nadwornym krzykaczem każdego ogrodu w Indjach, rozpowiadającym każdemu, kto ciekaw, wszelkie plotki i no-

winy. Gdy Rikki-Tikki przechodził ścieżką, po-
słyszał rzucone przezeń hasło: „Baczność!“ brzmiące
jak mały dzwonek zwołujący na obiad — poczem
rozbrzmiały mocniejsze już tony:

— Brzęk! Brzęk! Brzęk! Stuk, stuk! Nag już
zdechł! Brzęk! Brzęk! Brzęk! Nagaina zdechła też!
Brzęk! Brzęk! Stuk!

Na to hasło rozśpiewały się wszystkie ptaki
w ogrodzie i wszystkie żaby poczęły rechotać ra-
dośnie — albowiem Nag i Naina zjadali nietylko
pisklęta ale i żaby.

Gdy Rikki przybył do domu, wyszedł na jego
spotkanie Teoderek wraz ze swym tatusiem i ma-
musią (wciąż jeszcze bladą, bo niedawno dopiero
ocuciono ją z omdlenia) — i wszyscy troje witali
go niemal ze łzami w oczach, a z głośnym krzy-
kiem. Na kolację jadł wszystko co mu podano,
a najadłszy się do syta, poszedł do Todziowego
łóżka i spał razem z chłopcem. Tu zobaczyła go
matka Teodorka, gdy weszła późną nocą, by do-
glądać swego synka.

— On ocalił nas oboje i Todzia — odezwała się
do męża. — Pomyśl sobie tylko . . . on ocalił nam
życie!

Mangusy śpiąją bardzo czujnie, więc Rikki-
Tikki, posłyszawszy szmer, zerwał się na równe
nogi:

— Aha, to państwo! — mruknął. — Nie macie
czego się lękać! *Wszystkie* kobry już wyzdy-
chały . . . a gdyby nawet jeszcze jaki gad się zjawił,
to przecie nie od parady tu jestem!

Dumny był z siebie Rikki-Tikki — i miał do tego zupełne prawo. Wszakże nigdy nie stał się hardy i zarozumiały. Wiernie i czujnie stał na straży ogrodu, zawsze gotów do skoku, zawsze gotów zatopić kły w ciele nieproszonego gościa. To też wkońcu żaden okularnik nie odważył się wtknąć głowy w obręb murów mieszkalnych i ogrodu

PIEŚŃ, KTÓRĄ ŚPIEWAŁ DARZEE NA CZEŚĆ
RIKKI-TIKKI-TAVI.

Jestem i krawiec i śpiewak;
Z dwóch rzeczy radbym się puszył:
Z pieśniarskich triumfów i przewag
I z domku, com sobie go uszył.
To wdół, to w górę — tak splatam mą piosnkę,
tak splatam mój domek, com sobie go uszył!

Mateńko, wznies głowę do góry,
Znow piosnki nuć dla swej dziatwy!
Zmarł Śmierci upiór ponury,
Dręczyciel nasz leży już martwy.
Strach, który krył się wśród róż w ogrodzie,
dziś jest bezsilny, rzucony w śmieci i martwy!

Któż naszym wybawcą? Jak zwie się?
Z jakich pieleszy i kwater?
Rikki, co w oczach żar niesie —
Tikki, przesławny bohater, —
Rik-Tikki-Tikki, co klami błyska białemi.
łowca, co w oczach żar niesie!

Darz go ptaszczęą podzięką,
Roztocz swe pióra w ognie!
Sław go słowiczą piosenką — —
Nie! lepiej... ja pieśnią zadzwonię!
Słuchaj! Zaśpiewam ci chwałbę
szczęciastoogoniastego Rikki, co ogniem z ocz
zionie!

*(Tu przerwał mu Rikki-Tikki-Tavi — i reszta
pieśni przepadła.)*

TOOMAI, DRUH SŁONI

Przypomnę sobie, ktom ja zacz! Już dość tych pęt i więz!

Przypomnę sobie dawną moc i życie pośród kniej!

Przestaneę giąć przed ludźmi kark za marny chleba kęs!

Powrócę do puszczańskich leż i do rodziny mej!

Nim dzień, nim świt, odejdę precz w rozległą wolną dal!

Niech mnie całuje rzeźwy wiatr, niech pieści kryształ
wód!

Żelazną obręcz zrzucę z nóg i skruszę twardy pal!

Odwiedzę wolnych druhów mych — i to, com kochał
wprzód!...

Słoń Kala Nag (nazwisko to znaczy tyle co Czarny Wąż) już od czterdziestu siedmiu lat pozostawał w służbie Rządu Indyjskiego — i nie obcą mu była żadna z czynności, żadne z zadań, jakich wykonanie porucza się słoniom. Ponieważ zaś w chwili schwytania liczył sobie dwudziestkę lat z okładem, przeto obecnie dobiegał już siedmiu krzyżyków — co u słoni nazywa się „wiekiem dojrzałym“. Pamięcią swoją obejmował jeszcze owe czasy, gdy przywiązaną do czoła grubą skórzaną poduszką trykał w lufę wielkiego działa, by je wydobyć z głębokiego błota, w którym ugrzęzło. Było to przed wojną afgańską, która toczyła się w r. 1842, — z jemu wtedy było jeszcze daleko do pełni sił młodzieńczych. Jego matka,

Radha Pyari*) — po naszymu Radha-Ulubienica — schwytana w tej samej obławie co i Kala Nag, opowiedziała mu, zanim jeszcze stracił mleczne zęby, że słonie, które się boją, zawsze źle wychodzą na swej bojaźni. Kala Nag rychło przekonał się o słuszności tej przestrogi, bo gdy wśród wielkiego wrzasku cofnął się przed ujrzanym go raz pierwszy w życiu granatem, natknął się na sterzące rzędem karabiny i pokłuł sobie na bagnetach najczulszą część swego ciała. Nim więc ukończył lat dwadzieścia pięć, pozbył się wszelkiej trwogi — i odtąd żaden słoń, pozostający w służbie Rządu Indyjskiego, nie cieszył się równie wielkimi względami i powszechną sympatją. On to dźwigał stopy namiotów, łącznej wagi 1500 funtów, podczas marszu przez Górne Indje. Z pomocą parowego dźwigaru wsadzono go na okręt, aż po wielodniowej przeprawie przez słoną wodę wylądował daleko od Indyj, w jakiejś obcej i skalistej krainie, gdzie mu kazano dźwigać na grzbiecie armatę; w Magdali oglądał zwłoki cesarza Teodora, poczem na pokładzie parowca powrócił do Indyj, dosłużywszy się — jak mówili żołnierze — medalu za wojnę abisyńską. W dziesięć lat później widział, jak w miejscowości zwanej Mazdzyd rzesze druhów słoni marły z głodu i chłodu, udaru słonecznego i padaczki. Następnie posłano go parę tysięcy mil na południe, do składu drzewa w Moulmein, gdzie musiał dźwigać i układać na stosie olbrzymie

*) Czyt. Pajari.

kłody tekki*). Tam razu pewnego o mało co nie zabił krnąbrnego słonia-młodzika, którzy wzbraniał się wykonywać przypadającą nań pracę.

Wówczas zabrano go od tej roboty i użyto — wraz z kilkudziesięcioma innymi słoniami — do obławy na dzikich pobratymców w górach Garo. Słonie zostają pod nader ścisłą ochroną Rządu Indyjskiego. Stworzono nawet specjalny departament, który nic innego nie robi, tylko poluje na te zwierzęta, chwytą je, tresuje i rozsyła po całym kraju, w miarę zapotrzebowania na roboty.

Kala Nag mierzył w łopatkach dobre dziesięć stóp wysokości, a kły miał obcięte na pięć stóp i ujęte na końcach w miedziane obręcze, celem zapobieżenia pęknięciom, jednakże temi obławkami potrafił dziać więcej, niż niejeden nietresowany słoń, posiadający kły ostre i nieuszkodzone.

Całymi tygodniami prowadzono zmusną obławę na słonie rozproszone po górach, a gdy już udało się zapędzić czterdzieści lub pięćdziesiąt olbrzymów do ostatniej zagrody i gdy potężne spuszczone wrota, zrobione ze zbitych z sobą kłód drzewnych, z trzaskiem opadły poza przybyszami, Kala Nag na daną komendę wchodził w sam środek tego rozwścieczonego i wniebogłosy trąbiącego piekła (zazwyczaj bywało to nocą, gdy migoty pochodni utrudniają ocenę odległości), dopadłszy zaś największego i najdzikszego zębacza z całej gromady,

*) Twarde drzewo, rosnące w Indjach, używane do budowy okrętów (Ang. teak).

póty go tłukł i kuksał, póki ten nie stał się potulny, jak baranek; tymczasem ludzie siedzący na innych słoniach, rzucali pętlice i krępowali pomniejszych zwierzęta.

Nie było takiego sposobu walki, któregooby nie znał i nie wypróbował stary i mądry Czarny Wąż, Kala Nag. Nieraz naraził się na napad ze strony zranionego tygrysa — i podwinąwszy trąbę, by uchronić ją od okaleczenia, nagle, wynalezionym przez siebie sierpowatym rzutem głowy przewracał bestję na bok jeszcze podczas skoku, a zwaliwszy go na ziemię, klękał na nim i póty go dusił swemi potężnymi kolanami, aż bestja wśród wycia i charkotu wydała z siebie dech ostatni i na ziemi spoczęła jakaś bezkształtna pręgowana masa, którą Kala Nag mógł spokojnie wlec za ogon.

Jego poganiacz, Duży Toomai*), syn Czarnego Toomai, który prowadził go do Abisynji, a wnuk Toomai'go, Opiekuna słoni, który był świadkiem jego pojmania, nieraz mawiał:

— Tak, tak! Czarny Wąż nie lęka się nikogo i niczego, oprócz mnie. Widział już trzy nasze pokolenia, które go żywiły i obrządzały, a jeszcze ze cztery pokolenia przeżyje napewno.

— Oho! on się i mnie też boi — odpowiadał Mały Toomai, prostując się dumnie na całą wysokość czterech stóp swego wzrostu, okrytego jednym tylko strzępkiem odzieży. Liczył on sobie lat dziesięć i był najstarszym synem Dużego Toomai, więc zgodnie z tradycją winien był — z chwilą

*) Czyt. Tume.

dojścia do lat męskich — zająć miejsce swego ojca na grzbiecie Kala Naga i objąć godło swej władzy — ciężki żelazny *ankus**), czyli bodziec do poganiania słoni, stępiony i starty przez ojca, dziada i pradziada. Słów swych nie rzucił po próżnicy — wszak wzrósł w cieniu Kala Naga, i jeszcze zanim począł raczkować, bawił się końcem jego trąby; Kala Nagowi nigdyby nawet nie przyszło na myśl nie usłuchać jego piskliwych rozkazów, podobnie jak nigdy nie przyszłoby na myśl zabić owo małe brunatne bobo, które Duży Toomai przyniósł mu kiedyś przed paszczkę, przykazując mu, by w tem dziecku powitał swego przyszłego pana.

— Tak! — powtórzył Mały Toomai. — On się mnie boi!

To rzekłszy, podszedł wielkimi krokami do Kala Naga, nazwał go starym tłustym wieprzem i kazał mu podnosić jedną nogę po drugiej.

— No! No! Duże z ciebie słonisko! — odezwał się Mały Toomai i pokiwał kędzierzawą głową, naśladowując gest i sposób wyrażania się ojca. — Wprawdzie rząd łoży na utrzymanie słoni, ale one należą do nas, mahoutów**). Gdy się zestarzejesz, Kalu Nagu, przyjedzie jaki bogaty radża, i widząc twą wielkość i twe obyczaje, kupi cię od rządu. Wtedy nie będziesz miał nic do roboty, jak tylko nosić złote kolczyki w uszach, złoty *howdah****) na grzbiecie, a po bokach czerwony czaprak przety-

*) Czyt. *ankas*.

***) Mahout (czyt. mahau't) — poganiacz słoni.

****) Czyt. *haudah* — palankin, siedzenie na kilka osób.

kany złotem, i kroczyć na czele pochodów królewskich. Wtedy będę siedział na twym karku, Kala Nagu, trzymając w ręce srebrny *ankus*, a przed nami bieć będą gońcy ze złotemi laskami, wołając: „Miejsce dla słonia królewskiego!“ Piękna to będzie chwila, Kala Nagu, ale nie tak piękna jak twoje lowy w kniejach.

— Hm! — mruknął Duży Toomai. — Jesteś jeszcze młokosem, rozbrykanym jak młody byczek. To uganianie tam i sam po górach nie jest najlepszym zajęciem, jakie mieć można w służbie rządowej. Jestem już stary i nie lubię dzikich słoni. Wolalbym murowaną stajnię z osobną przegrodą dla każdego słonia, wielkie pale, do których można bezpiecznie je przywiązać, i szerokie, równe gościńce, na którychby można było je ujeżdżać, zamiast tłuc się po różnych wertepach. Ach, jakże miło było w koszarach w Cawnpore! Mieliśmy tam tylko trzy godziny zajęć dziennie... a bazar tak był bliski!

Mały Toomai miał w pamięci kwaterę słoniów w Cawnpore — więc nie odzywał się ani słowem. W jego pojęciu nie było, jak życie w obozie i łazęga! Wstrętem go przejmowały te szerokie, ubite gościńce, to codzienne wydawanie porcyj paszy przez furazerów, i te długie godziny, kiedy nie było co robić, jak tylko przyglądać się Kala Nagowi, kręcącemu się nieswojo w zagrodzie.

Oto, co przypadało do gustu Małemu Toomai: spinanie się po ścieżkach górskich, gdzie jeno słon potrafił się wdrzeć; złażenie w przepastną głąb

dolin; wypatrywanie słońi pasących się o całe mile opodal; szelest przerażonego warchlaka lub pawia wymykającego się z pod stóp Kala Naga; oszalałmiające ciepłe ulewy, zakrywające świat bijącym z dolin oparem; przepiękne mgliste poranki, kiedy to nikt nie zdaje sobie sprawy, gdzie na noc stanie obozem; uporczywy, ostrożny pościg za dzikimi słońiami — a wreszcie szalony rwetes, oślepiający blask i ogłuszająca wrzawa ostatniej nocnej obławy, kiedy słońie, niby kamienie oberwane z wieszaru, z rozpędem wlatują w obręb zagrody, a widząc, że nie potrafią się wydostać z zamknięcia, rzucają się z rozpaczą na ciężkie pale częstokołu — po to tylko, by cofnąć się przed krzykami naganiacza, przed rażącym blaskiem pochodni i hukiem ślepych naboii.

Nawet najmniejszy chłopak mógł się przydać w tej nagonce — a Toomai starczył za trzech chłopców. Nieraz brał w ręce pochodnię, wymachiwał nią na wszystkie strony i wtórował wrzaskiem gromadzie. Atoli szczytem rozkoszy była zawsze ta chwila, gdy zaczynał się przegon słońi, gdy Keddah — czyli zagroda — wyglądem swym przypominała obraz sądu ostatecznego, a ludzie musieli porozumiewać się na migi, bo słów nikt nie mógł dosłyszeć w opętańczym zgiełku. Wówczas mały Toomai wdrapywał się na wierzchołek jednego z chwiejących się kół palisady; zrudziałe od słońca kasztanowate włosy rozsypywały się po ramionach chłopaka, upodabniając go w poblasku pochodni do czarnego djablaka. Ilekroć wrzawa

niecو przycichła, ponad trąbieniem i skowytem pętanych słoni, ponad szczękiem łańcuchów i trzeszczeniem palisady słychać było piskliwy głosik dodający zachęty Kala Nagowi:

— *Mail, mail, Kala Nag!* (Naprzód, naprzód, Czarny Wężu!) *Dant do!* (Dźgnij go kłami!) *Somalo! Somalo!* (Ostrożnie! ostrożnie!) *Maro! Maro!* (Wal w niego, jak w bęben!) *Uważaj na pal! Arre! Arre! Hai! Yaj! Kya-a-ah!**

Tak krzyczał; tymczasem Kala Nag toczył zawzięte boje z dzikim słoniem, uganiając za nim po całej Keddah, a starzy pogromcy słoni, ocierając pot zalewający im oczy, znajdowali przecie niekiedy chwilę czasu, by skinąć przyjaźnie ręką małemu Toomai, ledwo mogącemu z radości usiedzieć na słupie.

Ale nie dość jeszcze mu było tej uciechy! Pewnej nocy ześliznął się ze słupa, przemknął się pośród słoni i pochwyciwszy upuszczony koniec sznura, rzucił go poganiaczowi, który daremnie silił się zarzucić pętlę na nogę młodemu wierzgliwemu słonięciu (wiadomo, że z młodzikami zawsze bywa więcej kłopotu niż z dorosłemi stworzeniami). Kala Nag, spostrzegłszy to, ujął go w trąbę i podał Dużemu Toomai, który wymierzywszy chłopcu parę klapsów w odpowiednią część ciała, usadowił go zpowrotem na palisadzie. Nazajutrz sprawił mu tęgą burę:

— Już ci nie wystarczają porządne murowane koszary i noszenie namiotów, smarkaczu? Za-

*) Czyt. Hej! Jej! Kaj-a!

chciało ci się uprawiać na własną rękę łowy na słonie? Masz teraz za swoje! Durni naganiacze, pobierający płacę mniejszą od mojej, donieśli o twoich sprawkach Sahibowi Petersenowi.

Mały Toomai przeraził się nie na żarty. O białych ludziach wprawdzie wiedział niewiele, ale sahib Petersen był w jego oczach największym ze wszystkich sahibów pod słońcem. Był to generałny inspicjent i zwierzchnik wszystkich Keddah w całych Indjach; miał on nadzór nad wszelkimi obławami na słonie, przedsiębranymi z ramienia rządu angielskiego, przeto nikt w świecie nie znał się równie wybornie na sprawach i obyczajach tych zwierząt.

— I co . . . co z tego wyniknie? — zapytał Mały Toomai.

— Co wyniknie?! Wyniknie, co tylko być może najgorszego. Petersen Sahib to istny warjat, bo jakże sobie inaczej wytłumaczyć jego upodobanie w łowach na te dzikie bestje? Kto wie . . . może zażąda, byś został naganiaczem, sypiał na gołej ziemi w nasiąkłych zarazą ostępach dżungli, a wkońcu zginął, stratowany przez słonie w Keddah! . . . Dobrze, jeżeli wyjdziemy cało z tej awantury! Za tydzień skończą się łowy i my, mieszkańcy dolin, wrócimy do naszych sadyb. Będziemy wówczas maszerowali po gładkich gościńcach i puścimy w niepamięć wszelkie łowy. Ale za złe mam tobie, synku, że chcesz parać się robotą, która przystoi jedynie mieszkańcom dżungli, brudnym Assamczykom. Ja to co innego! Muszę wchodzić z Kala Nagem do

Keddy, bo on prócz mnie nie usłuchałby nikogo. Ale Kala Nag jest tylko wojownikiem, a nie rakarzem, co łapie zwierzęta na postronek. Dlatego też i ja siedzę sobie wygodnie na jego grzbiecie, jak przystało na mahouta... nie byle jakiego łowcę, lecz mahouta... człowieka pobierającego stałą pensję na schyłku swej służby. Czyżby ród Słonia-rza Toomai upadł aż tak nisko, by miał być dep-tany stopami zwierząt w zagnojonej keddah? Ga-ganie! Nicponiu! Wyrodny synu! Ruszaj mi natych-miast szorować Kala Naga... a obejrzyj mu uszy i powyjmuj ciernie, jakie powbijały mu się w sto-py... bo Petersen Sahib gotów jeszcze mi cię cap-nąć i zrobić z ciebie dzikiego łowcę... niedź-wiadka leśnego... tropiciela słoni! Fe! Wstyd! Ruszaj mi zaraz do roboty!

Mały Toomai odszedł, nie mówiąc ni słowa, lecz gdy znalazł się sam na sam z Kala Nagiem i zaczął oglądać jego stopy, nie omieszkał zwierzyć mu się ze wszystkich swych zmartwień.

— Ale furda wszystko! — zakończył, podno-sząc w górę małżowinę olbrzymiego uszyska Kala Naga. — Imię moje już jest wiadome sahibowi Petersenowi... i może... może... może... kto wie? Hej! Ależ wielki cierń wyciągnąłem!

Przez kilka dni następnych spędzano słonie na jedno miejsce i rozpoczęto tresurę świeżo pojma-nych dzikich zwierząt — przeprowadzając kolejno każde z nich pomiędzy dwojgiem oswojonych, by zawczasu ustrzec się zbytnich z nimi kłopotów w czasie pochodu ku równinom. Sporo też czasu

zabrało gromadzenie i przeliczanie derek, sznurów i innych sprzętów, zniszczonych lub pogubionych w lesie.

Sahib Petersen przyjechał na grzbiecie Pudmini, wielce mądrej i zręcznej słonicy. Ponieważ okres łowów miał się już ku końcowi, przeto w innych obozowiskach śródgórskich uporano się już z wyplatą, a teraz przyszła kolej na drużynę, w której był Toomai. Rachmistrz-krajowiec zasiadł pod drzewem i wypłacał należności naganiaczom; kto otrzymał wynagrodzenie, wracał do szeregu i stawał przy swym słoniu, gotów do drogi. Myśliwi, szczwacze, pułapnicy, naganiacze i inni ludzie, stanowiący obsługę głównej keddy, coroczni bywalcy łowów puszczańskich, jedni siedzieli na grzbietach słońi, należących do stałej świty Petersena, drudzy, przewiesiwszy strzelby przez plecy, stali oparci o drzewa i podrwiali sobie z najemnych poganiaczy, odchodzących ze służby, lub zanosili się od śmiechu, gdy któryś z świeżo pojmanych słońi wyłamał się z szeregu i biegał jak opętany wokół.

Gdy Duży Toomai, wiodąc za sobą małego Toomai, podszedł do kasjera, pierwszy z tropicieli, Machua*) Appa, odezwał się półgłosem do jednego ze swych przyjaciół:

— Ten chłopak co idzie, to materiał na przepyszne słoniarza. Szkodaby wysyłać tego młodego cietrzewia na równiny . . . zmarnuje się na nic!

Sahib Petersen, spoczywając na grzbiecie swej Pudmini, słyszał wszystko, co działo się wokół nie-

*) Czyt. Maczua.

go, bo miał słuch niezwykle wyczulony, jak każdy człowiek, który podsłuchuje najbardziej skryte i milczące istoty pod słońcem — dzikie słonie. Odwrócił się przeto ku rozmawiającym i zagadnął:

— Co tam bajacie! Nie zdarzyło mi się jeszcze wśród dólskich chłopów spotkać poganiacza, któryby był zdolny spętać choćby zdechłego słonia!

— To nie chłop, ale chłopiec — odrzekł Machua Appa. W czasie ostatniej obławy zszedł do keddy i rzucił powróż Barmańczykowi, gdyśmy usiłowali odłączyć od matki to młode słonie z latką na grzbiecie.

Sahib Petersen spojrział bystro na chłopca, a Mały Toomai skłonił się do samej ziemi.

— To on rzucił powróż? — zdziwił się Sahib Petersen. Ależ to bobo mniejsze od kołka w płocie! Jak się nazywasz, małeńki?

Zbyt wielkie było przerażenie Małego Toomai, by mógł zdobyć się na odpowiedź. Całe szczęście, że Kala Nag stał tuż poza nim. Na znak dany przez starego Toomai słoń trąbą pochwycił chłopca i podniósł go na wysokość czoła Pudmini. Mały Toomai, znalazłszy się nawprost wielkiego sahiba Petersena, zakrył twarz rękami, był bowiem jeszcze dzieckiem i okazywał wobec wszystkich — z wyjątkiem słońi — prawdziwie dziecięcą nieśmiałość.

— Oho! — odezwał się sahib Petersen, uśmiechając się pod wąsem, — w jakimże celu nauczyłeś swego słonia tej sztuki? Czy na to, by pomagał ci kraść zieloną kukurydzę, suszącą się na dachu?

— Nie zieloną kukurydzą, Obrońco Uciśnionych, ale melony! — odpowiedział Mały Toomai, zacinając się.

Wszyscy mężczyźni, siedzący wokół, wybuchnęli gromkim śmiechem. Większość z nich nauczyła swoje słonie tej sztuczki, gdy jeszcze byli chłopcami. Mały Toomai, który znajdował się na wysokości ośmiu stóp ponad ziemią, pragnął z całego serca, by mógł znaleźć się tyleż stóp pod ziemią.

— To mój syn Toomai, sahibie — odezwał się Duży Toomai, patrząc z podoba. — Jest to bardzo niedobre chłopczyśko, które napewno kiedyś skończy w więzieniu, sahibie.

— Co do tego mam pewne wątpliwości — odparł Sahib Petersen. — Chłopak, który w tym wieku miał natyle odwagi, by zmierzyć się z całą Keddą, nie zgnije w więzieniu. Naści tu cztery anny, chłopczyku, bo widzę, że pod tą strzechą kudłów masz nieglupią lepetę. Zczasem i ty wyrośniesz na dzielnego myśliwca.

Duży Toomai sposepniał jeszcze bardziej.

— Pamiętaj jednak — ciągnął dalej sahib Petersen, — że Keddah nie jest dla małych dzieci odpowiedniemi miejscem do zabaw.

— Czy mi nigdy nie wolno do niej wejść, sahibie? — zapytał Mały Toonai, rozwarłszy szeroko buzię.

— Tak! — uśmiechnął się sahib Petersen. — Chyba że zobaczysz taniec słoni... Wtedy poznasz, że nadeszła odpowiednia pora. Gdy zoba-

czysz taniec słoni, przyjdź do mnie, a ja ci pozwolę wchodzić do każdej Keddah.

Nowy śmiech gruchnął pomiędzy zebranymi, albowiem w słowach sahiba krył się żart, znany wszystkim oddawna. „Przyjdź do mnie, gdy ujrysz taniec słoni“ znaczy w języku myśliwskim tyle samo, co „nie przychodź wcale!“ Kędyś w głębi kniej są przestronne i jasne polany, zwane „salami balowemi słoni“ — atoli odkryć je można tylko przypadkiem; co się tyczy tego tańca słoni, to podobno nikt z ludzi jeszcze go nie oglądał. Jeżeli który z poganaczy przechwala się odwagą i zręcznością, kamraci szydzą z niego:

— A czy widziałeś kiedy taniec słoni?

Kala Nag postawił małego Toomai zpowrotem na ziemi. Chłopak znów złożył niski ukłon i odszedł za ojcem. Cztery anny, otrzymane od sahiba, dał matce, która właśnie piastowała małego braciszka. Cała rodzina wsiadła na grzbiet Kala Naga — a niebawem długi szereg słoni wśród pochrząkiwań ruszył ścieżką górską ku równinom. Pochód był bardzo ożywiony ze względu na świeżo schwytane słonie, które trzeba było co chwilę przynaglać biciem lub pochlebstwem. Zwłaszcza przy przechodzeniu brodów bywało z niemi zawsze dużo kłopotu.

Duży Toomai zawzięcie dźgał Kala Naga ościem i fukał głośno, bo był rozgniewany okrutnie, — Mały Toomai natomiast przez długi czas nie odzywał się ani słowem, bo wprost oniemiał ze szczęścia: oto sahib Petersen zwrócił nań uwagę

i obdarzył go pieniędzmi! Malec czuł się tak, jak szeregowiec wywołany przed front i wyróżniony pochwałą przez samego wodza naczelnego.

— Co miał na myśli sahib Petersen, mówiąc o tańcu słoni? — zapytał nakoniec matkę.

Pytanie to było wypowiedziane głosem bardzo cichym, jednakże posłyszał je Duży Toomai i burknął:

— Chcesz wiedzieć, co miał na myśli? Nic innego, tylko że nigdy nie będziesz tropicielem słoni, takim jak ci durni górale... i nie powinieneś sobie tem głowy zaprzętać... Hej! a któż to zatarasował nam drogę na przodzie? Żeby was...!

Jeden z assamskich poganiaczy, kroczący o kilkanaście kroków przed nim, odwrócił się i zawołał z gniewem:

— Hej! Przyprowadź tu do mnie Kala Naga, żeby nauczył tego młodzika, jak się ma zachowywać! Oj, za jakież to moje grzechy sahib Petersen kazał mi iść z wami, wy dólskie osły, zjadacze ryżu! Nuże, Toomai! Przyprowadź tu prędzej swego zwierza... Niech-no poszturcha troszkę tego bęcwała, a klów nie żałuje! Na wszystkich bożków górskich! Albo te nowe słonie się powściekały albo zwietrzyły swoich pobratymców w kniei!

Kala Nag grzmotnął młodego słonia w zebra i wyгнаł z niego wszystkie fochy, a Duży Toomai odezwał się:

— Bogać tam znajdziesz dziś dzikiego słonia w kniei! Oczyściliśmy z nich dokumentnie wszystkie góry podczas ostatnich lowów!... A że

młodziki się rozbrykały, to tylko wasza wina; nie umiecie ich poganiać, niedołęgi! Czy tylko ja jeden mam utrzymywać porządek w całym pochodzie?

— Słuchajcie! słuchajcie! — zadrwił poganiacz. — Powiada, że to *oni* oczyścili wszystkie góry. Ha! ha! ha! Mądrzyście, moi dółscy ludkowie! Niema co mówić! Prócz tych kpów, którzy nigdy nie widzieli puszczy, każdy chyba rozumie, że dzikie słonie dobrze wiedzą o zakończeniu łowów... Dlatego też dziś nocą wszystkie urządzają... urządzają... ale na co się przyda klarować wszystko po próżnicy tym dudkom nadrzecznym?

— Co one urządzają? — zawołał Mały Toomai.

— Ohe, mój mały! Toś ty tu? Tobie to powiem, bo poznałem, że głowę nosisz nie od parady! Dziś nocą słonie urządzają wielki taniec, więc twój ojczulek, który tak dokumentnie ogołocił ze słoni wszystkie góry, powinien opatrzyć podwójnym łańcuchem każdy z kołów palisady.

— Cóż to za brednie! — sarknęła Duży Toomai.

— Od czterdziestu lat, z ojca na syna, doglądamy słoni i jeszcze nigdy żaden z nas nie słyszał o jakichś tam ich płasach! Baj baj, będziesz w raj! —

— Juści, juści!... Mieszka se taki człek dółski w chałupie i myśli, że poza jej czterema ścianami już świata niema! Dobrze, dobrze! Zostaw na dzisiejszą noc słonie bez łańcuchów, a zobaczysz, co się stanie! A co się tyczy ich tańców, tom-ci ja na własne oczy widział one miejsce, gdzie... *Bapree-Bap!* ileż to zakrętów ma ta przekłeta rzeka

Dihang! Znów mamy bród i znów trzeba plawić słońceta! Hej, wolniej tam w tyle! Nie wlażyć nam na pięty!

W ten sposób, to gawędząc, to klóćąc się z sobą, to brnąc przez nurty rzeczne, odbyli pierwszy marsz dzienny... i docna już stracili wszelką cierpliwość, zanim nakoniec dotarli do miejsca, gdzie urządzono prowizoryczny obóz dla świeżo schwytanych słońi.

Tam przytwierdzono je łańcuchami za tylne odnóża do potężnych słupów palisady, przyczem świeżo schwytanym słońiom założono dodatkowe powrozy. Usypawszy przed nimi całe stosy paszy, poganiacze-górale późnym już wieczorem wrócili do sahiba Petersena, zalecając swym kolegom z niziny, by przez całą noc mieli się szczególnie na ostrożności. Zapytywani o przyczynę, nie dawali odpowiedzi, ale podśmiewali się złośliwie.

Mały Toomai dopilnował wieczerzy Kala Naga, a z nastaniem mroku puścił się na włóczęgę po obozie, szukając, czy nie znajdzie gdzie tam-tamu. Dzieci indyjskie, gdy czują się szczęśliwe, nie mają tego zwyczaju co nasze, by biegać i wrzeszczeć, co im ślina na język przyniesie; wolą usiąść i zatopić się w marzeniach. A właśnie Mały Toomai czuł niewymowną radość w swem serduszku: — przecie sam sahib Petersen raczył z nim rozmawiać! Gdyby więc nie udało mu się dostać tego, czego pragnął, jestem pewny, że serce pękłoby mu z żalości.

Na szczęście ulitował się nad nim kantyniarz obozowy, do którego Toomai zaszedł po cukierki,

— i pożyczył mu tam-tamu — czyli małego płaskiego bębenka, w który uderza się dłonią. Gdy zabłysły pierwsze gwiazdy, mały Toomai siadł w kuczki na stercie paszy przed Kala Nagiem, trzymając tam-tam na kolanach, i bębnił, bębnił, bębnił — a im więcej rozmyślał o wielkiem splendorze, jaki nań spłynął, tem silniej uderzał w bębenek. Nie potrzeba mu było ani słów ani melodji: upajał się samem bębnieniem i swą samotnością.

Świeżo złapane słonie szarpały się na uwięzi, kwicząc i trąbiąc od czasu do czasu, a z szalasu dolatywał głos matki Toomai'ego, kołyszącej jego małego braciszka. Nucila prastarą śpiewkę o wielkim bożku Shiwie*), który ongi każdemu ze stworzeń wskazał właściwe pożywienie. Pierwsza zwrotka tej kołysanki — nader skutecznej przy usypianiu — brzmi jak następuje:

Shiva, co darzy nas plonem i wichrów zsyła nawał
Przed bardzo dawnym wiekiem dary swe rozdawał.
Każdy wówczas z rąk jego pracę i żywność odebrał:
Zarówno król na tronie, jak dziad, co w bramie zebrał.
*Wszystko w świecie stworzył nasz Opiekun Shiva —
Mahadeo! Mahadeo! On to dał*
*Osty dla wielbłąda, paszę dla krowiny,
A serce matki pod senną główkę, synku mój jedyny!*

Mały Toomai radosnem uderzeniem w tam-tam wtórował każdej kadencji — aż wkońcu, zmorzony snem, rozciągnął się na sianie przy boku Kala Naga.

*) *Shiva* — czytaj *Siwa* (ś jak w pol. Siwek, Siwula) — obok *Brahmy* i *Vishnu* trzecia osoba *Trimurti* — wielkiej rójcy bogów indyjskich.

Niebawem i słonie poczęły wedle swego obyczaju kłaść się kolejno do snu, aż wreszcie pozostał na nogach jedynie Kala Nag, znajdujący się na prawem skrzydle szeregu. Trwając jak szyldwach na posterunku, kołysał się zwolna z boku na bok i nadstawiał uszu, wsłuchując się w szept nocnego wiatru, ciągnącego zwolna po górskich szczytach. Powietrze było pełne najróżnorodniejszych nocnych szmerów, które — razem wzięte — składają się na ogromną ciszę; brzmiał w niem pochrzest lodyg bambusowych, trących się o siebie, chrobot jakiejś żywej istotki, przemykającej się w podszyciu trawy, skrobanie się i stłumiony krzyk ockniotnego ptaka (ptaki budzą się w nocy wiele częściej, niż nam się zdaje) oraz szum odległego wodospadu.

Mały Toomai spał dość długo. Gdy się obudził, świat cały zalany był srebrzystą księżycową poświatą — a Kala Nag wciąż stał na nogach, nadstawiając bacznie uszu. Mały Toomai przewrócił się z szelestem na sianie i przyglądał się krzywiźnie olbrzymiego cielska, zasłaniającego połowę gwiazd na niebie. Gdy tak patrzył i dumal, posłyszał głos jakiś, tak odległy i stłumiony, iż wydawał się jakby punkcikiem szmeru na tle ogólnej ciszy. Była to pobudka, otrąbiona przez dzikiego słonia.

Posłyszały ją słonie, leżące w zagrodzie i w jednej chwili zerwały się z miejsca, jak oparzone. Wkońcu ich poryki i postękiwania obudziły śpiących mahoutów. Nadbiegłszy co żywo z wielkimi kafarami w rękę, powbijali głębiej słupce palisady, tu-owdzie pozacieśniali pętlice i zaguźlili węzły,

aż nakoniec zapanował znów spokój wszędzie. Jednemu z świeżo pojmanych słoni powiodło się wyrwać niemal całkowicie pal z ziemi — przeto Duży Toomai zdjął łańcuch z nóg Kala Naga i spętał owemu niesfornisiowi przednie odnóża z tylnymi, poczem okręcił pętlicę z powróśla dokola nogi Kala Naga i kazał mu pamiętać, że jest mocno przywiązany. Była to sztuczka, którą ojciec i dziadek dużego Toomai wypróbowali już kilkaset razy. Na rozkaz ten jednakże Kala Nag nie odpowiedział bulgotliwem chrząknięciem, jak miał zwyczaj czynić po inne czasy, — ale stał cicho, nieruchomie, wzniosłszy nieznacznie głowę, rozpostarłszy uszy jak wachlarze i patrząc poprzez poświatę miesięczną hen daleko, ku wielkim garbom gór Garo.

— Pilnuj go, jeżeliby się czego zestrachał w nocy — przykazał Duży Toomai synowi, poczem udał się do szałasu i zasnął niebawem. Mały Toomai również zabierał się do spania, gdy naraz posłyszał cichy chrzęst zerwanego powróśla. To Kala Nag wyzwolił się ze swej słabej uwięzi i wytoczył się z ogrodu — tak powoli i pocichu, jak opar mgły wytacza się z gardzieli parowu. Mały Toomai podreptał za nim bosemi nożętami, a znalazłszy się na oblanym księżycem gościńcu, zawołał półgłosem:

— Kala Nagu! Kala Nagu! Weź mnie z sobą, Kala Nagu!

Słoń odwrócił się, nie wydając najmniejszego dźwięku, stanął w poświacie księżycowej, podszedł trzema wielkimi krokami ku chłopcu i wyciąg-

nąwszy trąbę, uniósł go w górę i usadowił sobie na karku. Ledwo Mały Toomai miał czas wyprostować kolana, już jego wierzchowiec wsunął się w czarną głąb lasu.

Od strony obozowiska rozległa się istna fanfara zaciekłego trąbienia — poczem znów wszędzie zaległo głucho milczenie. Kala Nag puścił się w cwał. Kiedy-niekiedy kępa wysokiej trawy muskała mu boki — podobnie jak morska fala muska boki okrętu; kiedy-niekiedy pęk łodyg dzikiego pieprzu ocierał się o jego grzbiet lub bambus trzeszczał pod naporem jego goleni — pozatem jednak olbrzym posuwał się zgoła bez najmniejszego szelestu, przeciskając się, niczem szary kłęb dymu, przez gęstwinę lasów, porastających zbocza gór Garo. Droga pięła się ciągle wzwyż, lecz choć Mały Toomai bacznie przyglądał się gwiazdom przeblyskującym przez szczeliny listowia, nie mógł odgadnąć, w jakim szła kierunku.

W jakiś czas Kala Nag dosięgnął przełęczy górskiej i zatrzymał się na chwilę. Mały Toomai rozejrzał się wokoło. Zobaczył ciągnące się całymi milami morze koron drzewnych, puszystych jak sierść i usianych cieniami w miesięcznym oblasku, oraz odmęt białobłękitnej mgły, rozsnutej nad rzeką w dolinie. Toomai wychylił się nieco naprzód — i przekonał się, że las, spoczywający u stóp jego, nie spał bynajmniej — owszem, tętnił życiem, roił się i cizbil. Wielki brunatny gacekowocojad śmignął mu tuż koło ucha; w zaroślach zachrzęściły igły jeżozwierza, a w mroku pośród

pni drzewnych słyhać było odyńca, ryjącego zawzięcie w wilgotnej ciepłej ziemi i parsającego przy tej robocie.

Nagle gałęzie znów zwarły się nad głową chłopa — a Kala Nag zaczął zstępować w dolinę. Tym razem nie szedł już krokiem spokojnym, ale mknął pędem — jak armata staczająca się w przepaść. Olbrzymie nożyska poruszały się równomiernie i wytrwale, jak tłoki, sadząc po ośm stóp za każdym krokiem, aż chrzęściła fałdzista skóra na zgięciach kolan. Podszycie leśne po obu jego bokach łamało się z trzeszczeniem, przypominającym odgłos rozdzieranego płótna; młode witki, roztracone jego łopatkami, odskakiwały zpowrotem i chłostały go po żebrach, a wielkie smugi powikłanych pnączy zwisały mu na kłach, którymi torował sobie drogę w gęstwinie. Wobec tego Mały Toomai, bojąc się, by która z rozbujanyał gałęzi nie zmiotła go na ziemię, przywarł kurczowo do ogromnego karku zwierza, i wyrażał w duchu życzenie, by mógł znaleźć się znów w bezpiecznej zagrodzie.

Trawa zaczęła się stawać miękka i kleista; nogi Kala Naga raz wraz zapadały się i grzęzły w trzęsawisku, a nocna mgła, leżąca na dnie doliny, przyprowadziła Małego Toomai o ziań i dreszcze. Rozległ się plusk, bulgotanie i szmer płynącej wody. Kala Nag począł brnąć przez łożysko rzeki, stawiając poomacku krok każdy. Ponad chłupotem wody, rozbrzygiwanej nogami słonia, słyhać było zarówno w górnym jak dolnym biegu rzeki inne jeszcze

popłuskiwania — a od czasu do czasu ciche trąbienia — to znów ciężkie pojęki i gniewne parskania. Małemu Toomai wydało się, że w otaczającej go mgłę majaczą i płyną roje jakichś posuwistych, kołyszących się cieni.

— Ej! ej! — odezwał się półgłosem, szcękając zębami. — Plemię słoni ruszyło dziś na zbiórkę. Zatem dziś istotnie odbędzie się ich taniec!

Kala Nag wybrnął z wody, przedmuchał trąbę i zaczął wspinać się znów pod górę. Tym razem jednak nie był sam i nie musiał torować sobie drogi, była bowiem już utorowana — ubita na sześć stóp szerokości — a stratowana trawa zaczęła się prostować i podnosić. Najwidoczniej przeszło tędy przed paroma minutami całe stado słoni. Mały Toomai obejrzał się poza siebie i ujrzał dzikiego olbrzyma o potężnych kłach i małych prosięcych oczkach, błyszczących jak rozżarzone węgielki, — który właśnie wynurzał się z omglonej rzeki. W chwilę później korony drzew zwały się znowu w jednolitą oponę, a stado szło wciąż naprzód i pod górę, przebijając się przez mrok gęstwiny wśród poryków i ciężkich stapań, wśród trzeszczenia łamiących się gałęzi. Wkońcu Kala Nag zatrzymał się na samym szczycie góry, między dwoma pniami drzewnemi. Należały one do kępy drzew, rosnącej wiankami dokoła nieregularnego boiska o powierzchni trzech do czterech akrów. Na całym tem boisku, jak daleko mały Toomai mógł okiem zasięgnąć, ziemia była wydeptana i ubita, jak twarda posadzka. Pośrodku

tej golizny wyrastało parę drzew samotnych, lecz korę miały całkowicie startą, a nagie drewno, opromienione księżycem, lśniło jak polerowane. Z górnych konarów spływały długie pnącza, a ich wielkie, woskowo-białe kwiaty, z dzwoniastego kształtu podobne do powojów, zwisały wdół, twarzym snem ujęte; pozatem w obrębie samej polany nie było ani źdźbła zieleni — jeno sama twarda, mocno ubita ziemia.

Cała ta przestrzeń przybrała w poświatli księżycowej szaro-żelazistą barwę — z wyjątkiem miejsc, gdzie stały słonie, uwydatniające się na tem tle czarnym cieniem, niby plamy atramentu na bibule. Mały Toomai patrzył z zapartym tchem, szeroko rozwartemi oczyma — a w miarę jak patrzył, coraz więcej i więcej słoni wychodziło z pomiędzy drzew na otwartą przestrzeń. Chłopak umiał liczyć tylko do dziesięciu, więc liczył i liczył na paluszkach, aż wkońcu stracił liczbę dziesiątków, a w główce poczęło mu się mącić. Poza polaną słyszał łomot i chrzęst leśnego podścieliska: to jeszcze nowe szeregi słoni wdzierały się przebojem na zbocze góry; znalazłszy się jednak w kręgu pni drzewnych, poruszały się cicho, jak widma.

Były tam białokływe samce, obsypane spadłemi liśćmi, orzeszkami i gałązkami wrzepionemi w zmarszczki ich szyi i zgięcia uszu; były i otyłe, wolno wlokące się samice, przy których pętało się po kilka żwawych, różowo-czarnych słoniątek, mierzających zaledwie trzy do czterech stóp wysokości;

młode słońki, dopiero ząbkujące, a już bardzo dumne z klów swoich; chude i kościste starszki-samotnice, o zapadłych, trwoźnych licach; dzikie stare pojedynki, poznaczone od szyi po kłęby bliznami i szramami wyniesionymi z dawnych bojów, a opaćkane strugami lepkiego namulu nieobeschłego jeszcze po niedawnej błotnej kąpeli; wśród nich wyróżniał się zwłaszcza jeden, stary słoń-samotnik ze złamanym kłem oraz wrytymi na pośladku śladami wszystkich pazurów tygrysa.

Słowem, zgromadziły się tam dziesiątki i dziesiątki przedstawicieli słoniego rodu — to stojąc, łeb przy łbie, zwartą gromadą — to przechadzając się parami po klepisku, — to wreszcie włócząc się samopas czy kołysząc się gdzieś na uboczu.

Toomai wiedział, że póki będzie leżał spokojnie na grzbiecie Kala Naga, póty może być pewny swej skóry — albowiem dziki słoń nawet wśród rwetesu i zamieszania, panującego podczas oblawy, nie poważy się sięgnąć trąbą na kark słonia oswojonego i ściągnąć siedzącego na nim człowieka, a w ową noc nawet przez głowę żadnemu z nich nie przeszła myśl o możliwej obecności człowieka. Raz tylko wzдрыgnęły się i nadstawiły czujnie uszu — gdy ni stąd ni zowąd w głębi lasu rozległ się szczęk kajdan. Okazało się jednak, że była to Pudmini, ulubiona słonica Petersena, która przywlokła się tu z ułamkiem łańcucha, postępując i utykając na wertepach góry. Zapewne z trudem zdołała wyrwać kół z ziemi i dopiero teraz mogła przybyć z obozu Sahiba Petersena. Za nią ujrzał Mały Too-

mai nieznanego sobie słonia, na którego podbrzuszu i grzbiecie było widać głębokie otarcia od powrozów — widać, był to również zbieg z jednego z obozów w okolicznych górach.

Gdy wkońcu ucichły w głębi lasu stapania nadchodzących słoni, Kala Nag wytoczył się ze swego posterunku między drzewami i wszedł w środek gromady, wydając jakieś gardłowe, belkotliwe dźwięki. Wszystkie słonie poszły za jego przykładem i skupiwszy się koło niego, poczęły coś gwarzyć w swym języku.

Leżąc wciąż plackiem i nie podnosząc głowy, Mały Toomai widział przed sobą i wokół siebie dziesiątki i setki rozrosłych grzbietów, chwiejących się uszu, trąb, zawadzających wzajem o siebie, i małych ruchliwych oczu. Słyszał zgrzyt kłów, zderzających się przypadkiem z sobą, suchy szelest płaczących się z sobą trąb, chróbot olbrzymich goleni i tułowi ocierających się o siebie w ścisku, oraz nieustanny świst i poklask potężnych chwostów. Gdy na chwilę chmura przesłoniła księżyc, świat zaległa czarna ciemność — mimo to ów stłumiony, jednostajny belkot, pochrzęst i pomruk nie ucichł wcale. Chłopak zdawał sobie sprawę z tego, że Kala Nag jest zewsząd otoczony przez słonie — i że nie ma nawet co marzyć o wycofaniu go z tego zgromadzenia; zacisnął przeto zęby i trząśł się ze strachu. W keddzie przynajmniej płonęły pochodnie, było jasno i gwarno — tu zaś biedaczyna znajdował się sam jeden w ciemności pomiędzy zgrają dzikich zwierząt; raz nawet

trąba podniosła się wgórę i prześliznęła się po jego kolanie.

Naraz jeden ze słoni zaryczał na trąbie. Hasło to podchwyciły inne słonie i przez kilka strasznych sekund nie było słycać nic oprócz tego przeraźliwego trąbienia. Z gałęzi drzew otrząśnięta rosa lunęła niby deszcz na niewidoczne cielska olbrzymów, a jednocześnie ozwał się jakiś głuchy, zrazu niezbyt głośny pobrząk, którego znaczenia Mały Toomai początkowo nie umiał sobie objaśnić. Ale niebawem głos ten wzmógł się i potężniał coraz bardziej — a wówczas Kala Nag podniósł jedną przednią nogę, potem zaś drugą i ją uderzał niemi kolejno w ziemię — raz-dwa, raz-dwa — równomiernie, jak młoty w kuźni bijące. Wnet wszystkie słonie jęły pospołu tupać nogami — a tupanie to grzmiało jak głos wielkiego tarabanu, odzywającego się z głębi jaskini. Rosa sypała się i sypała z drzew, aż wkońcu nie zostało jej ani kropelki — a dudnienie nie ustawało; ziemia drżała i dygotała, a Mały Toomai zatkał sobie uszy, by nie ogłuchnąć od tej wrzawy. Na nic to jednak się nie zdało — bo ten loskot potężny — ten huk setek ciężkich nóg bijących w gołą ziemię — zdawał się przenikać go nawskroś, świdrować jego wnętrzości. Kilka razy chłopiec wyczuł, że Kala Nag wraz z resztą słoni przesunął się naprzód o parę kroków, a dudnienie zamieniło się w mlask soczystej zieleni, rozgniatanej stopami — ale już w chwilę później słycać było znów tylko pogrzmot nóg słoniowych na twardej ziemi. Jakieś drzewo

w pobliżu trzeszczało jękliwie; Toomai wyciągnął rękę i pomacał korę — ale Kala Nag posuwał się naprzód, traktując zawzięcie wszystko przed sobą, tak iż chłopiec nie potrafił określić, w której części polany się znajduje. Słonie przytem nie wydawały żadnego głosu — wyjąwszy jeden raz, gdy dwa lub trzy małe słonięta zakwiliły razem żałościwie; potem rozległ się nagły stuk i krótkie szamotanie — a potem znów słychać było tylko owo dudnienie głuche, nieustanne.

Wszystko to trwało chyba ze dwie godziny, więc Mały Toomai wkońcu odczuwał ból w każdym ścięgnię; jedyną otuchą było mu to, iż w chłodnem powietrzu nocnem wyczuwał już wężchem bliskość poranku.

Brzask wylamał się z za zielonych wzgórz jednolitą taflą bladożółtej barwy. Z pierwszym promykiem słońca dudnienie ucichło jak ręką odjął; rzekłbyś, że światło nakazało ciszę. Zanim Mały Toomai pozbył się dzwonięcia w uszach, zanim zdążył obrócić się na drugi bok, na całym placu nie było już żadnego ze zwierząt, prócz Kala Naga, Pudmini i owego słonia z odparzeniami od powroza — i żaden znak, ruch ni szelest na zboczach góry nie wskazywał, którędy poszła reszta gromady.

Mały Toomai wytrzeszczał oczy coraz szerzej. Polana, wedle tego co sobie przypomniał, znacznie się powiększyła w ciągu nocy. Na jej środku stała większa gromadka drzew, natomiast pokrzewie i trawa leśna po bokach usunęły się znacznie

wstecz. Mały Toomai jał baczniej się przyglądać; teraz nakoniec zrozumiał sens owego tupania. Słonie wydeptały sobie znaczniejsze boisko — grubą trawę i soczysty szuwar zdeptały na słomę, słomę na miazgę, miazgę na cienkie włókna, a włókna na ubitą ziemię.

— U-ech! — ziewnął Mały Toomai, a powieki ciężyły mu jak ołowie. — Kala Nagu, jeśli łaska, przyłączmy się do Pudmini i wróćmy do obozu Petersena, bo inaczej gotów jestem zlecieć ci z karku.

Trzeci słoń przez czas jakiś przyglądał się dwojgu swych towarzyszy, odchodzących od niego, poczem parsknął, wykonał zwrot wtył i poszedł własną drogą. Należał zapewne do świty dworskiej któregoś z małych książątek tubyleczych, władającego o pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lub sto mil opodal.

W dwie godziny później, gdy sahib Petersen właśnie się zabierał do śniadania, słonie, które w noc ową były spętane podwójnym łańcuchem, jęły trąbić jak na trwogę — witając Pudmini, zachlastaną błotem po same łopatki, i Kala Naga, ledwo powłóczącego nogami, oboje wkraczających chyłkiem do obozu.

Mały Toomai miał twarz szarą od kurzu i pokłutą cierniami, a w zmokłej od rosy czuprynie tkwiło mnóstwo listków i patyczków. Ale chłopak nie stracił rezonu; przywitał sahiba Petersena, jak umiał najczoloitniej i głosikiem mdlejącym zawołał:

— Taniec... taniec słoni! Widziałem ten taniec... i umieram!

Kala Nag przysiadł na ziemi, a on zsunął mu się z karku i padł na ziemię nieprzytomny.

Ponieważ jednak dzieci krajowców nie mają przewrażliwionych nerwów, więc w dwie godziny później leżał w hamaku sahiba Petersena, mając pod głową burkę myśliwską sahiba, a w brzuszku szklankę ciepłego mleka i łyk gorzalki ze szczyptą chininy. Przed nim w trzech rzędach zasiedli włochaci, bliznami pokiereszowani myśliwcy, starzy bywalcy puszczy, i patrzyli nań, jak na widmo z za grobu; on krótko i węzłowato, isticie po dziecięcemu, opowiedział im swe przygody — i tak zakończył opowieść:

— Jeżeli sobie myślicie, żem was okłamał choć jednym słowem, to wyślijcie ludzi na zwiady, żeby się przekonali, czy to nieprawda, że słonie udeptały sobie większe klepisko w swej sali balowej. Znajdziecie nie jedną, ale dziesięć i dziesięć i wiele razy po dziesięć ścieżek wiodących do tej sali. Słonie zrobiły sobie tam większą przestrzeń. Widziałem to na własne oczy. Kala Nag mnie tam zawiózł, więc widziałem. Kala Naga też porządnie zbolały nożyska!

To rzekłszy, Mały Toomai położył się nawznak i zasnął. Spał przez całe popołudnie aż do zmierzchu. Przez ten czas sahib Petersen i Machua Appa udali się za śladem dwu słoni. Szli i szli, aż przebyli mil pięćdziesiąt i dostali się za góry. Sahib Petersen był wytrawnym myśliwcem —

wszak od lat osiemnastu urządzał oblawy na słonie — ale tylko raz dawniejszemi czasy zdarzyło mu się znaleźć taką bawialnię słoni. Machua Appa — też stary bywalec — nie potrzebował dwakroć przyglądać się polanie ani grzebać nogą w ubitej na grudę ziemi, by odgadnąć, jakie sceny rozegrały się tutaj.

— Dzieciak mówi prawdę — odezwał się. — Wszystko to istotnie działo się zeszłej nocy... naliczyłem siedemdziesiąt śladów przechodzących przez rzekę. Patrz, sahibie, jak obręcz Pudmini zdarła korę z tego drzewa! Tak! i ona też tu była!

Spoglądali to na siebie, to wdół to wgórę — i dziwowali się wielce; albowiem dziwne są sprawy słoni i człowiek ani biały ani czarny nie zdoła ich zgłębić.

— Czterdzieści pięć lat krzątam się ciągiem koło słonia mości-dobrodzieja — mówił Machua Appa, — ale nigdy nie slychiwałem, by które dziecko widziało to, co widział ten smarkacz. Na wszystkich bożków górskich, toż to... jak to nazwać?

I potrzęsnał głową.

Gdy wrócili do obozu, była już pora wieczery. Sahib Petersen zjadł ją sam w swoim namiocie, ale polecił, by drużynie jego wydano dwa barany, parę kur jakoteż podwójną porcję mąki, ryżu i soli, bo wiedział, że tej nocy będzie w obozie uroczysta zabawa.

Duży Toomai, zauważywszy nieobecność syna i powierzonego mu słonia, wybiegł jak oparzony na równinę, by ich odszukać. Znalazłszy ich obu

przy życiu i zdrowiu, przyglądał się im niedowierzająco i jakby z trwogą. A tymczasem przy jaskrawych ogniskach obozowych przed stoiskami spętanych słoni była huczna zabawa — a Mały Toomai był bohaterem dnia i główną tej uroczystości osobą. Starzy, o cerze brunatnej, łapacze słoni, tropiciele, naganiacze i powroźnicy, ludzie znający wszelkie tajemnicze tresowania najdzikszych słoni, podawali go sobie z rąk do rąk — i nazaczyli mu czoło krwią z pod żeber świeżo zabitego cietrzewia, na znak że odtąd może się uważać za obywatela puszczy, wtajemniczonego w jej prawa i wyzwolonego w cechu łowieckim.

Wkońcu, gdy płomienie przygasły, a czerwony poblask dogorywających szczap odbijał się od cielsk słoni i sprawiał, że wyglądały jak we krwi unurzane, wówczas Machua Appa, naczelnik wszystkich poganiaczy we wszystkich Keddah — Machua Appa, prawa ręka sahiba Petersena — Machua Appa, który od lat czterdziestu nie oglądał bitego gościńca — Machua Appa, który tak był wielki, iż nie zwano go innem imieniem jak tylko Machua Appa — zerwał się na równe nogi, podniósł Małego Toomai wysoko nad głową i zawołał:

— Słuchajcie, bracia moi! Słuchajcie i wy, mościodobrodzieje przy słupach . . . nadstawcie wielkich uszu, bo oto przemawiam ja, Machua Appa! Miano tego malca brzmieć będzie odtąd nie Mały Toomai, ale Toomai Druh słoni, jak zwał się ongi jego pradziad. Czego nie widział nigdy niejedyn człek dorosły, to on oglądał w ciągu tej długiej

nocy... a łaska bogów puszczańskich i życzliwość słoni jest przy nim. Będzie z niego kiedyś słynny tropiciel... większym będzie człowiekiem, niż ja... nawet niż ja, Machua Appa! Bystrem okiem wypatrzy ślad wszelki — czy to zastarzały, czy świeży, pojedynczy czy splątany. Włosek mu z głowy nie spadnie, ilekroć wbiegnie do keddy, popod brzuszyska potworów, by pętać najdziksze zębacze... a jeżeli potknie się i upadnie przed stopami pędzącego cwałem samca, ten pozna, kto on zacz, i nie zmiążdży go w pędzie. Ej, hej! cni mości-dobrodziejowie chodzący w łańcuchach! — (to mówiąc, zwrócił się ku rzędowni słupów, gdzie stały przytroczone słonie) — ten oto malec podpatrzył wasze pląsy w waszych matecznikach... czego dotąd nie widział nikt z ludzi! Złóżcie mu hołd, mości-dobrodziejowie! *Salaam karo*, moje dzieci! Oddajcie pokłon Toomai'emu, Druhowi Słoni! Gunga Pershad, *ahaa!* Hira Guj, Birchi Guj, Kuttar Guj*), *ahaa!* Pudmini, tyś go widziała podczas tańca... a ty także, Kala Nagu, perło wszystkich słoni! *ahaa!* Razem! Pokłon Toomai'emu, Druhowi słoni! *Barrao!*

Aż na ten ostatni dziki okrzyk cała linja, jak jeden mąż — a raczej, jak jeden słon — zadarła trąby do góry, aż ich koniuszki wsparły się o czoło — i huknął zew powitalny, ogłaszająca fanfara, jaką słyszy tylko wicekról Indji. Był to *Salaamut Keddy!*

*) Czytaj Ganga Parszad, Hajra Gadź, Berczi Gadź, Kattar Gadź.

Rozbrzmiewał nie ku czci wielkorządcy Indyj,
lecz ku czci małego Toomai, który widział rzecz,
jakiej nie dano przed nim oglądać nikomu
z ludzi: — taniec słoni odtańczony nocą w pust-
kowiach leśnej głuszy na górach Garo!

SHIVA I ŚWIERSZCZYK.

*(Pieśń, którą matka Toomai'ego śpiewała
swojemu dzieciątku.)*

*

Shiva, co darzy nas plonem i wichrów zsyła nawal,
Przed bardzo dawnym wiekiem dary swe rozdawał.
Każdy wówczas z rąk jego pracę i żywność odebrał:
Zarówno król na tronie, jak dziad, co w bramie
zebrał.

*Wszystko w świecie stworzył nasz Opiekun
Shiva —*

*Mahadeo! Mahadeo! On to dał
Osty dla wielbłąda, paszę dla krowiny,
A serce matki pod senną główkę, synku mój
jedynty!*

Pszenicę dał bogaczom, nędzarzom garstkę krupy,
Ochłap pątnikom, chodzącym z chałupy do chałupy;
Woly dał tygrysowi, sępom cuchnące ścierwo,
A wilki srogie, bezdomne, niejedną kość oberwą.
Nie było dlań istoty zbyt wielkiej lub zbyt małej...
Pārbati zboku patrzyła, jak one go odwiedzały;
Chciała męża oszukać — nie bacząc, że z Shivą
zadrze —:

Skradła małego świerszcza i skryła go w zanadrze.
*Tak chciała oszukać Opiekuna Shive — —
Mahadeo! Mahadeo! Patrz-no, patrz!
Wielkie są wielbłądy, spaśne są krowiny,
Lecz świerszczyk był najmniejszy z małych,
syneczku mój jedyny!*

Spłatawszy tego figla, śle uśmiech mimowiedny:
„Panie, czy z istot miljona nie pominąłeś ni
jednej?”

Śmiejąc się, odrzekł jej Shiva: „Wszyscy dostali
do syta —
Nawet ta drobna istotka, w zanadrzu twojem
ukryta!”

Pàrbati, chytra złodziejka, sięgnie w zanadrze —:
aliści

Najmniejszy z Małych gryzł pączki świeżo wyrosłych
liści!

Widząc to, trwożna, zdumiona, poczęła modlić się
Shivie,

Który jadło zapewnił wszystkiemu, co w świecie
żywie.

*Wszystko w świecie stworzył nasz Opiekun
Shiva — —*

Mahadeo! Mahadeo! On to dał

Osty dla wielbłąda, paszę dla krowiny,

*A serce matki pod senną główkę, synku mój
jedynty!*

SŁUDZY KRÓLOWEJ JEJMOŚCI

Możecie działać ułankami, regułę trzech ulepszyć,
Lecz wieprz nie zdoła zwieprzyć pieprzu, ni wie-
prza pieprz przepieprzyć.
Możecie męczyć się i dręczyć i ślęczyć w pocie czoła,
Lecz Gawła w Pawła, Pawła w Gawła przerobić
nikt nie zdoła!

Przez cały miesiąc lało jak z cebra. Strugi deszczu chłostały obóz, w którym kwaterowało trzydzieści tysięcy ludzi oraz dziesiątki tysięcy słońi, koni, wołów, mułów i wielbłądów. Wszystko to spędzono na jedno miejsce, zwane Rawal Pindi, gdzie miał się odbyć przegląd wojskowy przed wicekrólem Indyj.

Do wicekróla bowiem przybył z wizytą Emir Afganistanu — dziki władca wielce dzikiej krainy. Przywiódł on z sobą, jako straż przyboczną, ośmuset jeźdźców i tyleż koni; były to istne dzikusy, rodem kędyś z głębi Azji Środkowej, które dotąd nigdy nie widziały obozu wojskowego, ani żelaznej kolei. Każdej nocy można było być pewnym, że tabun tych biegusów pozrywa nagle pęta i zacznie uganiać w ciemności po rozkislym gruncie obozowiska, — lub że wielbłądy zerwą się z uwięzi i będą biegały jak oszalałe, przewracając

się na sznurach namiotów. Można więc sobie wyobrazić w jak miłym usposobieniu musieli być ludzie, mający szczerą i nieprzymuszoną wolę przespąć się snem sprawiedliwego przez noc całą.

Mój namiot znajdował się daleko od miejsca postoju wielbłądów — więc myślałem, że mogę spać spokojnie. Aliści jednej nocy jakiś człowiek wetknął głowę do mej kwatery i wrzasnął:

— Uciekaj pan co żywo! *One* nadchodzą! Mój namiot już obalony!

Nie potrzeba mi było wyjaśniać, kogo oznacza wyraz „one“. Włożywszy czempredziej buty z cholewami i płaszcz nieprzemakalny, wyleciałem na błoto i siapawicę; — mały mój foxterierek Vixen wybiegł drugą stroną namiotu. W tejsze chwili ozwał się jakiś poryk, chrząkanie i bełkotanie — i ujrzałem, że kół namiotu, wyrwany z ziemi, skoczył wgórze, a namiot, skłębiwszy się w bezkształtną masę, zaczął płasać jak opętaniec. Domyśliłem się, że to jakiś wielbłąd zaplątał się w jego płachtę i nie mógł się z niej wywikłać. Pomimo całego gniewu i przemoczenia, nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Wnet jednak podjąłem na nowo ucieczkę, bo przyszło mi na myśl, że może znaczniejsza ilość wielbłądów zerwała się z uwięzi — a nie miałem ochoty być stratowanym. Brnąc w błocie, wydostałem się po pewnym czasie poza obręb obozu — aż wkońcu wywróciłem się na lawecie armaty — z czego wymiarkowałem, że znajduję się gdzieś w pobliżu kwater artylerji, gdzie na noc stawiano działa. Ponieważ nie mia-

łem chęci wałęsać się dłużej wśród błota i ciemności, zawiesiłem płaszcz gumowy na muszce armaty, z pomocą kilku znalezionych stempli sporządziłem rodzaj wigwamu i położyłem się przy lawecie drugiego działła, rozmyślając nad tem, gdzie mógł się podziąć Vixen i gdzie sam przebywam obecnie.

Właśnie zabierałem się do spania, gdy posłyszałem brzęk uprzęży i postękiwanie; tuż koło mnie przeszedł jakiś muł, strzygąc mokremi uszyna. Należał widocznie do baterji dział górskich, bo słyszałem chrzęst rzemyków, obrączek, łańcuszków i innych przyborów jego kulbaki. Nazwę dział górskich noszą małe armatki, złożone z dwóch części, które się ześrubowuje, gdy przyjdzie czas na zrobienie z nich użytku. W ten sposób można je umieszczać nawet na wysokich szczytach, gdzie tylko muł potrafi znaleźć sobie przejście — mają przeto wielkie zastosowanie w terenie górzystym, gdzie oddają niekiedy nadzwyczajne usługi.

Za mułem nadszedł wielbłąd, ślizgający się, a nie rzadko i potykający włochatemi odnóżami w grząskim błocie, kołyszący szyją w obie strony, jak zbląkana kura. Szczęśliwym trafem zdążyłem być z ust krajowców natyle wyuczyć się mowy zwierząt — oczywiście zwierząt nie dzikich lecz obozowych — iż bez trudu rozumiałem, o czem gwarzyły.

Był to chyba ów wielbłąd, który wpadł na mój namiot — gdyż posłyszałem, jak zawołał na muła:

— Cóż teraz pocznę z sobą? Gdzie pójdę? Stoczyłem walkę z jakąś białą istotą, która najpierw czemś wymachiwała, a potem porwała drag i trzasnęła mnie po głowie. Czy mamy uciekać?

Dragiem tym było nic innego, jak złamany kół mojego namiotu; bardzo więc się ucieszyłem, słysząc tę nowinę .

— Aha! to ty! — burknął muł. — To ty wraz z hałasem swych braci wywołujesz takie zamieszanie w naszym obozie? Dobrze! Dobrze! Już dostałeś cięgi za tę awanturę, ale nie zawadzi, że i ja ci od siebie coś dołożę!

Słyszałem, jak zabrzęczała uprząż, gdy muł wierznął i wymierzył wielbłądowi w żebra dwa kopniaki, które zahuczały jak dwa uderzenia w bęben.

— Na przyszły raz — odezwał się — nie przyjdzie ci już do głowy biegać nocą pomiędzy mułami górskiej baterji i wrzeszczeć: „Rety! gore! złodzieje!“ Usiądź i przestań kiwać na wszystkie strony durną szyją! . . . ty pośmidragu!

Wielbłąd zgiął się po wielbłądziemu we dwoje, jak dwustopowa linja, i przysiadł na ziemi, pojeżdżając. W ciemności rozległ się jednomyerny tętent kopyt — w chwilę potem wspaniałym klusem, niczem na paradzie, nadbiegł okazały koń kawalerski, przeskoczył przez lawetę i spoczął tuż obok muła.

— Okropność! — odezwał się, parszcząc głośno. — Te wielbłądy znów przecwałowały przez nasz rejon . . . i to już po raz trzeci w tym tygodniu. Jakże koń ma utrzymać się w dobrym fasonie,

kiedy nawet nie pozwolą mu się wyspać? Kto tu?

— Jestem muł od tylnej części armatki Nr. 2 pierwszej Baterji Górskiej — odrzekł muł, — a ten drugi to jeden z twoich przyjaciół. On i mnie przebudził ze snu. Ktoś ty?

— Koń Dicka Cunliff'a, Numer 15, szwadronu E, dziewiątego pułku lansjerów. Posuń-no się trochę!

— Przepraszam — odpowiedział muł. — Jest tak ciemno, że krzyne niedowidzę. Czy te wielbłądy nie powścickały się... i to bez powodu? Wyszedłem z mojego rejonu, by znaleźć tu odrobinę ciszy i spokoju.

— Mości panowie — ozwał się pokornie wielbłąd — w nocy trapiły nas straszne sny, więc mieliśmy tęgiego pietra. Co do mnie, jestem jedynie zwykłym jucznym wielbłądem 39 pułku piechoty tubylczej i nie śmiem równać się z wami zacnością urodzenia i odwagą.

— A więc, u licha, czemuż to nie dźwigasz juków 39 pułku tubylczego, zamiast rozbijać się po całym obozie? — zapytał muł.

— Te sny były straszliwe... o jakże straszliwe! — jęknął wielbłąd. — Bardzo przepraszam. Ale słuchajcie!... Co to takiego? Czy mamy znów uciekać?

— Siedź spokojnie — skarcil go muł — bo inaczej poprzetrącasz sobie długie nożyska między lawetami armat.

Nadstawił jedno ucho i począł nadsluchiwać.

— Woły! — oznajmił. — Woły, co ciągną działą. Słowo daję! Ty i twoje bractwo pobudziło i zaalarmowało dziś caluśki obóz. Wielkiego potrzeba hałasu, by obudzić wołu z artylerji ciężkiej!

Posłyszałem brzęk łańcucha wlokącego się po ziemi — i nadciągnęła ocierając się o siebie idąca w zaprzęgu para wielkich, posępnych, białych wołów, używanych do ciągnięcia ciężkich dział obłężniczych, gdy słońce nie mają ochoty podchodzić bliżej w stronę rozlegającej się strzelaniny. Tuż za nimi, niemal przydeptując łańcuch, kroczył drugi muł artyleryjski, przywołując rozpaczliwie:

— Billy! Billy!

— To jeden z naszych rekrutów — odezwał się stary muł do konia kawaleryjskiego. — On mnie przywołuje. Przestań-że skrzeczeć, młodziku. Ciemność jeszcze nikomu nie wyrządziła krzywdy.

Woły położyły się razem na ziemi i zaczęły przeżuwać spożytą dawno paszę, a młody muł podrepotał w stronę Billa i przytulił się do niego.

— Coś niezwykłego! — począł mu się zwierzać. — Straszne i okropne zdarzenie! Napadnięto na nasz rejon, gdyśmy spali! Jak myślisz, czy nas pozabijają?

— Wielce zaiste jestem wspaniałomyślny, zem cię nie kopnął w tej chwili — odpowiedział Billy. — Podobne przypuszczenie, zrodzone w łbie muła, z takim jak ty wychowaniem, kompromituje naszą baterję wobec tego jegomościa.

— Spokojnie! spokojnie! — mitygował go koń kawaleryjski. — Pamiętaj, że z nimi zawsze tak

idzie z początku. Ja sam, gdy pierwszy raz ujrzałem człowieka (było to w Australji, gdy miałem dopiero trzy lata) uciekałem przed nim przez pół dnia, a gdybym zobaczył wielbłąda, jeszczebym dziś przed nim uciekał.

Niemal wszystkie konie należące do angielskiej kawalerji w Indjach, pochodzą z Australji, a ujeżdżają je sami kawalerzyści.

— Prawda i to! — zgodził się Billy. — Przystań już wreszcie trząść się, młodziku! Gdy pierwszy raz włożono na mój grzbiet pełną uprząż z różnemi sprzączkami, łańcuszkami i pętelkami stanąłem dęba i biłem kopytami, usiłując zrzucić z siebie wszystkie te fatalaszki. Nie miałem wówczas należytego pojęcia o kopaniu, ale w baterji opowiadano, że podobnej charataniny jeszcze nie oglądali, jak żyją.

— Tak, tak! — odpowiedział młody muł. — Ale tym razem nie była to uprząż ani też żadne inne brząkadło. Przecież wiesz, Billy, że nie to miałem na myśli. To były jakieś stwory, wysokie jak drzewa, a biegały po całym obozie jak opętane i bełkotały coś niezrozumiale. Postronek mi się zerwał... nie mogłem znaleźć poganiacza... ani ciebie, Billy... więc uciekłem... śladem tych oto panów.

— Hm! odezwał się Billy. — Gdy posłyszałem, że wielbłądy się pozrywały, wyszedłem z kwatery spokojnie na własną rękę. Gdy muł artyleryjski, i to z baterji dział górskich, nazywa bawoły panami, to musi być już nie na żarty przerażony.

Hej, kamraty, co leżycie na ziemi, odezwcijcie się, coście wy za jedni!

Woły obróciły ozorami przeżuwaną strawę i odpowiedziały:

— Siódme jarzmo pierwszego działa artylerji ciężkiej. Spałyśmy, kiedy napadły nas wielbłądy, ale gdy poczęły po nas deptać, wstałyśmy, by przemieść się gdzieindziej, bo lepiej leżeć spokojnie w błocie, niż dać się kopać na najlepszej podściółce. Mówiłyśmy temu oto twojemu koledze, że niema czego się obawiać, ale on uważał, że ma w mózgu więcej rozumu niż my... My-y!

I poczęły znów przeżuwać strawę.

— Oto skutki głupiej bojaźni! — przyciął Billy kompanowi. — Nawet woły z ciebie się śmieją! Miło ci tego słuchać, młokosie?

Młody muł kłapnął zębami i burknął pod nosem, że nie zważa na tę starą wołowinę: woły tylko trącały się rogami i żuły bez przerwy.

— No, no! nie masz co się dąsać, skoroś stchórzyl. Nad takie postępowanie niema gorszego tchórzostwa — skarcił go koń kawaleryjski. — Mojem zdaniem, każdemu można wybaczyć, jeżeli w ciemności nocnej przestraszył się jakiejś rzeczy, której nie mógł rozpoznać. Gdy jeszcze bawiłem w ojczyściej Australji, pewien zielony rekrut nabajał nam niestworzonych rzeczy o jakichś wężach, podobnych do bicza; takeśmy się tem przejęli, że ua widok zwisających luźno własnych naszych postronków zrywaliśmy się parokrotnie z uwięzi

(a było nas około 450 w kupie) i biegaliśmy, jak warjaty, w śmiertelnej trwodze.

— Pół biedy, kiedy się jest w obozie — rzekł Billy; — sam jestem nie od tego, by puścić się trochę w dyrdy, ot tak dla zabawy, gdy przez kilka dni nie miałem sposobności do biegania... ale co poczniesz, gdy cię coś podobnego napadnie w czasie akcji bojowej?

— O! to całkiem inna para butów z cholewami! — odpowiedział wierzchowiec. — Wtedy Dick Cunliffe siedzi mi na grzbiecie i gniecie mnie kolanami, a do mnie należy tylko uważać pod nogi, mocno trzymać się na tylnych kopytach i dać się powodować cugłami.

— Co to znaczy powodować cugłami? — spytał młody muł.

— Do kroćset szwadronów! — parsknął rumak. — Więc was tego nie uczą, jak dać się powodować cugłami? Cóż jesteście warcy, jeżeli nie potraficie w jednej chwili wykonać zwrotu wtył, poczawszy, że cugle uciskają wam szyję? Od tego przecie zawisło życie jeźdźca, a tem samem i wasze! Ledwo poczujesz cugle na karku, trzeba wykręcać się niezwłocznie, zebrawszy nogi pod siebie... a jeżeli brak miejsca nie pozwala na wykonanie zwrotu, trzeba stanąć dęba i obrócić się na tylnych nogach. Tak to wygląda powodowanie się wędzidłem.

— Nas tego nie uczono — odrzekł obojętnie muł Billy. — Nas uczono, że mamy słuchać człowieka idącego przed nami: cofać się, gdy on każe.

i posuwać się naprzód, gdy taki jego rozkaz. Zdaje mi się, że oba sposoby zmierają do jednego celu. No, ale przy wszystkich tych pięknych wywijasach i zwrotach, które pewno bardzo dają się we znaki waszym pęcynom, cóż wy właściwie *robicie*?

— Zależy, gdzie, co i kiedy! — odpowiedział rumak. — Najczęściej muszę leżeć między zgrają rozwrzeszczanych, kudłatych ludzi, trzymających w rękę noże . . . długie, błyszczące noże, straszniejsze od noży konowała . . . Muszę przytem uważać, żeby but Dicka stykał się leciuchno z butem sąsiada, a jednak nie zawadził o niego. Gdy widzę lancę Dicka na prawo od mojego prawego oka, wiem wtedy, że nie mam czego się lękać . . . ale nie chciałbym być człowiekiem czy koniem, któryby stanął w drodze Dickowi podczas onego pędu.

— Czy te noże ranią boleśnie? — zapytał mł. —

— Juści! Raz jeden z nich wlał mi pod ziobro... ale Dick nie był temu winien.

— Dużobym ta na to zważał, po czyjej stronie jest wina, gdyby mnie zraniono! — westchnął młody mł.

— Musiałbyś zważać! — odpowiedział koń. — Jeżeli nie ufasz jeźdźcowi, to lepiej zrobisz, gdy umkniesz odrazu. Tak postępują niektóre konie, a ja bynajmniej nie mam im tego za złe. Moja rana, jak wam już wspomniałem, nie wynikła z winy Dicka. Widząc, że na ziemi leży jakiś człowiek, dałem wielkiego susa, aby na niego nie nastąpić . . . aż tu on zrywa się z ziemi i ciach mnie pod żebro! Na przyszły raz nie dam się wziąć na

uprzejmość i nie będę omijał człowieka leżącego na ziemi, ale go zatratuję... doszczętnie.

— Hm! — mruknął Billy. — Wszystko to brzmi dość głupawo. Nóż to zawdy paskudne narzędzie. Niemasz to, jak wdzierać się na szczyt górski, mając na kulbace ułożony należycie ładunek, czolgać się, skradać i gramolić, póki się nie wyjdzie na wysokość kilkuset stóp ponad wszystko co żyje, na skalną grań, gdzie z trudem udaje się oprzeć kopyto. Wtedy ci trza stanąć w miejscu, zachować się spokojnie... (niech ci ani na myśl nie przyjdzie młodzikowi, prosić człowieka, by się tobą zajmował) zachować się spokojnie, póki nie zmontują działa... a potem to się ino przypatrujesz małym, niby makówki, pociskom, które spadają pomiędzy drzewa hen w dolinie.

— Czy się kiedy pośliznąłeś? — zapytał koń.

— Mówią, że prędzej włos rozdzielisz na dwoje, niż obaczysz muła, co się pośliznął — zachnął się Billy. — Czasami może się zdarzyć, że wskutek wadliwego upakowania troków, muł traci równowagę... zdarza się to jednakże bardzo rzadko. Radbym pokazać wam wszystkie kunszta naszego pięknego fachu. Całe trzy lata straciłem na to, by wykryć, ku czemu ludzie nas poganiają. Cała rzecz w tem, by nie pokazywać się na tle nieba, bo łatwo cię mogą postrzelić. Pamiętaj o tem, młodzikowi. Zawsze kryj się, jak tylko można najlepiej, nawet gdyby ci przyszło nadłożyć parę mil drogi. Gdy rozpoczniemy taką wspinaczkę, ja zawsze pójdę na czele baterji.

— Być postrzelonym, a nie mieć sposobności najechania na ludzi, którzy strzelają! — zadumał się wierzchowiec. — Jabym tego nie zniósł... zarazbym się zerwał do ataku razem z Dickiem!

— O nie! nie zerwalbyś się, bobyś sobie nogi połamał! Chyba wiesz, że gdy działa znajdują się na stanowiskach, to już same wykonywają atak. Tak wygląda prawdziwie nowoczesna, udoskonalona wojna!... ale walczyć na noże... fe!

Wielbłąd juczny już od dłuższego czasu kiwał głową, starając się wtrącić choć słówko do rozmowy. Wkońcu z wielkim trudem wykrztusił z siebie belkotliwe wyrazy, do plókania gardła podobne:

— Ja... ja... ja... także tr-r-rochę walczyłem... ale bez tego wspinania się na gór-r-ry i bez biegania...

— Spodziewam się — odrzekł Billy. — Nie wyglądasz na to, byś umiał piąć się po górach lub pędzić galopem. No, i jakżeś ty tam walczył, stary stogu siana?

— Wcale przyzwoicie — odpowiedział wielbłąd. — Siedzieliśmy sobie... wszystkie społem...

— Na mój popręg i naszelnik! — zaklął koń pod nosem. — Siedzieliśmy sobie? Hi! Hi! Hi!

— Siedzieliśmy... a było nas ze sto, — ciągnął dalej wielbłąd; — uformowaliśmy wielki czworobok, a od zewnętrznej jego strony ludzie spiętrzyli pakunki i siodła i poczęli strzelać ponad naszemi grzbietami na wszystkie strony, jak to u ludzi jest zwyczajem... krm! krm!

— Jacy ludzie? czy każdy, kto znalazł się na placu? — spytał rumak. — W ujeżdżalni uczono nas kłaść się na ziemię i pozwalać strzelać ponad sobą... ale pozwalamy na to jedynie naszym własnym panom. Komu innemu, prócz Dicka Cunniffe'a, nie zawierzyłbym w podobnej sytuacji. Czynność ta bowiem wywołuje swędzenie na podbrzuszu, a pozatem muszę wtedy przytulać łeb do ziemi i nie widzę nic przed sobą.

— Czyż nie wszystko jedno, kto strzela ci ponad głową? — odpowiedział wielbłąd. — Człek leży przy człeku a wielbłąd przy wielbłądzie, a wszystko to osłonięte kłębam dymu. Wówczas nie lękam się wcale; siedzę sobie spokojnie i czekam końca tej pukaniny.

— Bardzoś odważny! — z przekąsem ozwał się wierzchowiec; — mimo to dla głupich sennych urojeń gotów jesteś alarmować cały obóz. No! no! Zanimbym położył się (nie mówiąc już o siadaniu) i pozwolił człowiekowi strzelać nade mną, jużby moje kopyta nawiązały bliższą styczność z jego twarzą. Czy słyszałeś kiedy coś równie strasznego?

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie. Nagle jeden z wołów wznosił potężną głowę i odezwał się:

— Wszystko to do luftu! Istnieje tylko jeden skuteczny sposób walczenia. My go znamy! My-y-y!

— Mów do mnie jeszcze! — zadrwił Billy. — Proszę się wobec mnie nie krępować! Przypuszczam, kamraci, że walcycie, stojąc na ogonach.

— Jeden tylko sposób — zaryczyły oba razem (zapewne były bliźniętami). — Oto jaki sposób: na hasło otrąbione przez Dwuogońca ciągnąć w dwadzieścia jarzm wołów ciężką armatę...

Nazwa „Dwuogońca“ oznacza w narzeczu obozowem słonia.

— W jakim-że celu trąbi Dwuogoniec? — zapytał młody muł.

— Melduje, że ani mu się nie śni podchodzić bliżej w stronę ognia strzałów armatnich. Jest to bowiem tchórz jakich mało... W takiej chwili my zaczynamy ciągnąć armatę... razem... równiśko... *Heya-Hullah! Heeyah! Hullah!* My ta nie drzemy się z sobą jak koty ani nie biegamy jak cieleta. My to my! My-y-y! Idziemy se pomaluśku po równinie... we dwadzieścia jarzm... aż nas wkońcu wyprzegają i puszczają na zieloną trawę, a armaty se przez ten czas gwarzą z jakimś miastem o glinianych wałach... aż te wały lecą w strzępy, a kurz się taki podnosi, jakby wielgie stado bydła wracało z pastwiska.

— Och! i wy w tę właśnie porę zabieracie się do jadła? — zapytał młody muł.

— W tę, albo i w inną porę. Jedzenie to zawdy rzecz miła i pożyteczna. Więc sobie też zajadamy, póki nas znowu nie zaprzęgną i nie każą ciągnąć armaty z powrotem na to miejsce, gdzie czeka na nas Dwuogoniec. Czasami i w mieście znajdują się działa, które też porykują i srożą się jak buhaje, więc ten i ów z naszych padnie na ziem jak pod siekierą rzeźnika... Tem więcej pozostaje

paszy dla tych, którzy nie zginą... Wszystko zależy od losu... i jedynie od losu! Mimo wszystko, Dwuogoniec jest wielkim tchórzem... a wy wiecie już teraz, jaki jest najlepszy sposób walczenia. Jesteśmy braćmi, rodem z Hapur; nasz ojciec był świętym bykiem Shivy. Powiedzieliśmy, co do nas należało i już nic nie powiemy. My-y!

— Juścić, nauczyłem się niejednej rzeczy w noc dzisiejszą — ozwał się koń. — Hej, mościpanie z baterji górskiej! Czy mielibyście ochotę do jadła, gdyby do was strzelano z ciężkich armat i gdyby Dwuogoniec pozostał w tyle?

— Taką samą mielibyśmy ochotę, jak do tego, by siadać na ziemi i pozwalać ludziom strzelać z poza naszego grzbietu lub najeżdżać na ludzi, dzierżących w ręku ostre noże. Możecie bajać sobie zdrowo! Urwiska górskie, dobrze zrównoważony ładunek, dobry mulnik, który zostawia nam swobodę w wyborze drogi — w to graj mulowi! Wszystko inne — furda! — rzekł Billy, przytupując nogą.

— Pewnie! — dogryzł mu koń. — Nie każdy jest ulepiony z tej samej gliny, a teraz to widzę jak na dłoni, że twoja rodzina, ze strony ojca, nie grzeszy w wielu wypadkach zbyt dużym rozumem.

— A zasię ci do rodziny mego ojca! — zawołał Billy w gniewie, bo muł nie lubi, by mu przypomniano, że ojcem jego był osieł. — Mój ojciec był zacnej krwi południowcem, który potrafił powalić na ziemię, pogryźć i skopać na miazgę każdego

konia, który zastąpił mu drogę. Pamiętaj o tem, ty pokraczna, myszata Brumby!

Przezvisko „brumby“*) oznacza dzikiego, niewytresowanego źrebaka. Koń wyścigowy, przewany „chabetą“ przez dorożkarską szkapę, nie mógłby się czuć bardziej dotkniętym, jak ten koń australski. Łypnął białkiem oczu w ciemności i syknął przez zęby:

— Za wiele sobie pozwalasz, synu malajskiego osła-przybłądy! Zaraz ci wbiję w głowę, że przez matkę jestem spokrewniony z Karabinem, zdobywcą pucharu na wyścigach w Melbourne . . . a tam, skąd ja pochodzę, niema tego zwyczaju, by pozwolić nad sobą przewodzić pierwszemu lepszemu świńskiemu ryjowi, parzygębie, mułowi od pukawek strzelających grochem . . . Gotów?

— Przednie nogi wżwyż! — zakomenderował Billy głosem piskliwym. — Gotuj broń!

Zerwali się obaj i stanęli dęba naprzeciw siebie. Już byłem pewny, że wybuchnie zawzięta walka, gdy nagle od prawej strony z głębi ciemności jakiś gardłowy, grzmiący głos zawołał:

— Dzieci, o cóż się tam bijecie? Uspokoić mi się natychmiast!

Obaj zapaśnicy odskoczyli od siebie, parszkając z obrzydzeniem, gdyż koń ani muł nie lubią słuchać głosu słonia.

— To Dwuogoniec! — zawołał koń. — Ach, jakże go nie cierpię! Mieć ogon z dwóch stron ciała to rzecz doprawdy nieprzyzwoita!

*) Czyt. bramby.

— Ja to samo myślę — dodał Billy, przysuwając się do konia, by mieć w nim sprzymierzeńca. — Jesteśmy do siebie w niejednej rzeczy podobni!

— Są to, jak sądzę, cechy odziedziczone po naszych matkach — odpowiedział koń. — Nie mamy o co się kłócić! Hej, Dwuogończe, czy jesteś przywiązany?

— Tak! — odpowiedział Dwuogoniec, śmiejąc się całą trąbą. — Stoję u pala i słyszałem wszystko, kamraci, o czemżeście rozmawiali. Ale nie bójcie się. Nie przyjdę do was!

Woły i wielbłąd ozwały się półgłosem:

— Bać się Dwuogońca? ... albośmy to durnie?

A woły dodały głośno:

— Bardzo nam przykro, żeś słyszał, cośmy o tobie mówili ... ale była to szczerza prawda. Powiedz nam, miły Dwuogończe, czemu cię taki piecier oblatuje, gdy walą z armat?

— No ... tak — zająknął się Dwuogoniec, pocierając nogę o nogę, jak uczeń, co chce sobie przypomnieć wierszyk zadany; — tylko nie jestem pewny, czy mnie zrozumiecie.

— Może być ... w każdym razie my musimy za ciebie ciągnąć armatę! — odpowiedziały woły.

— My! My! My-y!

— Wiem i o tem ... i zdaję sobie sprawę z tego, że jesteście o wiele dzielniejsi, niż się wam samym zdaje. Ale ze mną to insza inszość! Kapitan naszej baterji przewał mnie kiedyś: *Anachronismus Pachydermatus*.*)

*) Gruboskórny anachronizm.

— To chyba jakiś nowy sposób wojowania? — zapytał Billy, odzyskując odwagę.

— Ty oczywiście nie rozumiesz, co to znaczy, ale ja rozumiem. Znaczy to to „taki-owaki“, to jest, taki właśnie, jaki ja jestem. Mam głowę dużą, więc potrafię przewidzieć, co się stanie w chwili wybuchu pocisku... a wy, woły jedne, tego nie potraficie.

— I ja też potrafię — pochwalił się koń — wolę jednak o tem wcale nie myśleć.

— Co do mnie, to dostrzegam znacznie więcej niż wy, a każdą rzecz staram się przemyśleć gruntownie. Wiem, że muszę ochraniać w swej osobie więcej niż kto inny, i że nikt nie potrafi mnie wyleczyć, gdy zachoruję. Jediną rzeczą, na jaką zdobyć się umieją ludzie, jest wstrzymywanie pensji mojemu poganiaczowi, póki nie wyzdrowieję... a ja nie ufam poganiaczowi.

— Aha! — odezwał się koń. — To tłumaczy sprawę. Ja zawsze ufam Dickowi.

— Choćby cały pułk Dicków usadowił się na mym grzbiecie, nie przyniosłoby mi to żadnej ulgi. Wiem dość wiele, by czuć się niedobrze, ale nie dość wiele, by iść naprzód.

— Nie rozumiemy, co mówisz, — ozwały się woły. — Nie rozumiemy-y!

— Wiem, że nie rozumiecie... Dlatego też do was nie mówię. Wy nie wiecie, co to krew.

— Owszem, wiemy — odparły woły. — Jest to czerwona ciecz, która wydaje zapach niemiły i wsiąka w ziemię.

Koń wierzgnął i parsknął gniewnie:

— Nie mówcie o krwi! — wybuchnął. — Ja ledwo o niej pomyślę, już czuję jej zapach, który skłania mnie do ucieczki... o ile Dick nie siedzi mi na grzbiecie.

— Ależ tu jej niema — ozwały się woły i wielbłąd. — Czemuż więc tak się gzisz?

— To rzecz paskudna! — ozwał się Billy. — Nie mam ochoty uciekać, ale też nie mam chęci o niej rozmawiać.

— Tu was dostałem! — zawołał Dwuogoniec, wymachując ogonem, dla lepszego wyjaśnienia sprawy.

— Tak jest! Przecież siedzimy tu już noc całą — odpowiedziały woły. — My! my! my-y!

Dwuogoniec tupnął nogą, aż zadźwięczała obręcz żelazna.

— Ech, nie do was mówię, woły jedne! Macie mózgownice tak zakute, że nie potraficie w nich niczego rozpatrzyć.

— Juści! Bo my patrzymy oczyma, a nie mózgiem, i to zawsze przed siebie — odpowiedziały woły. — Tak my patrzymy-y!

— Gdybym potrafił tylko tak patrzeć, toby was nikt nie zmuszał do ciągnięcia ciężkich armat. Gdybym był podobny do mojego kapitana, który, nim otworzy ogień, rozpatruje i roztrząsa rzecz każdą w głowie, ale ma zbyt wiele rozumu, by uciekać... gdybym, powtarzam, był do niego podobny, tobym ciągnął armatę na samą linię strzału. Ale gdybym był taki mądry, jak on, to jużby mnie tu nigdy nie

było, byłbym królem lasu, jakim byłem niegdyś, sypiałbym przez pół dnia i kąpałbym się, kiedyby mi się podobało. A właśnie już od miesiąca nie miałem przyzwoitej łaźni.

— Wszystko to piękne i ładne — zauważył Billy; — ale żadna rzecz na tem nie zyska, że ja określimy dłuższem mianem.

— Cicho! — odezwał się koń. — Zdaje mi się, że rozumiem, co Dwuogoniec ma na myśli.

— Za chwilę zrozumiesz jeszcze lepiej — sarknął Dwuogoniec. — A teraz wytłumaczcie mi, moi drodzy, czemu to nie lubicie tej oto śpiewki?

Zaczął trąbić, jak szalony, co miał pary w swej trąbie.

— Przestań, przestań — jeśli go prosić koń i Billy, drżąc i przytupując nogą ze strachu. Trąbienie słonia zawsze brzmi niemilo, zwłaszcza podczas ciemnej nocy.

— Nie przestanę! — grzmiał słoń. — Co, nie racycie mi odpowiedzieć? *Hhrrmph! Rrrtt! Rrrmph! Rrrha!*

Nagle urwał, a ja posłyszałem cichy skowyt w ciemności. Poznałem głos Vixena. Mój fox-terierek odszukał mnie nareszcie, i wiedząc, że słoń niczego bardziej się nie lęka, jak szczekania małego pieska, zatrzymał się przy palu, do którego był uwiązany Dwuogoniec, i biegając dokoła jego potężnej nogi, zaczął ujadać przeraźliwie. Olbrzym kręcił się na wszystkie strony i pisał:

— Wyoń się, szczeniaku! Nie pętaj się mi u nóg, bo cię kopnę! Mój mały piesku... mój

dobry, grzeczny pieseczku... odejdz, proszę cię!
A huzia stąd, rozwrzeszczana sobako! Czemuż to
ktoś cię stąd nie zabierze? Toż ta psina gotowa
jeszcze mnie ukąsić!

— Zdaje mi się — rzekł Billy półgębkiem do
konia, — że nasz luby Dwuogoniec mocno jest
tchórzem podszyty. Gdyby mi tak dano pełny
żłób za każdego psa, jakiegom kopnął na placu
ćwiczeń, tobym był prawie tak gruby, jak Dwu-
ogoniec.

Gwizdnąłem zcicha — i Vixen, zabłocony jak
nieboskie stworzenie, przybiegł do mnie. Polizał
mnie w nos i jał opowiadać mi o tem, jak tropił
mnie po całym obozie. Nie chcąc go zbytnio spo-
ufalać ze sobą, nigdy nie dawałem po sobie po-
znać, że znam język zwierzęcy. Włożywszy pieska
za pazuchę, zapiąłem wszystkie guziki surduta.
Dwuogoniec kręcił się jeszcze wkółko, tupał nogą
i mamrotał gniewnie:

— Osobliwe! Osobliwe! Tak się spłoszyć! To
już widocznie rodzinne!... Ale gdzie się podziało
to plugawe stworzenie?

Słyszałem, jak macał trąbą wokóło.

— Widać, że każdy z nas ma swoje słabostki! —
mówił dalej fuczając głośno. — Zdaje mi się, żeście
się przestraszyli, moi panowie, kiedym zatrafił?

— Prawdę mówiąc, tom się nie przestraszył —
odrzekł koń skwapliwie, — tylko miałem wraże-
nie, że mnie obsiadł rój szerszeni... W każdym
razie puścimy to już w trąbę... to jest, przestań
już trąbić!...

— Prawda, że się przestraszył małego pieska... ale gorzej się spisał wielbłąd, bo się przestraszył sennej mary!...

— Jakież to szczęście, że każdy z nas walczy inną bronią! — zauważył koń.

— Ale ja chciałbym wiedzieć — zagadnął młody muł, który od dłuższego czasu siedział spokojnie, — czemu to my wogóle walczymy?

— Bo nam każą — odrzekł koń, parsknąwszy wzgardliwie.

— Rozkaz! — kłapnął zębami Billy.

— *Hakm-hej!* (tak kazano) — zabułgotał wielbłąd, a Dwuogoniec i oba woły powtórzyły za nim:

— *Hakm-hej!*

— Dobrze, ale kto wydaje te rozkazy? — spytał nowicjusz.

— Człowiek, co idzie przed tobą, —

— albo siedzi na twym grzbiecie, —

— albo ciągnie powróż, przewleczony przez twe nozdrza, —

— albo szarpie cię za ogon, —

odpowiadały kolejno zwierzęta: Billy, wierzcho-wiec, wielbłąd i woły.

— Ale kto im wydaje rozkazy?

— Zawiele chcesz wiedzieć, młokosie! — zgromił Billy towarzysza — a za to łatwo możesz oberwać tęgiego kopniaka. Jedyłą twoją powinnością jest słuchać przewodnika i nie pytać o nic.

— Ten smyk ma rację! — wtrącił się Dwuogoniec. — Ja niezawsze bywam posłuszny, bo-m jest taki i owaki; ale Billy też ma rację. Jeżeli

nie będziesz słuchał zwierzchnika, to zatrzymasz w miejscu całą baterję, a na dobitkę dostaniesz tęgie lanie!

Woły powstały i zabierały się do odejścia.

— Już ranek nadchodzi — odezwały si. — Trza wracać do kwater. Prawda, że patrzymy jeno ślepiami przed siebie i nie grzeszymy zbytciem rozumu... w każdym razie my tylko jedne nie znalazłyśmy strachu w ciągu ubiegłej nocy! My! my! Dobranoc, zuchy!

Nikt na to nie odpowiedział, a koń, chcąc zmienić temat rozmowy, zapytał:

— Ale gdzież to się podział ten mały piesek? Gdzie pies, tam być musi i człowiek!

— Jestem tu pod lawetą, razem z moim panem; — zaszczekał Vixen. — Ach ty wielbłądzie, ty drałgalu, pokrako, niezdar! Pocoś ty nam rozwalił namiot! Mój pan bardzo się rozgniewał!

— O-o-o! — ryknęły woły. — Czy to aby nie biały człowiek?

— Tak jest! — odszczeknął Vixen; — może myślicie, że panem moim jest czarny poganiacz wołów.

— Tak nam mó-ó-w! — zaryczały woły. — Mu! Mu! Zmykajmy-y-y do domu-u-u!

Począpały po błocie rączo; niebawem jednak zawadziły jarzmem o dyszel jaszczu i nie mogły ruszyć dalej.

— No, to już kłapa! — odezwał się Billy spokojnie. — Niepotrzebnie się szarpiecie. Musicie tak stać aż do rana. Ale cóż to was napadło? Czyście z byka spadły, byki jedne?

Woły jęły sapać i charczeć przeciągłym i świ-
szącym — charakterystycznym dla bydła indyj-
skiego głosem, szarpiąc się i szamocąc, pchając się
jeden na drugiego, tupiąc, wierzgając i potykając
się na śliskiej mazi, aż wkońcu, porykując gniew-
nie, omal nie zwały się na ziemię.

— Poskręćcie sobie karki za chwilę! — prze-
strzegal je koń. — I cóż wam złego mogą zrobić
biali ludzie?... Ja przecież jestem za pan-brat
z nimi!

— Oni... nas... zjadają! — zawołał jeden
z wołów. — Hej, ciągnij silniej!

Jarzmo pękło z trzaskiem, a woły powlekły się
dalej.

Dotąd nie wiedziałem, czemu bydło indyjskie
tak się lęka Anglików. Rzecz w tem, że my ja-
damy wołowinę, której nie tknie żaden z poga-
niaczy. Łatwo pojąć, że bydło nie ma wielkiej
ochoty służyć nam za potrawę.

— A niechże mnie wytłuką własnym moim łań-
cuchem! — śmiał się Billy. — Któżby przypuszczał,
że takie dwa byczki mogły zbaranieć do tego
stopnia? A to byczy kawał!

— Pal ich licho! — zawołał koń. — Zaraz pójde
przyjrzeć się temu człowiekowi. Biali ludzie mie-
wają przeważnie w kieszeni różne smakołyki.

— No, to żegnam! — odpowiedział Billy. —
Nie powiem, bym osobiście żywił do ludzi wielką
sympatję. Zresztą biali ludzie, którzy nie mają
gdzie spać, są najprawdopodobniej złodziejami,
a ja mam na grzbiecie wiele rzeczy, będących

własnością rządu. Chodźno, młokosie, wracamy do naszych kwater. Dobranoc, Australczyk! Zobaczymy się jutro może . . . na przegładzie. Dobranoc, stogu siana, a staraj się panować nad sobą! Dobranoc, Dwuogończe! Gdy będziesz jutro przechodził koło nas na placu ćwiczeń, zostaw w spokoju trąbę. To trąbienie jeszczeby wywołało zamęt w szeregach. Mamy własnych trębaczy!

To rzekłszy, Billy pokuszył się chwiejnym, utykającym chodem starego wiarusa, a koń podszedł ku mnie i zaczął gmerać nosem w mej kamizelce. Dalem mu kawałek suchara, a Vixen, który jest psiną bardzo zarozumiałą, nałgał mu niestworzonych rzeczy o wielkiej stadninie, jaką we dwójkę posiadamy.

— Jutro przyjadę w psiej karetce na przegląd wojskowy — zapowiedział. — A gdzie ty wtedy będziesz się znajdował?

— Na lewym skrzydle drugiego szwadronu. Ja nadaję tempo całemu szwadronowi, mój miły piesku — odrzekł koń grzecznie. — A teraz muszę wrócić do Dicka. Uchlastałem sobie błotem cały ogon, więc biedak będzie musiał natrudzić się ze dwie godziny, zanim mnie wypucuje na paradę.

* * *

Popołudniu odbyła się wielka parada, w której wzięła udział, jak jeden mąż, cała 30-tysięczna załoga obozu. Vixen i ja dostaliśmy wyborne miejsce w pobliżu wicekróla oraz emira. Władca Afganistanu wystąpił w wysokim czarnym kołpaku

z welny astrachańskiej z ogromną brylantową gwiazdą pośrodku. Przez pierwszą część parady była pogoda jasna i słoneczna, to też wojsko maszerujące wyglądało wspaniale. Szły pułki za pułkami — jako fala za falą płynęły zgodnym rytmem poruszające się nogi i równo sterczące lufy karabinów — aż w oczach poczęło się nam mącić. Potem nadjechała konnica w takt przepięknej pobudki do kłusa, zwanej „Bonnie Dundee“. Vixen, siedzący na wózku, nadstawił ucha. Przemknął koło nas drugi szwadron; na lewem skrzydle ujrzałem znajomego mi konia, z lśniącym jak jedwab ogonem, łbem wpartym na piersi. Strzygł uszyna i wybijał tempo dla całego szwadronu, przebierając nogami lekko jak w walcu. Wślad za kawalerją nadciągnęła ciężka artylerja; obaczyłem Dwuogońca i dwa inne słonie wprzęgnięte „w linję“ do czterdziestofuntowego działa oblężniczego — a dwadzieścia jarzm wołów szło za niemi. Siódma dwójka miała nowe jarzmo, ale kroczyła niechętnie i z widocznem znużeniem. Na końcu szła artylerja góraska. Muł Billy kroczył z miną tak dumną, jak gdyby był wodzem armji — a uprzęż wypolerowana i wysmarowana oliwą lśniła, że aż blask raził oczy. Powitałem pocziwca radosnym okrzykiem, ale on nie obejrzał się ani w prawo ani w lewo.

Znów zaczęło się mącić — a przez chwilę panowała taka mgła, że nie widać było zgoła, co się dzieje z wojskiem. A ono tymczasem uformowało wielki półkrąg na równinie i powoli zaczęło się frontować

w szyk rozwinięty. Szyk ten rósł i rósł i rósł, aż utworzyła się zwarta ściana ludzi, koni i dział, rozciągnięta na przestrzeni $\frac{3}{4}$ mili. Nagle ta ściana ruszyła się i jęła się posuwać wprost w stronę wicekróla i emira — a w miarę, jak się zbliżała, ziemia poczęła drżeć jak pokład parowca, pędzącego całą siłą pary.

Kto tam nie był, nie potrafi sobie wyobrazić, jak piorunujące wrażenie wywarło na widzach to zbliżanie się masy wojska, chociaż ci zdawali sobie dobrze sprawę, że to tylko parada. Spojrzałem na emira. Dotychczas nie okazywał po sobie nawet śladu jakiegoś zdumienia czy przerażenia; teraz natomiast rozwierał coraz szerzej oczy i przygarbniejszy cugle, często-gęsto oglądał się poza siebie. Przez chwilę mniemałem, iż dobędzie szabli i zacznie sobie torować drogę przez tłum Anglików i Angielek, siedzących w powozach poza nim. Nagle mur ludzi stanął jak wryty w ziemię — dudnienie umilkło — na całej linii sprezentowano broń — a trzydzieści orkiestr poczęło grać jednocześnie. Był to już koniec przeglądu i wojsko wśród deszczu poczęło wracać na kwatery. Orkiestra piechoty różnęła marsza:

Zwierzęta szły dwójkami wraz —

Raz — dwa! Raz — dwa!

Zwierzęta szły dwójkami wraz,

zwieszając smutnie karki;

szedł koń i słoń i wół i muł

i wielbłąd się za niemi snuł —

by przed ulewą umknąć wczas.

dwójkami szły do arki!

Hurra!

W tej chwili posłyszałem, jak stary, szpakowaty i długowłosy Azjata, szejik plemienny, przybyły w orszaku Emira, zasypywał pytaniami oficera-krajowca z naszej armji.

— Powiedz-no mi, w jaki sposób wykonywacie te wszystkie cuda?

— Wydaje się rozkazy, a oni słuchają — odpowiedział oficer.

— Czyżby zwierzęta były równie mądre jak ludzie? — pytał szejik.

— Znąją posłuch, równie jak i ludzie. Muł, koń, słoń i wół słuchają swych poganiaczy, poganiacze słuchają podoficera, podoficer porucznika, porucznik kapitana, kapitan majora, major pułkownika, pułkownik brygadjera, dowodzącego trzema pułkami, brygadjer generała, który podlega wicekrólowi, pełniącemu służbę w imieniu cesarzowej. Tak to się wszystko odbywa.

— Gdybyż tak było w Afganistanie! — odezwał się szejik. — Tam każdy słucha tylko własnego widzimisię!

— I z tej przyczyny — odpowiedział oficer-krajowiec, podkreślając wąsa, — wasz emir, którego nie słuchacie, musi tu przyjeżdżać i czekać na rozkazy naszego wicekróla.

**ŚPIEW ZWIERZĄT OBOZOWYCH
NA WOJSKOWYM PRZEGLĄDZIE.**

SŁONIE CIĄGNĄCE ARMATĘ.

Myśmy Aleksandrowi przed laty użyczyły
Zręczności swej i sprytu, herkulesowej siły;
Zgięłyśmy kark w niewoli (po dziś dzień w niej
się płaszczy!)
Z drogi, hej z drogi! Bo dziesięć stóp
czterdziestofuntówkę taszczy!

WOŁY CIĄGNĄCE ARMATĘ.

Te gruboskórne bohaterzy nie lubią wachać prochu,
A gdy armatni pocisk gwiźnie, cofają się w po-
płochu!
Wtedy my-y działać zaczynamy, wprzęgamy się do
jaszczy —
Z drogi, hej z drogi! Dwadzieścia jarzm
czterdziestofuntówkę taszczy!

KONIE KAWALERYJSKIE.

Oj, niemasz to (klnę się na honor mój koński!)
Jak koncert muzyki huzarskiej, dragońskiej!
Lecz milej niż „Powrót!“, niż „Wodopój!“ brzmi
Pobudka do klusa — marsz „Bonnie Dundee“!
Więc niech nie dosiada nas gamoń lub kuchta,
Lecz dzielni lansjerzy niech na nas mkną truchta!
Koń w konia jak cacko, uprząż pięknie lśni —
Jak strzała mknie szwadron w takt „Bonnie
Dundee“!

MUŁY Z BATERJI GÓRSKIEJ.

Choć perć nam przesłaniają piargi, lecą z pod nóg
kamienie,
Jednakże my bez słowa skargi kroczymy nie-
strudzenie!
Bo my, druhowie, potrafimy wdrzeć i wspiąć się
wszędzie —
A rozkosz stać na górskiej turni . . . gdy cało się
przwbędzie!

Bóg zapłać tym sierżantom lebskim, co drogę nam
torują,
A marny los mulnikom kiepskim, co juki źle ładują!
Bo my, druhowie, potrafimy wdrzeć i wspiąć się
wszędzie,
A miło stać na górskiej turni . . . gdy cało się
przybędzie!

WIELBŁĄDY KOMISARJACKIE.

Nie dano orkiestry oddziałom wielbłądzim,
Choć szłoby się przy niej wybornie,
Więc my sobie same muzykę urządzim,
Bo nasze szyje są jako waltornie,
(*R-tatatà! włochate waltornie!*):
Dość! dość! psia—kość!
Dość tych uttrapiień i bied!
Już komuś los pomógł — bo z grzbietu spadł
tłomok . . .

Och, gdybyż to był mój grzbiet!
Hej, czeka nas postój — więc kości rozprostuj,
Nim służba gościniec wymiecie . . .
Och! Wrr! Uff! Brr!
Już ktoś ma ten tłumok na grzbiecie!

WSZYSTKIE ZWIERZĘTA RAZEM.

*Jesteśmy dziećmi obozowisk!
Służymy — w miarę swych stanowisk: —
Dźwigamy juki, worki, paki,
Jarzma, chomąty i kulbaki.*

Winie się pochód nasz, oj winie,
Jak sznur splątany po równinie;
Snuje się, toczy ciężba rojna,
Choć tak daleko jeszcze wojna!

A cisi ludzie, którzy zboku
Wśród pyłu kroczą, z smętkiem w oku.
Nie mówią, czemu codzień społem
Maszerujemy wciąż z mozołem . . .

Jesteśmy dziećmi obozowisk! Poz. ks. Inw. 1499
*Służymy — w miarę swych stanowisk: —
Dźwigamy juki, worki, paki,
Jarzma, chomąty i kulbaki.*

KONIEC





SPIS RZECZY

	Strona
Od tłumacza	V
Przedmowa	VII
Bracia Mowgliego	I
Pieśń myśliwska drużyny seeoneńskiej	37
Łowy węża Kaa	39
Pieśń wagancka bandar-logu	85
„Tygrys! Tygrys!“	87
Pieśń, którą odśpiewał Mowgli	118
Biała foka	121
Lukannon	156
Rikki-Tikki-Tavi	159
Pieśń, którą śpiewał Darzee	188
Toomai, Druh słoni	189
Shiva i świerszczyk	223
Słudzy Królowej Jejmości	225
Śpiew zwierząt obozowych	253

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA
W POZNANIU

Biblioteka Laureatów Nobla.

Dotychczas ukazały się następujące tomy:

		TOM
JACINTO BENAVENTE	<i>Źle kochana</i>	36
BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON	<i>Synnöwe Solbaken</i>	4
	<i>Tomasz Rendalen</i>	24
GRAZIA DELEDDA	<i>Tęsknoty</i>	62
	<i>Annalena Bilsini</i>	66
RUDOLF EUCKEN	<i>Wielcy Myśliciele t. I.</i>	39
	„ „ t. II.	40
ANATOL FRANCE	<i>Poglądy Ks. Hieronima</i>	8
KAROL GJELLERUP	<i>Dojrzały do życia</i>	20
	<i>Gdy po raz pierwszy</i>	42
	<i>Pielgrzym Kamanita</i>	14
	<i>Wędrowcy świata</i>	23
	<i>Młyn na wzgórzu</i>	47
	<i>Błogosławieństwo ziemi</i>	12
	<i>Głód</i>	21
KNUT HAMSUN	<i>Kobiety u studni</i>	35
	<i>Ostatni rozdział t. I.</i>	53
	„ „ t. II.	54
	<i>Misterja</i>	59
	<i>Włóczęgi</i>	67
	<i>Pan - Wiktorja - Marzyciele</i>	73
	<i>August Powsinoga</i>	76
GERHARD HAUPTMANN	<i>Glupiec</i>	31
	<i>Wyspa Wielkiej Matki</i>	70
VERNER V. HEIDENSTAM	<i>Hans Alienus</i>	26
PAWEŁ HEYSE	<i>L'Arrabiata</i>	18
	<i>Wesele na Kapri</i>	28
	<i>Kleopatra</i>	55

		TOM
RUDYARD KIPLING	<i>Księga dżungli</i>	5
	<i>Druga księga dżungli</i>	15
	<i>Stalky i spółka</i>	19
	<i>Kim</i>	46
	<i>Światło, które zagasło</i>	61
	<i>Gawędy z pod Himalajów</i>	69
	<i>Kapitanowie zuchy</i>	71
SELMA LAGERLÖF	<i>Puk z Pukowej Górki</i>	79
	<i>Gösta Berling</i>	29
	<i>Tętniące serce</i>	7
	<i>Maja Liza</i>	38
	<i>Anna Svärd</i>	68
TOMASZ MANN	<i>Charlota Loewenskoeld</i>	52
	<i>Pierścień generała</i>	75
	<i>Pan i pies</i>	77
MAURZYCY MAETERLINCK	<i>Życie pszczoł</i>	3
	<i>Inteligencja kwiatów</i>	13
	<i>Wielka tajemnica</i>	17
	<i>Gość nieznany</i>	32
	<i>Mądrość i przeznaczenie</i>	34
	<i>Skarb ubogich</i>	45
	<i>Życie termitów</i>	49
	<i>Śmierć</i>	57
	<i>Życie przestrzeni</i>	65
	<i>Ścieżkami wzwyż</i>	72
HENRYK PONTOPPIDAN	<i>Życie mrówek</i>	74
	<i>Djabel domowego ogniska</i>	11
	<i>Ziemia obiecana</i>	22
	<i>W czepku urodzony t. I.</i>	63
	„ „ t. II.	64
WŁADYSŁAW REYMONT	<i>Pęknięty dzwon</i>	30
ROMAIN ROLLAND	<i>Colas Breugnon</i>	1
	<i>Jan Krzysztof t. I.</i>	37
	„ „ t. II.	44
	„ „ t. III.	48
	„ „ t. IV.	50
	<i>Dusza zaczarowana I.</i>	
	<i>Anetka i Sylwja</i>	25

	TOM
ROMAIN ROLLAND	<i>Dusza zaczarowana II. Lato</i> 27
	<i>Dusza zaczarowana III.</i>
	<i>Matka i syn</i> 56
	<i>Dusza zaczarowana IV.</i>
	<i>Zwiastunka</i> 78
BERNARD SHAW	<i>Miłość wśród artystów</i> 60
KAROL SPITTELER	<i>Imago</i> 10
	<i>Konrad porucznik</i> 33
RABINDRANATH TAGORE	<i>Opowiadania</i> 2
	<i>Rozbicie</i> 6
	<i>Sadhana — Szept duszy</i> 9
	<i>Wspomnienia</i> 16
	<i>Cora</i> 43
	<i>Dom i świat</i> 51
	<i>Zerwane pęta</i> 58
W. BUTLER YEATS	<i>Opowiadania o Hanrahanie</i>
	<i>Rudym</i> 41

Dalsze tomy w przygotowaniu.